• Reporter poszukuje diabła • Ci, którzy stoją na „bramce" • Zwierzenia byłego trenera Widzewa Jacka Machcińskiego • Tajemnice planety Wenus

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 22 (1313) ROK XXVI 28 MAJA 1983 ROKU CENA 15 ZŁ

Foto: M. Zajdler

Horacy Safrin

Wiersz o Matce mojej

Dzisiaj już nie mam złudzeń — choć łudzić się nie przestanę,
że w naszym mieście umarłym jeszcze Cię, Matko, zastanę.

Że wstaniesz z martwych wśród ruin, w łunie pożarów i dymie,
dłońmi opleciesz mi szyję i cicho szepniesz me imię.

A z piersi Twojej wychudłej słowa się wyrwą najprostsze:
„Jakeś zmizerniał mój synu, z czym cię teraz ugoszczę?"

W oczach Twych, wciąż niewygasłych, płomyk się życia zapali,
łzami obmyjesz me stopy, co poślubiły się dali — —

Przebacz mi, Matko, że nocą leżę z otwartą powieką
o śmierć się modląc dla Ciebie śmierć naturalną i lekką,

a serce me niepoprawne ufa dziecinnie i marzy,
że Twoich włosów srebrzystych nie tknęły palce zbrodniarzy,

żeś na posłaniu śmiertelnym głowę spokojnie złożyła,
że oszczędziła zwłok Twoich bratnia, bezkresna mogiła...

A chociaż wiem, że to złuda, co się z rozpaczy wyłania,
śnię o wieczności Twej duszy i wielkiej siły kochania — —

Więc chociaż nie mam już złudzeń, łudzić się wciąż nie przestanę,
że w naszym domu umarłym jeszcze Cię, Matko, zastanę.

Że wstanisz z martwych wśród ruin, w łunie drogiego mi miasta.
A ja podążę za Tobą — cień, co za słońcem wyrasta...

Szczegółowe informacje o wystawie na stronie 5.

Foto: M. Zajdler

Kryształowa noc z listopada 1938 r.

WŁODZIMIERZ PITKIEWICZ

Na temat fałszerstwa pamiętników Adolfa Hitlera wypowiedziały się kompetentne instytucje i osoby. Ale pytanie pozostało: po co to zrobiono? Kto zadał sobie trud podrobienia 62 dość grubych zeszytów? Czy tylko dla pieniędzy? Mam co do tego poważne wątpliwości. Ujawnienie tej „rewelacji" dziwnie zbiega się z 50 rocznicą dojścia Adolfa Hitlera i nazistów do władzy. Zwrócił zresztą na to uwagę na łamach tygodnika „Newsweek" amerykański historyk Gerhard Ludwik Weinberg. Nie on jeden zresztą.

G. L. Weinberg napisał:

„To naprawdę raczej niezwykły zbieg okoliczności, że publikacja następuje niemal dokładnie w 50 rocznicę dojścia Hitlera do władzy".

Niezwykłych zbiegów okoliczności jest kilka. Bo jest to również 40 rocznica likwidacji getta w Warszawie i powstania w tym getcie. Bo w tym czasie na ekranach telewizorów w RFN wyświetla się filmy o przestępstwach popełnionych na Niemcach przez członków państw koalicji antyfaszystowskiej, w tym Anglię, ZSRR i Polskę. Zresztą i wybór fragmentów przez „Sterna" jest dla mnie również dziwny.

Znajduje się tam taki cytat:

„Wzmagają się w Rzeszy wiece przeciwko Żydom, rozmawiałem już o tym z Goeringiem, dr Goebbelsem i Lutze. Nie chodzi o to, żeby nasza gospodarka z winy niektórych zapaleńców utraciła wiele milionów o wartości samego szkła. Meldowano mi już o pewnych brzydkich nadużyciach niektórych noszących mundury z niektórych miejscowości, również o zabitych Żydach i żydowskich samobójstwach. Czy ci ludzie oszaleli? Co o tym powie zagranica. Wydam natychmiast konieczne rozkazy".

Cytat ten nosi datę 10 listopada 1938 roku. Jest więc „zapisem" już po kryształowej nocy, która miała miejsce w całych Niemczech 9 listopada 1938 roku. A co na ten temat mówią dokumenty?

WINA ŻYDÓW

według Adolfa Hitlera za wszystko zło na świecie była bezsporna. Alan Bullock w znanej książce „Hitler — Studium tyranii" cytuje ulubione powiedzenie Adolfa Hitlera, które można też uznać za wykładnię jego stosunku do Żydów — *„Żyd jest fermentem rozkładającym narody".*

Alan Bullock pisze też:

„Wszędzie, gdzie pójdziemy tropem myślowym Hitlera, niezmiennie spotkamy się z satanistyczną postacią Żyda. To przysłowiowy kozioł ofiarny. Demokracja żydowskim wymysłem — tajemnym panowaniem Żydów. Bolszewizm i socjaldemokracja, kapitalizm i lichwiarskie „jarzmo renty", parlamentaryzm i wolność prasy, liberalizm i internacjonalizm, antymilitaryzm i walka klas, chrześcijaństwo, modernizm w sztuce, prostytucja i krzyżowanie się ras — wszystko to są wymysły Żydów dla podporządkowania sobie ludów aryjskich".

W Monachium 28 lipca 1940 roku sam Adolf Hitler tak powiedział o Żydach do zgromadzonych tam Niemców:

„Żyd nie stworzył żadnej cywilizacji, choć zniszczył ich setki. Nie ma żadnej własnej twórczości, na którą mógłby wskazać. Wszystko ukradł. Obcy ludzie, obcy robotnicy zbudowali mu jego świątynie, to obcy tworzyli i pracowali dla niego; to obcy przelewali za niego krew. Żyd nie ma żadnej własnej sztuki: kawałek po kawałku skradł ją innym narodom. Nie potrafi nawet zachować tych cennych rzeczy, które inni stworzyli... W ostatecznym rachunku tylko Aryjczycy potrafią tworzyć państwa i prowadzić je ku przyszłej wielkości. Żyd tego wszystkiego nie potrafi, a skoro nie potrafi to wszystkie jego rewolucje muszą być międzynarodowe. Muszą się rozprzestrzeniać jak zaraza. Zdążył już zniszczyć Rosję, teraz przyszła kolej na Niemcy i, wiedziony tym swoim zawistnym instynktem destrukcji, stara się skruszyć narodowego ducha Niemców i skalać ich krew".

Prześladowania Żydów, ale nie tylko, bo również prześladowania komunistów i ludzi postępu, były częścią hitlerowskiego programu. Raymond H. Geist był na początku lat trzydziestych konsulem i pierwszym sekretarzem ambasady USA w Berlinie, widział więc wszystko co działo się w tym czasie w Niemczech po dojściu Hitlera do władzy. W czasie procesu norymberskiego odczytano jego zaprzysiężone oświadczenie. Oto jego istotny fragment:

„Obozy koncentracyjne powstały natychmiast, w roku 1933, i zostały podporządkowane gestapo. Pierwsza fala aktów terroru miała miejsce w marcu 1933 roku. Towarzyszyły jej brutalne ekscesy motłochu. Gdy partia narodowosocjalistyczna w marcu 1933 roku wygrała wybory, rankiem 6 marca wybuchły długo tłumione namiętności, przybierając formę zakrojonych na szeroką skalę napadów na komunistów, a także Żydów i inne osoby. Hordy SA włóczyły się po ulicach, biły, rabowały, a nawet mordowały ludzi".

Wydarzenia zachodzące w Niemczech wywołały oburzenie i protesty na całym świecie. Pisała o tym prasa w innych krajach. Ogłoszony został ojkot niemieckich towarów. Niemcy tracą w światowej opinii dobre imię. Kto jest temu winien? Dr Józef Goebbels natychmiast znajduje odpowiedź, która podejmuje hitlerowska propaganda — *„światowe żydostwo"*. Zostaje postanowione, że 1 kwietnia 1933 roku ogłoszony będzie dniem antybojkotu, będzie to odpowiedzią na *„zagraniczną kampanię oszczerstw"*.

Przegląd prasy

JULITTA GŁEMBOCKA POLEMIZUJE Z LUDWIKIEM KRASUCKIM

w 20 numerze „RZECZYWISTOSCI (z 15 maja 1983 r.), a podstawą polemiki jest artykuł L. Krasuckiego opublikowany w „Polityce" (nr 15) pt. „Nie taka sama". Chociaz nie tylko ten artykuł, bowiem Julitta Głembocka przypomina też Ludwikowi Krasuckiemu co pisywał w „Zagadnieniach i Materiałach" w 1974 roku, 1975 i 1980, a także w „Gazecie Krakowskiej" w marcu 1983 i w „Życiu Warszawy" w grudniu 1980 roku. Daje więc pokaźny wybór cytatow, zarzucając ich autorowi *„plastyczność" i „podatnośc na zmiany"*.

Jesli chodzi o zarzuty dotyczące artykułu „Nie taka sama", to Julitta Głembocka pisze:

„Dzisiejszy Ludwik Krasucki, tzn. z kwietnia br. — „Polityka" 1983, nr 15 — jest zagorzałym przeciwnikiem: a) „obrony zagrożonych interesów robotniczych", demagogii socjalnej i nasep populistycznych; b) luźnej, galaretowatej struktury; c) nieustannego dyskutowaniu; d) uciyla się od rygorow jednolitego działania; e) odmawianiu kierownictwu prawa do kierowania. Jest natomiast zwolennikiem: a) zaostrzenia walki z lewactwem oraz b) egzekwowania wymogu lojalnosci we własnych szeregach."

Julitta Głembocka przypomina, ze aby partia była ta sama, ale nie taka sama, musi odbudowac swą funkcję przewodnią, dowiesc robotnikom praktyką, że partia musi wydac jednoczesnie walkę poglądom oportunistycznym i sekciarskim i że obowiązkiem każdego członka partii jest wypełnienie uchwał partii w całości, a nie tylko selektywnie. Jest to wyraźnie adresowane do Ludwika Krasuckiego, któremu autorka artykułu w „Rzeczywistosci", a który w artykule nosi tytuł „Rycerz frazesu", zarzuca wybieranie z uchwał tylko tego, co mu jest wygodne, a więc tylko postulatu walki z dogmatyzmem. Pisze ona:

„Czyżby uważał, że tendencje oportunistyczno-rewizjonistyczne przestały u nas istnieć? Czym zatem tłumaczyc sytuację np. w środowiskach twórczych — lewactwem?"

I piszej dalej:

„Myląc pojęcia, kryteria i płaszczyzny, nie odróżniając skutków od przyczyn — L. Krasucki stwierdza, że „jedną z konsekwencji wprowadzenia stanu wojennego stało się nasilenie walki" ze „swoistymi zapleńcami odnowy" i proponuje obecnie wariant conajmniej nie równoległy, ale alternatywny — „zaostrzenia walki z populistyczną demagogią i lewackim zajęczeniem", gdzie — niezależnie od intencji Autora — „obrona zagrożonych interesów robotniczych" (z cudzysłowem czy bez cudzysłowu) jawi się Czytelnikowi, jako nurt opozycyjny i działalność typu frakcyjnego. Sądzę, że bez szkody dla partii L. Krasucki może spokojnie zaprzestać „poszukiwania czarownic" według zaprezentowanych przez siebie kryteriów"

Zarzuca też Julitta Głembocka autorowi artykułu „Nie taka sama", że *„nie odróżnia rzeczywistej jedności"* od *„pozorowanej jednomyślności"* i na zakończenie pisze:

„Po lekturze ostatnich przemyśleń Ludwika Krasuckiego proponuję, aby tenże — jako zwolennik „plastyczności" i przeciwnik „rycerzy rewolucyjnego frazesu" — zanim pojedzie na kolejne spotkanie lub zacznie pisac następny artykuł, zatrzymał się chwilę przed lustrem."

Relacjonowanie artykułów polemicznych zawsze jest niebezpieczne, gdyz prezentuje argumenty — i to w sposób ograniczony — tylko z jednej strony a dopiero lektura wszystkich tekstów daje pełny obraz przedmiotu sporu. Tak jest i w tym wypadku. Dlatego wszystkich którzy zainteresują się sporem między Julittą Głembocką a Ludwikiem Krasuckim odsyłam również do 15 numeru „Polityki" z 9 kwietnia 1983 r. Spodziewam się też odpowiedzi na zarzuty autorki „Rzeczywistości", gdyż nie sądzę, aby Ludwik Krasucki zgodził się z wszystkimi uwagami polemistki, skoro i czytelnik tej polemiki ma pewne watpliwości.

Nieco inaczej wygląda sprawa felietonu w „POLITYCE" (nr 21 z 21 maja 1983 r.), w którym

DANIEL PASSENT PISZE O EDMUNDZIE OSMAŃCZYKU

Nie jest to bowiem polemika z poglądami Edmunda Osmańczyka, a raczej — zgodnie z tytułem felietonu — prezentacja „Nowego Osmańczyka". Daniel Passent przyznaje się, że zna Edmunda Osmańczyka, że był dla niego autorytetem, a jego publikacje czytywał z należytym szacunkiem i uznaniem. Aliści teraz coś się zmieniło.

„... stał... w towarzystwie pewnego miłego księdza (był to pierwszy raz, kiedy widziałem Janka z księdzem, ale wiele osób zmieniło w tych dniach towarzystwo), Janek przemówił do mnie per pan... Osmańczyk do mnie per pan? Po prawie czterdziestu latach? Od tej chwili nie ma Janka — jest Edmund Osmańczyk — Poseł Ziemi Opolskiej"

Coś się więc stało, coś się zmieniło. Pojawił się „Nowy Osmańczyk". *„... człowiek z takim dorobkiem, tak uhonorowany, nagle obudził się z błogiego snu i zagrzmiał jak lew"*. Daniel Passent przyznaje, że tego się nie spodziewał. Przyznaje też, że z niektórymi wypowiedziami „Nowego Osmańczyka" zgadzał się, kiedy ten polemizował na przykład *„z krytykami narodu, mówiąc iż to państwo, a nie społeczeństwo wymaga naprawy"*. Ale już nie zgadza się w sprawie interpelacji na temat „Małego Dziennika". *„...rozdrapywania ran, a zwłaszcza rzecznika prasowego rządu"*.

„Nowy Osmańczyk — pisze D. Passent powołując się na tekst interpelacji poselskiej opublikowany w nr 20 „Ładu" — *ma za złe wicepremierowi Rakowskiemu, że w sporządzonej na polecenie szefa rządu odpowiedzi dla posła Zabłockiego znalazły się cytaty z jednego tylko półrocza „Nowego Dziennika"* (powinno być „Małego Dziennika" — uwaga L.B.). *Zdaniem Nowego Osmańczyka wicepremier „naruszył pewne przyjęte w życiu politycznym każdego narodu milczące ugody nieotwierania puszek Pandory, które — jak uczy historia — lepiej aby dostatecznie długo pozostawały zamknięte..."*."

Tu wypada zgodzić się z Danielem Passentem, że jakiekolwiek przemilczanie przeszłości wyrządza więcej szkody niż pożytku. Dość już mamy ujemnych skutków różnych przemilczeń i udawania, że czegoś nam dziś niewygodnego nie było w przeszłości, skoro było i jest to — możemy westchnąć tylko — niestety fakt historyczny. Powinniśmy się więc raczej zdobyć na właściwą, pozbawioną emocji ocenę tego faktu, jego interpretację. Ale tak się dziwnie składa, że zwolennicy wymazywania białych plam skłonni są to czynić dopóty, dopóki nie dotyczy to bliskiej ich sercu przeszłości, na dodatek niezbyt chlubnej. Daniel Passent przypomina, że polska lewica, a w tym ruch robotniczy *„z większymi lub mniejszymi przerwami od połowy lat pięćdziesiątych aż po dziś dzień"* krytycznie odnosi się do swej złożonej, trudnej i niekiedy tragicznej przeszłości. Ugrupowania położone po przeciwnej stronie nie tylko nie są skłonne tego czynić, ale protestują, gdy czyni się to za nich.

Na koniec Daniel Passent pisze:

„Jest jednak w interpelacji posła Osmańczyka zdanie skierowane do wicepremiera, świadczące o niepotrzebnym zacietrzewieniu, a mianowicie, kiedy Osmańczyk pisze: „Czy to Pan w imię małej, żałosnej afery Pańskiego osobistego przyjaciela Jerzego Urbana...". Tu już pojawia się ktoś całkiem nowy, ktoś kto odnosi się do cudzych przyjaźni osobistych i to w czasie, kiedy tylu jest chętnych do grzebania w cudzych sprawach prywatnych: nazwiskach, zarobkach, podróżach i mieszkaniach. Czyżby Osmańczyk sugerował, że Rakowski powinien przejść z Urbanem na „pan"?

DANIEL PASSENT MA TRUDNE ŻYCIE

bowiem w tymże samym numerze „Polityki" zaatakował go Włodzimierz Pietkiewicz (proszę nie mylić z Włodzimierzem Pitkiewiczem pisującym w „Odgłosach") w artykule „Tego jeszcze nie było". Daniel Passent obraził się bowiem na kolegów z własnej redakcji, że opublikowali *„wbrew wszelkim zasadom* (jego zdaniem)... *wycinek z powieści Hermanna Hesse pt. „Gra szklanych paciorków"*. W tym to fragmencie H. Hesse pisze, że *„życie umysłowe w Polsce zdominowane jest przez felietonistów"*, a w felietonie następuje *„wyparcie myśli przez pomysł, dzieła przez utwór, a filozofii przez poglądy"*. D. Passent z tym się nie zgadza, gdyż poglądy H. Hesse są z innej epoki.

Włodzimierz Pietkiewicz zgadza się z tym, że felietoniści mają przewagę nad innymi piszącymi dzięki wyraźnemu zarysowaniu własnej indywidualności w felietonie. Jest to utwór osobisty. Felieton cieszył się i cieszy popularnością. Ale — pisze Włodzimierz Pietkiewicz — *„z samych felietonów nie da się zbudować wartościowego i trwałego gmachu kultury"*. I dlatego uważa, że rację ma Hermann Hesse i ci, którzy go wygrzebali i opublikowali jego tekst.

Jak zmienić ten stan? Bo przecież felieton nadal ma przewagę nad publicystyką, czyli poważnymi i pryncypialnymi artykułami i rozprawami. A ma ją dlatego, *„bo w felietonie* — jak pisze Wł. Pietkiewicz — *ma autor słuszność czy nie, ale zawsze podejmuje jakąś aktualną problematykę, a ponadto zawsze wiadomo o co mu chodzi. A w opasłych publikacjach albo wszystko wiadomo z góry, albo w ogóle nie wiadomo, co autor chciał powiedzieć"*. Z tych słusznych uwag nie należy wszakże wyciągnąć wniosku sugerującego, że należy nie publikować felietonów, a raczej wniosek, że należy dbać o to, aby publikacje nie były opasłe i żeby autorzy mieli w nich coś do powiedzenia.

Daniel Passent ma bez wątpienia rację, kiedy nie zgadza się z *„nowymi"* poglądami Edmunda Osmańczyka w konkretnej sprawie. Ale chyba nieco przecenia swoje siły, kiedy sądzi, że felietonem wszystko „załatwia". Sądzę raczej, że felietonista w tym przypadku, jak i w innych zresztą, powinien spełniać rolę harcownika. Idea porozumienia nie wyklucza przecież szczerej i otwartej dyskusji nad spornymi kwestiami. Tylko, aby byli chętni do takich sporów, aby mieli argumenty i aby nie ograniczyło się to wszystko do występów harcowników.

Polemiki polemikami, spory sporami — to dobrze, że się dyskutuje i spiera, aby tylko coś z tego wyszło, aby to nie były spory jałowe — a życie nie stoi w miejscu. Oto „FAKTY" (nr 20 z 21 maja 1983 r.) próbują stwierdzić,

CO DZIEJE SIĘ W TORUNIU PO TRZĘSIENIU ZIEMI

To *„trzęsienie ziemi"* — to oczywiście przenośnia, chodzi o dwie kontrole Inspekcji Sił Zbrojnych, jakie dokonano w województwie toruńskim. J. Oleradzka rozmawia na ten temat z wojewodą toruńskim Stanisławem Trokowskim. Powiada ona wojewodzie, że krąży po kraju dowcip, *„że jeśli kolejna kontrola w Toruńskiem się nie uda, pozostanie tylko jedno wyjście — oddać województwo w ajencję..."*. Wojewoda przyznaje, że dowcipu nie zna — czyżby nie było w Toruniu nikogo odważnego, kto opowiadałby mu dowcipy? — ale stwierdza, że w województwie zrobiono sporo.

— *„Zmieniono metody rządzenia, kierowania województwem, administracją, duży nacisk położyliśmy na zwiększenie kontaktów władzy ze społeczeństwem..."*

— *„Ludzie przychodzą* — pyta J. Oleradzka — *przedstawiają swoje sprawy. I co dalej? Co wolno wojewodzie?"*

— *„Wszystkie rozmowy są i będą przedmiotem szczegółowej analizy* — odpowiada wojewoda. — *Wszystkie propozycje przekazywane będą Komisji Konsultacyjno-Doradczej, która oceni zasadność i możliwość ich wprowadzenia. Samemu często trudno podjąć decyzję, toteż pogłębiona ocena (wzbogacona o konsultacje np. z samorządem mieszkańców) pozwala na trafną ocenę i umożliwia szybsze podjęcie działań."*

Województwo toruńskie czeka na trzecią kontrolę ISZ, wojewoda pełni swój trudny urząd dopiero pół roku i próbuje jak może rozwiązywać skomplikowane sprawy województwa. Oto próbka jednego z rozwiązań.

— *„Ostatnio* — mówi wojewoda — *rozmawialiśmy w „Stomilu", gdzie jest możliwość zatrudnienia zorganizowanych grup rolników z sektora gospodarki uspołecznionej, którzy podjęliby się produkować poszukiwane filco-gumiaki dla siebie.*

— *Kto ma te buty wyprodukować? Rolnicy?* — pyta nie bez zdziwienia J. Oleradzka.

— *A cóż innego można zrobić* — odpowiada jej na to wojewoda Stanisław Trokowski — *jeżeli w „Stomilu" brak obecnie ok. 350 pracowników. Nie wykorzystane są maszyny, leży surowiec. Zresztą nie jest to skomplikowana praca. Na własne oczy widziałem, jak pracownice PGR Rulewo robiły przed 1 Maja buty filcowo-gumowe. Zresztą to nie my wymyśliliśmy takie rozwiązanie."*

W tychże samych „Faktach" Lucjan Znicz kończy trzyodcinkowy artykuł o tym, jak to 20 sierpnia 1979 roku około godziny 20.40 przeleciał nad Polską

NIEZWYKŁY BOLID

Tak się złożyło, że widziałem przelot tego bolidu i mogę jedynie potwierdzić, iż rzeczywiście był niezwykły. To, co widziałem w żadnym wypadku nie przypominało ognistej kuli, a raczej błękitnawy ogromny cygarowaty pojazd, niezwykły samolot z równomiernie rozmieszczonymi złocistymi „oknami" i białawym obłokiem zostawianym jako ślad na niebie w postaci smugi.

Lucjan Znicz również przytacza różne opinie ludzi, którzy widzieli to zjawisko. Zebrał on bogaty materiał — listy od bezpośrednich obserwatorów, wycinki prasowe, relacje naukowców — i przedstawia go czytelnikowi oraz komentuje. Okazuje się, że w miarę upływu czasu ludzie, którzy próbowali badać to zjawisko, zmieniali swoje zdanie, wycofywali się z pierwotnie formułowanych sądów i interpretacji, a bolid nadal pozostawał niezwykłym. Tak niezwykłym — pisze L. Znicz — że *„doprawdy dziwić się należy, iż uporczywie kwalifikuje się je jako... bolidy. Prawda, wobec niemożliwych do ignorowania niewytłumaczalnych faktów, z częstym uzupełnieniem, iż są one „nieznane dotychczas nauce", ale zawsze bolidy. Tak jakby nieznany ze względu na swe właściwości bolid był czymś „szlachetniejszym", niż równie Nieznany Latający Obiekt!"*

Ów niezwykły polski bolid widział też Maciej Iłowiecki, co zresztą opisał wówczas w „Polityce" (z 8 września 1979 r.). Relację swoją zakończył taką uwagą:

„Otóż nie twierdzę wcale, że widziałem statek obcej cywilizacji albo zjawisko nadprzyrodzone: twierdzę, że po prostu widziałem coś, co nie przypominało niczego, widzianego przeze mnie dotychczas. Czyli właśnie UFO — co oznacza jedynie (zawsze warto o tym pamiętać) w angielskim skrócie: niezidentyfikowany obiekt latający i nic więcej. Był to obiekt, leciał i nie mogłem go zidentyfikować — więc jakże lepiej to coś określić?"

Tylko że u nas UFO — albo polski skrót NOL — przyjęło się uważać za statek obcej cywilizacji. I próżno ludziom tłumaczyć, że jest to tylko niezidentyfikowany obiekt latający. Podobnie sprawa ma się z owym — jak go już nazwano — polskim niezwykłym bolidem. Tym niemniej zapoznać się z materiałem, jaki zebrał Lucjan Znicz można i nawet trzeba — jeśli to kogo interesuje — a bolid pozostanie niezwykłym, bo niezidentyfikowanym.

LUCJAN BOGUSZ

P.S.

W przeglądzie prasy z ubiegłego tygodnia w cytacie z felietonu Klaksona w „Szpilkach" wicepremier został zamieniony na wiceministra. Ale w niczym nie zmienia to i tak bzdurnej plotki.

L.B.

Miasto i wieś

W ubiegłą niedzielę było święto ludowe. Mówi się, że to jest święto wsi polskiej, święto ludu wiejskiego. Czy tylko? Czy tego święta nie powinnismy obchodzic wszyscy, gdyż dotyczy ono ludzi, którzy nas żywią. I tak miało być. Takie były hasła tegorocznego święta ludowego. Przypomniano dawne: ŻYWIĄ I BRONIĄ, przypomniano, że przed 40 laty podjęły walkę z okupantem Bataliony Chłopskie.

Hasło to jest przecież i dziś żywe, bo wieś musi nie tylko sama się wykarmić, ale i miasto wyżywić, a jak potrzeba taka będzie, to wszyscy Polacy staną, aby bronić swej ojczyzny. Ale dziś większy nacisk kładzie się na pierwszą część owego hasła — na to, że ż y w i ą. Chcemy nawet być pod tym względem samowystarczalni. Chcemy wyżywić się sami. Dziś to jeszcze nie jest możliwe, ale do tego musimy dążyć i to musimy osiągnąć.

Gospodarka nasza znajduje się ciągle w trudnej sytuacji. Ma spore możliwości, ale nie potrafimy ich w pełni wykorzystac, bo brakuje albo energii, albo surowców, albo półfabrykatów, albo komponentów, albo ludzi do pracy. Ta trudna sytuacja gospodarki rzutuje też na sytuację wsi. Bo dziś rolnictwo — choć ma ambicję stać się samodzielnym żywicielem kraju — to jest w znacznym stopniu uzależnione od przemysłu. Aby rolnik mógł osiągać wysoką wydajność ziemiopłodów, musi dysponować chemią i maszynami. A brakuje jednego i drugiego. Rolnicy ciągle wołają o środki do produkcji, o maszyny, o nawozy, o środki niszczące szkodniki. I koło się zamyka. Trudnosci w rolnictwie wpływają na trudności w przemyśle, a trudności z przemysłu odbijają się ujemnie na stanie gospodarki rolnej.

Ten stan rzeczy powoduje też nieporozumienia między miastem a wsią. Ludziom w mieście zdaje się, że rolnikom to dobrze, bo im wszystko samo rośnie, a oni tylko forsę zgarniają. Jest czego zazdrościć. Ludzie ze wsi uciekają do miasta, bo w mieście pracuje się 8 godzin, mieszka w blokach i nie trzeba harować w polu i chlewie od świtu do zmroku. Wieś się starzeje, bo młodzi uciekają do miasa. Wieś więc traci inicjatywę, bo kto bardziej przedsiębiorczy ucieka do przemysłu. Ci mniej przedsiębiorczy muszą wszakże wyżywić tych, którzy uciekli i tych, którzy nigdy na wsi nie mieszkali, czyli całą resztę.

Ale pojawiają się już i takie fakty, że niektórzy z miasta wracają na wieś. Przekonali się, że w mieście też nie ma raju. I że stare polskie przysłowie, które głosi, iż wszędzie tam jest dobrze, gdzie nas nie ma, zawiera w sobie wiele racji. Pracować wszędzie trzeba, choć kombinatorów u nas też nie brakuje.

Miasto więc patrzy krzywo na wieś, a wieś patrzy krzywo na miasto. A powinno być zupełnie inaczej. Miasto i wieś powinny ze sobą współpracować, rozumiejąc, że gospodarka jest jedna i każdy jej dział jest tak samo ważny. Kiedyś mówiło się to — sojusz robotniczo-chłopski. Dziś jakby to było mniej popularne, ale czy jest mniej czy więcej popularne, jest prawdziwe. Otóż podstawą naszego państwa, naszego ustroju jest właśnie ten sojusz. Wyraża się on nie tylko w tym, że wieś pomaga miastu, a miasto pomaga wsi, ale w tym przede wszystkim, że zarówno wieś, jak i miasto mają jeden cel — zbudowanie społeczeństwa sprawiedliwego, w którym każdy będzie mógł rozwijać swoje umiejętności i zdolności, gdzie każda praca znajdzie właściwe wynagrodzenie, a więc społeczeństwa socjalistycznego. Zbudowanie takiego społeczeństwa nie jest łatwe i trud podejmowany w tym celu napotyka na różne przeszkody i trudności. I będzie napotykał. Ale osiągnąć to można jedynie wspólnym wysiłkiem, właśnie w sojuszu robotników i chłopów.

Sojusz ten ukształtował się w walce obu klas z uciskiem. Inny był ciemiężca na wsi, inny w mieście, ale ich interesy klasowe skłaniały do sojuszu obszarniczo-burżuazyjnego. Również walczący robotnicy i chłopi szybko zrozumieli, że cel walki mają ten sam, a i przeciwnik klasowy jest podobny. Tak ukształtował się klasowy charakter sojuszu robotniczo-chłopskiego. I dziś nie stracił on tego charakteru, chociaż inną drogą rozwoju poszła wieś, a inną miasto. Te różne drogi rozwoju rodzą pewne sprzeczności, które ujemnie wpływają na rozwój naszej gospodarki. Musi się więc wieś polska zmieniać. Musi odchodzić od rozdrobnienia, przestarzałych metod gospodarowania, musi nie tylko w sposobie życia równać do miasta, ale podobnie jak przemysł szukać nowocześniejszych rozwiązań i metod pracy. Trudna to i długa droga, a przebyć ją można będzie właśnie tylko dzięki temu, że pojęcie sojuszu robotniczo-chłopskiego odzyska swój dawny blask i nabierze nowych treści, nie tracąc swego klasowego charakteru.

Miasto i wieś nic nie powinno dzielić, a łączyć — wspólny cel — budowa socjalistycznego społeczeństwa.

ŁODZIANIN

W najbliższych numerach:

- **DLACZEGO BRAKUJE LUDZI DO PRACY?**
- **PAWEŁ HULKA-LASKOWSKI I JEGO ŻYRARDÓW**
- **UNO GRANDE FAMILIO, CZYLI JĘZYK, KTÓRY ŁĄCZY LUDZI**
- **ŁAD I MIAZGA — RZECZ O PISARSTWIE JERZEGO ANDRZEJEWSKIEGO**
- **ROZMOWA Z DANUTĄ SALSKĄ — SOLISTKĄ TEATRU WIELKIEGO W ŁODZI**
- **KOŁOWROTEK DLA WĘDKARZY I KOPIARKA DLA PRZEMYSŁU — RODEM Z JEDNEJ FABRYKI**
- **ŻYDZI — HISTORIA, RELIGIA, ANTYSEMITYZM, NACJONALIZM, SYJONIZM**
- **DALSZY CIĄG WSPOMNIEŃ O PARTYZANTACH SPOD GŁOWNA I KOLUSZEK**
- **POLSKI BOMBOWIEC NAD HITLEROWSKIMI NIEMCAMI**
- **WIERSZE I FRASZKI DLA DZIECI**
- **LISTY, POLEMIKI, FELIETONY**

Organizacje młodzieżowe – dlaczego tak jest jak jest – czyli źle?

KAROL JÓZEF STRYJSKI

Już nie wystarczy zawołać: „razem młodzi przyjaciele”

Kto chociaż pobieżnie śledził powojenne dzieje polskiego ruchu młodzieżowego ten bez trudu zdoła zauważyć, że w ruchu tym, jak w soczewce ogniskowały się zawsze wszystkie zjawiska będące skutkiem kolejnych naszych „zakrętów”. Pospiesznie przeprowadzone, nie poprzedzone właściwa kampanią polityczno-propagandową, wyjaśniającą zjednoczenie ruchu młodzieżowego i powołanie na wrocławskim kongresie w lipcu 1948 roku Związku Młodzieży Polskiej spowodowało, że do nowej organizacji nie przystąpiło wielu młodych z szeregów OMTUR oraz ZMW „Wici” i ZMD. Błędy popełnione w polityce partii wobec ZMP, a następnie przesadna krytyka niedostatków tej organizacji doprowadziły w efekcie do jej rozbicia, a w 1957 roku — rozwiązania. Na fali „polskiego października” zrodziło się około 60 związków i organizacji młodzieżowych. Długo, bo właściwie aż do pierwszych lat sześćdziesiątych ruch młodzieżowy wychodził z tamtego kryzysu.

Rok 1970, wydarzenia grudniowe jakby „oszczędziły” ruch młodzieżowy. Organizacje środowiskowe nie doznały wówczas większego wstrząsu. Dopiero polityka pogrudniowego kierownictwa realizowana ze szczególnym nasileniem *od 1973 roku stworzyła przesłanki nowego kryzysu* organizacyjnego, ideowego i politycznego w polskim ruchu młodzieżowym. Nie przypadkiem eksplozja zewnętrznych objawów tego kryzysu zbiegła się z wydarzeniami sierpniowymi.

Po sierpniu 1980 roku ruch młodzieżowy doznał największego w swoich powojennych dziejach wstrząsu, z którego *do dziś nie potrafi się w pełni otrząsnąć.*

STARA MŁODZIEŻ

Bodaj w największym stopniu przetrzebione zostały w posierpniowej zawierusze szeregi ZSMP, bo jak dowodzą fakty, a właściwie statystyki w okresie od 1980 do 1982 r. *wojewódzka organizacja stopniała o 50 proc.* Jest aktualnie w województwie miejskim ponad 34 tys. członków ZSMP. Gdyby zaś przyjąć za członków jedynie tych, którzy płacą składki byłoby ich jeszcze mniej.

ZSMP *jest* organizacją przede wszystkim ludzi dojrzałych, a za takich przyjmuję młodzież w wieku od 25 do 35 lat. Stanowią oni prawie 55 proc., a więc sporo, ponad połowę wszystkich członków wojewódzkiej organizacji. Najmniej bo 5.836 jest członków w wieku 16—19 lat.

Dlaczego tak jest? *Dlaczego organizacja się starzeje?*

Po pierwsze — starzeje się nie od dziś i nie od 1980 roku. Zjawisko to wystąpiło niedługo po „wycofaniu” ZMS ze szkół ponadpodstawowych. Przedtem, a konkretnie w 1971 roku młodzież do lat 20 stanowiła 45 proc. szeregów ZMS w Łodzi. Członkowie w wieku powyżej 28 lat stanowili znakomitą mniejszość, bo jedynie niecałe 2 proc. Przeważali więc (38 proc.) ludzie autentycznie młodzi, w wieku 20—24 lat.

Kiedy ZMS, a potem ZSMP, ograniczono do środowiska młodzieży pracującej wówczas to proporcje powyższe uległy gwałtownej zmianie. Związek zaczął się starzeć.

Drugim powodem, przyczyną starzenia się ZSMP jest program tej organizacji. Jest on skierowany głównie do ludzi jeszcze młodych, ale już koło trzydziestki, a więc tych urządzających się w życiu. Stąd w działaniu zaczęły dominować sprawy ekonomiczne i socjalne: awanse, świadczenia, budownictwo patronackie, kredyty itp.

Po wydarzeniach sierpniowych i po 13 grudnia 1981 r. pozostali w organizacji głównie ci, którzy nie mają już wiele do stracenia, a do zyskania być może coś, którzy nie chcą czekać 15 lat na mieszkanie, a jeśli już je dostaną, to nie zamierzają mieszkać w pustych ścianach...

Na spadek członków w szeregach ZSMP miał również wpływ (obok wielu innych powodów) przebieg sporu o awangardowy (kadrowy) lub masowy charakter Związku. W imię umacniania szeregów wyzbywano się często lekką rączką z organizacji wielu tych, którzy nigdy przedtem nie obiecywali wstępując do ZSMP, że będą wielkimi aktywistami. Wcześniej ich obecność jakoś nikomu nie przeszkadzała.

Sytuacja polityczna w szeregach organizacji wciąż daleka jest od doskonałej. Dominuje nieufność do władz politycznych i administracyjnych. Krytycznie ocenia się prace nad ustawą o młodzieży (której jak dotąd nikt z młodymi nie konsultuje). Młodzi słabo angażują się do działalności w nowych związkach zawodowych i samorządach. Trudno się zresztą dziwić, skoro w większości przypadków w tajnych wyborach do władz nowych związków młodzi kandydujący z rekomendacji ZSMP byli skreślani.

Autorytet organizacji w zakładach pracy, szczególnie w tych małych, oraz instytucjach jest niewielki.

Na dodatek organizację wciąż nie bardzo stać na jednoznaczne określenie się wobec PZPR. Zgodnie z zapisem statutowym ZSMP pozostaje w „ideowej więzi” z partią zachowując całkowitą samodzielność polityczną i odrębność organizacyjną. *Samodzielność wielu kół ZSMP oznacza w praktyce dla nich samotność w zakładzie pracy, instytucji.*

Wszystko to plus szczupły aktyw, brak kadry i środków, nikły napływ młodych, nowych członków do Związku nie wróży mu pomyślnej, łatwej przyszłości, choć na pewno ZSMP się ostanie. Tylko czy o taką organizację chodzi?

NA WSI JEST JAKBY LEPIEJ

Organizacja ZMW w naszym, że przypomnę — miejskim województwie jest stosunkowo nieliczna. Zrzesza w swoich szeregach niecałe 2 tys. członków w 65 kołach (we wszystkich gminach z wyjątkiem Rzgowa). Jest to organizacja w istocie młoda i nie tylko dlatego, że nowa (powstała po sierpniu), ale przede wszystkim dlatego, iż skupia ludzi autentycznie młodych (średnia wieku około 20 lat).

ZMW szuka wciąż swojego miejsca w społeczności wiejskiej. Aktywiści tego związku mają za sobą pierwsze doświadczenia, pewne sukcesy i smutne niepowodzenia. Już wiedzą, że odwoływanie się do tradycji ZSMW i wiciowej nie wystarcza; że trzeba szukać nowych, właściwych współczesnej wsi form dotarcia do młodych rolników. Są wciąż na dorobku.

Jeśli liczyć deklaracjami, to sojuszników im nie brakuje. Ale takie wsparcie to często za mało. Czasami brakuje jeszcze partnerów do roboty. Zbyt wielu zamiast pomóc, jedynie im się przygląda. Myślę tu o gminnej administracji, szkołach, spółdzielczości. Tymczasem niedoświadczeni, grzeczni aktywiści związku, pukają do jednych, drugich, a jak trzeba to i do trzecich drzwi. Ping-pong jako sport jest dobry, ale w pracy społecznej przestaje bawić, zniechęca, rodzi konflikty. Czasami dochodzi do ostrych sporów, jak w przypadku sprawy klubu *w Rąbieniu*, który administracja w Aleksandrowie upatrzyła sobie na lokal sklepowy. Sklep na wsi także potrzebny. Tylko czym, jak wymierzyć cenę strat po zmarnowaniu społecznego wkładu pracy? Bezduszność, nagminna skłonność do łatwizny, do pokazywania: „kto tu rządzi” ze strony administracji, szczególnie na wsi jest znana. Trzeba będzie wielu lat, olbrzymiego społecznego wysiłku, aby to zmienić. ZMW nie powinien pozostać w staraniach o lepsze życie na wsi sam, bo będzie to przysłowiowa walka z wiatrakami.

POWRÓT DO SZKÓŁ

W szkołach ponadpodstawowych województwa uczy się ponad 47 tys. młodzieży. Jak to wynika ze statystyk poszczególnych związków ZHP zrzesza w drużynach starszoharcerskich około 5,4 tys. uczniów, ZSMP — 4,8 tys., a ZMW — nieco ponad 0,6 tys. uczniów (nie tylko w szkołach o profilu typowo rolniczym). Czyli jak łatwo obliczyć co 4—5 uczeń jest ujęty w statystyce jednego z rywalizujących o wpływy w szkołach związków. Z rzeczywistą aktywnością i obecnością tych organizacji w szkołach jest już nieco gorzej.

Harcerzy widać najczęściej, bo w mundurkach. Ale czy na paradowaniu w organizacyjnym stroju polegać ma jedynie działalność? ZHP straciło „monopol” wyłącznego działania wśród uczniów. Zamieniło HSPS na drużyny starszoharcerskie. Wydaje mi się, że to jednak za mało, aby być atrakcyjnym dla wielu młodych. Program tej organizacji i nieco anachroniczne formy działania nie przyciągają młodzieży, która szuka w organizacji czegoś innego. Czego? Tego sami często nie wiedzą, ale *ZHP w poszukiwaniu owego „czegoś” niezbyt jest im przydatny.* Zresztą działalność harcerska koncentruje się głównie wokół obozowej akcji letniej. Harcerze, z którymi rozmawiałem skarżą się często, że w ciągu roku, w czasie nauki harcerstwo praktycznie w szkole nie istnieje. Dlaczego? Myślę, że m.in. dlatego, że dzisiejsze nastolatki wyrosły już z krótkich spodenek i zabawy w zdobywanie sprawności.

ZHP nie potrafiło wypracować nowych form działalności, form na tyle atrakcyjnych, aby przyciągnęły do związku uczniów szkół średnich, dziś bodaj najbardziej zagubionych. Sytuacja monopolisty w tym środowisku nie wymagała zadawania sobie aż takiego trudu. Albo się było w harcerstwie albo nigdzie. W efekcie wielu stało z boku, wielu opuściło szeregi rozczarowując się do organizacji.

Dziś o nowych członków jeszcze trudniej niż kiedykolwiek. ZHP próbuje ich pozyskać hasłem rzekomej apolityczności, ideowej neutralności. Wydaje się, że *jest to kolejny błąd.* Najgorzej wychodzą w życiu nijacy. A poza tym, *czy organizacja młodzieżowa mająca przede wszystkim wychowywać może być apolityczna, może wypinać się na sprawy świadomości, postaw, poglądów lub ich nie zauważać?* ZHP, jak każda inna organizacja jest częścią składową jednolitego, socjalistycznego systemu wychowania. A to winno zobowiązywać!

ZSMP dopiero do szkół wchodzi. Organizacja ma ambicje nawiązać do okresu zetemesowskiego (wówczas uczniowie stanowili jedną trzecią wojewódzkiej organizacji). Myślę, wcale organizacji źle nie życząc, iż marzenie to nieprędko będzie ziszczalne.

Zdecydowana większość młodzieży, jak to widać ze statystyk jeszcze nie wybrała związku dla siebie, jeszcze się nie zdeklarowała. Czy dlatego, że woli się przyglądać, stać z boku? Myślę, że nie tylko dlatego. Sądzę, że wpływ na to ma fakt, iż żadna z organizacji młodzieżowych funkcjonujących w szkołach ponadpodstawowych nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa, nie odkryła i *nie ujęła w ramy programowe stref pragnień i marzeń nastolatków.* Żadna z nich nie potrafi wyrwać się z tradycji sztampy i skostniałego schematu, wypracowanego jeszcze w początkowych latach sześćdziesiątych, a nawet wcześniej.

DLACZEGO!

To, co chciałbym napisać w zakończeniu tego artykułu dla wielu może zabrzmi jak herezja, ale ja będę się przy tym upierał. Otóż sądzę, iż żadna z działających w szkołach organizacji młodzieżowych (nie ujmując jej tzw. dorobku) *nie dorosła, bo jak mi się zdaje nie bardzo tego pragnie, do nad podziw dojrzałych, skomplikowanych i złożonych problemów współczesnych nastolatków.* A pamiętajmy, że jest to pokolenie, które także (chociaż na swój sposób) przeżyło okres między sierpniem a grudniem.

Osobny problem stanowią *postawy wychowawców* i tzw. działaczy młodzieżowych, dla których jeszcze zbyt często bardziej niż ludzie, niż młodzież liczą się statystyczne, sprawozdawcze efekty.

Łodzianie w „Polskim Słowniku Biograficznym"

Gdy przed 150 laty upadło powstanie listopadowe oddalające na dłuższy czas nadzieje na odzyskanie niepodległości przez Polskę, Towarzystwo Literackie w Paryżu przystąpiło do zbierania materiałów do polskiego słownika biograficznego, który objąłby sylwetki wszystkich czasów państwowości polskiej. Słuszna i bardzo pożyteczna zarazem myśl zakończyła niestety swój żywot w zbiorach Biblioteki Polskiej w Paryżu, gdzie zgromadzono kilkadziesiąt zapisanych kartonów.

Przez długi okres niewoli nie powracano do tego tematu, chociaż niektórzy historycy, jak np. prof. Władysław Konopczyński widzieli potrzebę kontynuowania dzieła zaczętego przez paryskie Towarzystwo Literackie. Zamierzenia te jednak z uwagi na sytuację polityczną w jakiej znajdowało się ówczesne państwo polskie nie mogły być zrealizowane.

Do sprawy słownika wrócono dopiero po uzyskaniu przez Polskę niepodległości. Jako pierwszy podjął ten temat „Przegląd Warszawski", na którego łamach Ludwik Finkel upomniał się o „polską biografię naukową". Z jego też inicjatywy narodziła się późniejsza myśl uczczenia X-lecia Polski Odrodzonej wydaniem „Słownika Biograficznego Polski Porozbiorowej", który to zamiar miało urzeczywistnić Polskie Towarzystwo Historyczne. W trakcie prac prowadzonych pod kierunkiem Kazimierza Tyszkowskiego, kustosza Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie okazało się, że można zrobić o wiele więcej. Zwrócono się wówczas do Polskiej Akademii Umiejętności, która wyraziła gotowość przejęcia całego przedsięwzięcia pod swoje kierownictwo i na swój rachunek. Jednocześnie określono zasady współdziałania z Polskim Towarzystwem Historycznym, któremu zapewniono wpływ na redakcję słownika.

W dniu 28 stycznia 1931 roku uchwalony został regulamin wydawnictwa oraz zasady, na jakich będą mogły być umieszczane w nim artykuły. Jako generalną zasadę przyjęto, że będą w nim mogły znaleźć się tylko biografie „ludzi nieżyjących bez żadnych ograniczeń co do czasu w jakim działali", a więc osoby czynne w polskim życiu narodowym, politycznym, społecznym i kulturalnym oraz Polacy działający na ziemiach utraconych i na obczyźnie, o ile nie ulegli wynarodowieniu. Szczególny nacisk położono na to, aby w słowniku uwzględniono zasługi ludzi, którzy walczyli o odbudowę państwowości polskiej. Jednocześnie utworzono komitet redakcyjny do prac nad słownikiem, na którego czele stanął Władysław Konopczyński.

Rozpoczęły się prace przygotowawcze polegające na segregacji materiału, które trwały do roku 1934, a podczas których sięgnięto też do zapomnianych kartotek Towarzystwa Literackiego w Paryżu. W efekcie z Nowym Rokiem 1935 ukazał się I zeszyt I tomu „Polskiego Słownika Biograficznego", w którym listę zasłużonych Polaków otwiera urodzony w Wilkomierzu w 1852 roku, a zmarły w Paryżu w roku 1900 inżynier dróg i mostów — Bruno Abdank Abakanowicz.

To wiekopomne dzieło, nad którym prace trwały tyle lat, ukazało się nakładem Polskiej Akademii Umiejętności z zasiłkiem funduszów Kultury Narodowej i im. N. Bucewicza. Wykonawcą słownika była Drukarnia Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem Józefa Filipowskiego.

Wydawnictwo nie posiada, ze względu na koszty żadnych ilustracji i ma na celu wyłącznie informacje podaną wraz z bibliografią, która może pomóc czytelnikowi w dotarciu do tej źródeł. Jako źródła przy opracowywaniu biogramów posłużyły autorom: nekrologi, archiwa państwowe, kościelne, uniwersyteckie oraz zbiory publiczne i prywatne. „Polski Słownik Biograficzny" jest dziełem pomnikowym, rozłożonym w czasie już w zamyśle twórców na lat dwadzieścia, którzy zdając sobie sprawę z potrzeby uzupełnień, przewidzieli po zakończeniu alfabetu tomy uzupełniające.

Przedwojenne łódzkie środowisko naukowe nie przejawiło jednak zainteresowania w pracach nad słownikiem. Brak łodzian w komitecie redakcyjnym i zamieszczanych wykazach współpracowników spowodował prawdopodobnie fakt, że w trzech pierwszych tomach słownika obejmujących litery od „A" do „Chr" znajduje się biogram jednego łodzianina, działacza socjalistycznego Frakcji Rewolucyjnej PPS — Władysława Bartniaka (1883—1911), działającego na terenach byłej Kongresówki i straconego na stokach cytadeli za udział w zamachu na kapitana carskiej ochrany.

W słowniku znalazły jeszcze miejsce dwie sylwetki ściśle związane z łódzkim życiem naukowym i kulturalnym, a których umieszczenie było zasługą warszawskiego środowiska naukowego. Są to Julian i Kazimierz Bartoszewiczowie, których zbiory zostały przekazane do Łodzi i stały się zaczątkiem Muzeum Historii i Sztuki im. J. i K. Bartoszewiczów.

Tom I PSB zawiera jeszcze biografię Maksymiliana Barucha (1861—1933), historyka urodzonego w Pabianicach, a żywo interesującego się historią naszego miasta, czemu dał wyraz w swoich licznych publikacjach naukowych.

I to już wszyscy łodzianie — jak na trzy tomy PSB niezbyt wielu. Brak jest w słowniku ludzi, którzy wychowywali się w naszym mieście, tutaj tworzyli i w nim pozostawili trwały ślad swojej bytności. A przecież w Łodzi żyli i działali liczni pionierzy przemysłu i handlu, działacze społeczni i kulturalni. Ich sylwetki należałoby wydobyć z zapomnienia i ukazać społeczeństwu.

Wyraz temu dał w 1937 roku w 12 numerze „Dziennika Zarządu Miejskiego" w Łodzi Roman Kaczmarek. W swojej publikacji zatytułowanej „Polski Słownik Biograficzny a rejon łódzki" dokonał analizy trzech pierwszych tomów słownika w aspekcie regionu łódzkiego, biorąc pod uwagę przyszłe granice województwa (według stanu na dzień 1. IV. 1938 r.). Ogółem doszukał się on 54 postaci na obszarze daleko większym od tego, który dzisiaj kojarzy nam się z regionem łódzkim. Wśród postaci odszukanych przez R. Kaczmarka znalazły się osoby związane z takimi ośrodkami jak Brzeziny i Piotrków Tryb., jak również z ziemią łęczycką i kaliską, i dlatego też liczba ich jest tak znaczna.

Publikacja spełniła oczekiwania autora. Zawartość tomu IV przyniosła biogramy pięciu osób już ściśle związanych z naszym miastem jak: Augustyn Cichowicz (1867—1908), Hipolit Cieszkowski (1832—1907), Marian Cynarski (1880 — 1927), Wiktor Czajewski (1853 — 1922) i Jan Czeraszkiewicz (1867 — 1924). Wydawnictwo zyskało również na popularności w łódzkim środowisku naukowym. Spis prenumeratorów PSB na dzień 28. X. 1937 roku zamieszczony w tomie III wymienia następujące osoby z Łodzi: Eugeniusz Ajnenkiel, Kazimierz Erdman, Roman Kaczmarek, Jadwiga Krasicka, Wacław Szczygielski, Roman Tadeusiewicz. Listę uzupełniają dwaj księża: ks. Henryk Folwarski i ks. Henryk Rybus oraz mieszkaniec Kochanówki k/Łodzi — Stanisław Słomczyński. Ponadto PSB w tym okresie prenumerowało 10 instytucji łódzkich. Natomiast spis prenumeratorów umieszczony w tomie IV powiększył się o dwóch łodzian: Annę Rynkowską i Aleksego Rżewskiego. Nakład PSB w tym okresie nie przekraczał 1000 egzemplarzy.

Wybuch wojny przerwał prace nad V tomem słownika, którego ostatni zeszyt, podobnie jak i tom następny, ukazał się dopiero w 1948 roku. Tom VII nie został jednak już zrealizowany planowo do końca. Władze zawiesiły wydawanie PSB jako wydawnictwa mało „postępowego" i „burżuazyjnego", w którym nie uwzględniano w sposób należyty klasy robotniczej i chłopskiej. Ostatecznie dopiero w 1957 roku po wielu polemicznych głosach na łamach prasy nawołujących do kontynuowania rozpoczętego dzieła absurd ten udało się pokonać Instytutowi Historii PAN, który wziął na siebie rolę wydawcy. Powołano nowy Komitet Redakcyjny, w którym znalazł też miejsce przedstawiciel naszego miasta Marian Serejski. W 1958 roku ukończono wydawanie VII tomu PSB i przystąpiono jednocześnie do reedycji tomów wydanych wcześniej, gdzie uwzględniono w szerszym wymiarze ruch robotniczy i chłopski, i dokonano potrzebnych zdaniem wydawcy przeredagowań. Brak rytmiczności w ukazywaniu się kolejnych tomów słownika powodował dyskusje i polemiki na łamach prasy m. in. w „Tygodniku Powszechnym" nr 31 z 1971 r. ukazał się list Pawła Tyssarowskiego, w którym m. in. czytamy: „Uprzejmie zapytuję, kiedy nasi doktorzy, docenci habilitowani, profesorzy i uczeni „e tutti quanti" raczą łaskawie zakończyć wydawanie „Polskiego Słownika Biograficznego"? Przed wojną w latach 1935 — 39 wydano 5 (słownie: pięć) tomów. Był co rok — prorok. Po drugiej wojnie światowej, w okresie 26 lat, ujrzało światło dzienne aż... 8 (osiem) tomów. Tyle co kot napłakał. Po długich męczarniach umysłowych uczeni nasi doszli do litery „K". Optymiści twierdzą, że Wydawnictwo „Polskiego Słownika Biograficznego" zakończy swe owocne prace w roku 2150"... Autor tych słów chociaż ironizuje, nie odbiega daleko od prawdy. W chwili obecnej wydawany jest dopiero tom XXIV, stanowiący kontynuację litery „P".

Po ukazaniu się listu z ostrą repliką wystąpił redaktor naczelny PSB prof. Emanuel Rostworowski wyjaśniając, że słownik będzie liczył 37 tomów i jego zakończenie przewidywane jest na rok 1992. Tak więc na samo zakończenie dzieła bez uzupełnień będzie potrzeba jak by nie liczył blisko sześćdziesiąt lat. Wygląda na to, że braknie czasu jednemu pokoleniu na obejrzenie całości dzieła.

Począwszy od tomu VII „reprezentacja" w słowniku nabiera innego wymiaru. Pojawiają się w nim nie tylko postacie o przejściowych i nie pozostawiających żadnych głębszych śladów związkach z naszym miastem, ale także ludzie którzy tutaj żyli i działali.

Dość szeroko prezentowani są działacze ruchu robotniczego jak np. St. Florczak (1882 — 1906), B. Jabłkowski (1868 — 1942), I. Kowalska (1908 — 1965), F. Kujawa (1892—1963), M. Marczewski (1879—1947), J. Minich (1869 — 1958), M. Minor (1902 — 1973), I. Orzechowski (1900 — 1969) i inni.

Działacze kulturalno-oświatowi to dziennikarze, literaci jak również graficy i malarze.

Świat teatralny bardzo szeroko reprezentowany jest przez osoby występujące gościnnie w naszym mieście przez kilka sezonów bądź też na stałe związane z łódzką sceną.

W „Polskim Słowniku Biograficznym" nie zabrakło również pionierów łódzkiego przemysłu, jak i późniejszych reprezentantów tej dziedziny życia.

Wśród autorów biogramów, a zarazem współpracowników redakcji słownika znaleźli się m. in. Jan Fijałek Roman Kaczmarek, Wiesława Kaszubina, Gryzelda Missalowa, Irena Popławska, Anna Rynkowska i Barbara Wachowska.

Życiorysy ludzi stanowią obok naukowej pomocy przynoszącej niezwykle cenny materiał nie tylko biograficzny, ale faktograficzny i bibliograficzny także interesującą lekturę. Dlatego też dobrze byłoby, aby zostały zrealizowane plany redaktora naczelnego PSB, który po ukończeniu serii głównej słownika zapowiadał na łamach „Kwartalnika Historycznego" (1970 nr 1) nowe jego wydanie. Datę zamykającą stanowiłby wówczas rocznik zgonów uwzględniony w ostatnim tomie obecnej edycji. Ponadto wszystkie życiorysy zostałyby uaktualnione stosownie do stanu badań. Miałoby to nastąpić dopiero około roku 2000, po zakończeniu serii głównej PSB.

Inicjatywa całkowicie słuszna, ponieważ słownik biograficzny powinien być stałą instytucją narodową, tylko czy trzeba z tym czekać jeszcze 20 lat? I oby tym razem plon tej pracy mogło ujrzeć jedno pokolenie.

MAREK SZUKALAK

Zaczęło się 60 lat temu

Co to była OMTUR

W roku 1923 narodziła się **Organizacja Młodzieży Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego**, jakkolwiek nazwę tę przyjęto dopiero niespełna 3 lata później na Zjeździe Kół Młodzieży TUR, który odbywał się od 31 stycznia do 2 lutego 1926 r. Na Zjeździe dokonano podsumowania działalności kół i wytyczono dalsze kierunki rozwoju tej organizacji.

Głównym celem działalności OMTUR było zespolenie wysiłków organizacyjnych w podnoszeniu oświaty i kultury wśród młodzieży robotniczej. Statutowo organizacja nie przewidywała prowadzenia działalności politycznej. Praktyka jednak wykazała, że OMTUR nie była w stanie utrzymać charakteru związku wyłącznie oświatowo-wychowawczego. Zachodzące w kraju wydarzenia zmuszały organizację do zajmowania się też polityką. Było to konieczne, ponieważ w tym czasie OMTUR była jedyną lewicową organizacją młodzieży robotniczej.

Z okazji 1 Maja 1926 r. KC OMTUR wydał ulotkę, w której czytamy:

„Rozpostarła się wszechwładnie po kraju okrutna nędza, głód zagląda coraz częściej do naszych domów. Wyciągamy nasze młode, krzepkie ramiona do pracy. Pomóc pragniemy rodzicom naszym. Polityczna reprezentacja proletariatu PPS czyni co może, by ulżyć nędzy bezrobotnych mas, by rozszerzyć akcję zapomogową, by ożywić gospodarkę kraju. Żmudne jej wysiłki utrudnia jednak zacięty opór klas posiadających, nie chcących w swym ślepym egoizmie ani na krok ustąpić ze swych przywilejów".

2.

Wzmożenie działalności politycznej nastąpiło w roku 1930, kiedy blok stronnictw politycznych zwany „Centrolewem" podjął generalną walkę z obozem sanacyjnym. Zakończyło się to porażką „Centrolewu". Wypadki te przyśpieszyły proces radykalizacji w organizacji. Jej przywódcy stali się aktywnymi reprezentantami lewicy PPS. **Stanisław Dubois** na spotkaniach przed Kongresem PPS w 1931 r. zakwestionował wręcz, w oparciu o dotychczasowe doświadczenia, możliwość parlamentarnego objęcia władzy i domagał się bardziej zdecydowanych kroków w walce z sanacją i ustrojem kapitalistycznym. **Na III Zjeździe OMTUR w maju 1932 r. wysunięto postulat rozszerzenia działalności politycznej** podejmując zarazem decyzję wydania własnego organu prasowego — miesięcznika **„Młodzi Idą"**. Od połowy lat trzydziestych rozpoczęła się też ściślejsza współpraca między OMTUR i KZMP.

W sierpniu 1935 r. na ogólnokrajowej konferencji OMTUR **Stanisław Dubois** wypowiedział się za wspólnym frontem z młodzieżą komunistyczną i wiciową, wysuwając równocześnie koncepcję przekształcenia OMTUR w samodzielną organizację polityczną związaną ideologicznie z PPS. OMTUR nie był wówczas jednak na tyle silny, aby zdobyć się na wspólną z Komunistycznym Związkiem Młodzieży Polskiej deklarację współpracy.

Stanowisko KC OMTUR w kwestii budowy wspólnego z KZMP Frontu Młodego Pokolenia spowodowało, że w grudniu 1935 r. Centralny Komitet Wykonawczy PPS podjął decyzję rozwiązania „rozpolitykowanej OMTUR". Młodzież socjalistyczna od tego czasu miały skupiać koła młodzieżowe organizowane w ramach PPS. Powołano Wydział Młodzieży przy Centralnym Komitecie Wykonawczym PPS.

Znaczącym w okresie międzywojennym wydarzeniem w działalności OMTUR było zaaprobowanie **„Deklaracji Praw Młodego Pokolenia Polski"**, opracowanej z inicjatywy KZMP i ogłoszonej w marcu 1936 r. Deklaracja, której sygnatariuszami, obok kazetempowców i wiciarzy, byli także omturowcy, zawierała program walki o lepszą przyszłość dla młodzieży przede wszystkim robotniczej i chłopskiej i głosiła hasło **„Dla wszystkich w życiu równy start"**.

3.

W okresie walki z okupantem hitlerowskim znaczna część dawnego aktywu OMTUR, działaczy Młodzieży Socjalistycznej i Czerwonego Harcerstwa skupiła się w konspiracyjnej grupie **„Barykady Wolności"**. Z inicjatywy tej grupy w 1941 roku powstała **Organizacja Polscy Socjaliści**, a od 1943 r. — **Robotnicza Partia Polskich Socjalistów**.

4.

Rok 1945 zapoczątkował w historii Polski nowy okres. Proces umacniania władzy ludowej przebiegał w warunkach ostrej walki klasowej. Jedną z sił obozu postępu stanowiła Organizacja Młodzieży TUR. Decyzja o odbudowie organizacji zapadła na konferencji i zlocie młodzieży socjalistycznej w Lublinie, 8 i 9 października 1944 roku.

Wpływ na reaktywowanie OMTUR w Łodzi i województwie łódzkim miała grupa przybyła z wyzwolonych ziem Polski: **Józef Machno, Zofia Szyszko-Skowron, Maria Sałata, Helena Guzicka (Walczak).** Dołączyli do nich z Łodzi: **Tadeusz Sobczak** i **Wiesław Kaczmarek.** 26 stycznia 1945 r. odbyło się pierwsze spotkanie organizacyjne w Grand Hotelu.

Pierwszą siedzibą Komitetu Miejskiego OMTUR w Łodzi był lokal przy ul. Cegielnianej 189 (ul. Jaracza). Drugą siedzibę obrano przy Placu Zwycięstwa 2, a następnie na ul. Kopernika 8. Na przełomie lutego i marca 1945 r. organizacja liczyła 2400 członków.

Stosunek Polskiej Partii Socjalistycznej do OMTUR określa Okólnik nr 85 Centralnego Komitetu Wykonawczego z 28 sierpnia 1946 r. w sprawie współpracy z OMTUR. Czytamy tam:

„Jednym z najważniejszych zagadnień doby obecnej jest sprawa wychowania młodego pokolenia. I dlatego dumne hasło młodzieży zorganizowanej w OMTUR „Jesteśmy młoda gwardia proletariackich mas" powinno być dla wszystkich towarzyszy partyjnych bodźcem do jak najdalej idącej współpracy i udzielania pomocy aktywistom w tworzeniu kół fabrycznych, szkolnych, miejskich i dzielnicowych OMTUR (...)

Niech młodzi widzą i czują w każdym Towarzyszu starszego kolegę, a nie tylko protektora, niech się wywiąże ta serdeczna nić rzeczywistej współpracy tak koniecznej dla rozwoju naszej Partii".

5.

Na pierwszym posiedzeniu władz okręgowych PPS w **Radomsku** 26 stycznia 1956 r. podjęto uchwałę o rejestracji członków OMTUR, a 4 marca zapoczątkowano działalność organizacji w powiecie radomszczańskim. Do władz weszli: **Piotr Gajewski** jako przewodniczący oraz **Mieczysław Krakowski** i **Zofia Mirowska.**

Dużą prężność wykazywał komitet OMTUR w **Tomaszowie Mazowieckim**, którym kierowali: **Kazimierz Szwemberg, Henryk Kujda** i **Eugeniusz Zieliński.** W krótkim czasie skupili około 150 członków.

W Kutnie organizacja powstała 14 lutego 1945 r. z inicjatywy byłych Czerwonych Harcerzy — **Jana Jasińskiego** i **Henryka Tomczaka. W Piotrkowie** organizacją kierowali **Józef Gromadzki, Zofia Skalska** i **Ryszard Osiak.**

W marcu 1945 r. działały komitety OMTUR we wszystkich miastach ówczesnego województwa łódzkiego. Było wtedy 19 komitetów powiatowych, które skupiały 5.630 członków.

W połowie 1945 r. na czele władz wojewódzkich stanął **Wiesław Kaczmarek,** wraz z nim kierowali organizacją **Józef Machno, Roman Bryl, Juliusz Saloni, Eugeniusz Kokot.**

Do władz wojewódzkich weszli też **Stanisław Kosicki, Helena Walczak Guzicka, Janina Saloni, Janina Salska, Marian Fisiak, Zofia Smak-Pawłowska, Kazmierz Szwemberg, Marek Neumark, Zofia Tarnowska-Kaczmarek** i inni.

6.

Sytuacja polityczna i gospodarcza wymagała zespolenia wysiłków całego społeczeństwa. Postanowiono powołać **Wojewódzką Komisję Współpracy,** w której z ramienia poszczególnych organizacji udział brali: OMTUR: **Stanisław Kosicki, Marian Polak, Kazimierz Szwemberg; ZMW: Jan Jabłoński, Henryk Lewandowski, Jan Feliksiak, Stanisław Biedroń;** ZWM „Wici": **Feliks Starzec, Marian Świetlik;** ZMD: **Tadeusz Bursze.**

Omturowcy zgłaszali się do pracy przy odbudowie kraju i zagospodarowywaniu Ziem Odzyskanych, rozwijali zespoły kulturalno-oświatowe i ruch sportowy. Walczyli z bandami.

W 1947 roku organizacja wojewódzka liczyła 7.670 członków. W Łodzi było 3 179, a w województwie — 4.491. W województwie było 101 kół, a w Łodzi 56. Pod patronatem OMTUR działało 20 klubów sportowych, w tym 5 w Łodzi.

W **„Głosie Robotniczym"**, we wrześniu 1947 roku ukazał się artykuł pt. Witamy umowę o współpracy OMTUR i ZWM". Była to praktyczna realizacja dokonujących się przemian w postawach młodzieży obu organizacji. Coraz bardziej dojrzewała myśl o potrzebie współpracy z ZWM i pozostałymi organizacjami młodzieżowymi.

HENRYK PAWŁOWSKI

JUBILEUSZOWA WYSTAWA „ODGŁOSÓW"

OD 28 MAJA DO 11 CZERWCA 1983 R.
W MUZEUM HISTORII MIASTA ŁODZI
CZYNNA W GODZINACH:

— w dni powszednie od godz. 11 do godz. 16
— w soboty i niedziele od godz. 10 do godz. 14
— w poniedziałki Muzeum nieczynne

Na wystawie można zobaczyć:

★ **Jak zmieniała się szata graficzna, format i treść „Odgłosów"**

★ **Kto był Łodzianinem Roku w latach 1968–1977**

★ **„Bibliotekę „Odgłosów"**

★ **oraz wiele ciekawych zdjęć i rysunków**

A także kupić (jedyna okazja) pamiątkowy katalog, a w nim:

✱ Kilka uwag z okazji 25-lecia „Odgłosów"

✱ Nasze jubileusze

✱ Nieznany fragment „Pana Tadeusza" przez prof. Jerzego Widoka w redakcyjnym koszu na śmieci odnaleziony anno 1978 w mieście Łodzi

✱ Stu Łodzian

✱ Redaktorzy tygodnika „Odgłosy" w latach 1958—1983

✱ „Biblioteka „Odgłosów"

W katalogu również: Szopka jubileuszowa czyli: „Ćwiartka wieku"

JERZY KWIECIŃSKI:

Pamiętam, że w Kaliszu,
a może w Krakowie
byłem kiedyś u pewnej
aktorki w alkowie...
Rzekła mi „nie zaśniesz"
— a lat miała właśnie
tyle ile „Odgłosy".
I tak się zawziąłem,
że — wierzcie — nie zasnąłem.
Czy to czasu brzemię?
— bo przy „Odgłosach" drzemię.

Tekst:
JERZY WILMAŃSKI
Foto.:
MIROSŁAW ZAJDLER
Rys.:
JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC

Polskie meble '83

korespondencja własna

Udane dziecko reformy

Najładniejsze były kuchnie: ciemne, z dyskretnym połyskiem szlachetnego drewna zestawy stojących i wiszących szafek z zakładów w Strzelinie, jasne, nieomal jeszcze pachnące sosnowym lasem komplety z fabryk w Wyszkowie, równie udane propozycje fabryk w Olsztynie i Wolsztynie.

Obok znakomitych funkcjonalnych kompletów mebli kuchennych zaprezentowano na zakończonej niedawno w Poznaniu, proeksportowej wystawie „Polskie Meble 83", nieomal wszystko, co w dziedzinie wyposażenia mieszkań można zrobić z drewna. Były więc sypialnie, z dużymi, wygodnymi łożami i pojemnymi szafami, pomysłowo zestawiane, pasujące zarówno do nowoczesnych, „blokowych" wnętrz, jak i do dużych, starych domów, komplety stołowe, niektóre przypominające przedwojenny, mieszczański salon, inne — paradną izbę zamożnego wieśniaka — oczywiście w daleko posuniętej stylizacji — lub też zupełnie proste, lecz funkcjonalne i estetyczne. Pokazano także komplety młodzieżowe, wyposażenia przedpokojów, meble pojedyncze. Najmniej zaprezentowano tapicerki — ale i ta, która trafiła do Poznania, poza nielicznymi wyjątkami, nie wzbudzała raczej zachwytu, wyraźnie odstawała od rzeczywiście udanych mebli tzw. skrzynkowych.

Obok mebli do wyposażenia mieszkań pokazano zagranicznym odbiorcom także zestawy specjalistyczne, przeznaczone dla restauracji i hoteli. W wystawie „Polskie Meble 83" wzięło udział 45 producentów państwowych oraz 25 reprezentujących spółdzielczość pracy i rzemiosło. W sumie tegoroczni wystawcy dysponują ponad 80 proc. krajowego potencjału przemysłu meblarskiego. Zajęli oni powierzchnię 6 tys. m kwadratowych — największą w dotychczasowej historii wystaw mebli, prezentując niemal cały wolumen polskiego meblarstwa. Zdecydowaną większość — ponad 60 proc. — stanowiły wzory nowe, pozostałą — modele kontynuowane. Wszystkie — wykonane z drewna krajowego: sosnowego, dębowego, bukowego i w niewielkiej tylko ilości — lakierowane.

Popularne na krajowym rynku meble z płyt wykończonych drewnopodobną folią nie interesują odbiorców zagranicznych, nie znalazły się więc na wystawie. Nie cieszy się również powodzeniem nasza tapicerka.

W sumie — było co pooglądać. Oglądali więc ludzie, podziwiali i... wielu z nich klęło całkiem głośno. Powód irytacji zrozumiały: podczas gdy kupno najzwyklejszej wersalki — nie mówiąc już o kompletnym wyposażeniu mieszkania — wymaga już nie godzin, ale miesięcy wyczekiwania w kolejce, za granicę oferuje się najładniejsze produkty polskiego przemysłu meblowego, mało tego, dokłada się starań, aby sprzedać ich jak najwięcej. Aby uniknąć niepotrzebnych emocji — związanych z eksportem nie tylko mebli, ale także każdego innego towaru, którego brak na rynku krajowym, trzeba uświadomić sobie i zapamiętać jedną prawdę: bez eksportu, bez uzyskiwanych w ten sposób dewiz, produkcja ogółem, w tym także na rynek krajowy, zmniejszy się w sposób drastyczny. W przypadku mebli — dewizy przeznaczone są zarówno na zakup nie produkowanych w kraju specjalistycznych maszyn i części do nich, jak i na zakup materiałów, m.in. różnego rodzaju kleiw, pianki, folii itp. Ponadto — trudno w tym przypadku mówić o znacznym zubożeniu rynku krajowego, bowiem eksport mebli sięga zaledwie 20 proc. całej produkcji.

EKSPORT BEZ TRADYCJI

Meble nie należą do tradycyjnych towarów eksportowych naszego kraju. Pierwsze umowy z zagranicznymi kontrahentami podpisane zostały dopiero pod koniec ubiegłego wieku. Do 1950 r. eksport był niewielki i dotyczył przede wszystkim mebli szkieletowych, zwłaszcza giętych. Na nieco szerszą skalę rozwijać się zaczął dopiero w latach sześćdziesiątych. W tym okresie systematycznie wzrastała sprzedaż na rynki obu obszarów płatniczych. Dalszy rozwój kontaktów zagranicznych wymagał stworzenia odpowiedniej bazy techniczno-produkcyjnej i stałego wzrostu potencjału. Z tego też okresu datują się bardziej znaczące inwestycje w przemyśle meblowym — wybudowanie 4 dużych i 15 małych zakładów produkcyjnych. Fakt ten nie oznacza jednak, że obecnie nasz przemysł meblarski można uznać za nowy i nowoczesny. Zbudowane po wojnie zakłady stanowią zaledwie niewielki procent ponad 300 fabryk produkujących meble. Obecnie — jak się wydaje — przyszła pora na kolejne, przynajmniej odtworzeniowe, inwestycje. W ostatniej dekadzie nakłady inwestycyjne były minimalne. Wyniosły zaledwie tyle, co dwuletnia akumulacja całej branży. W tym samym okresie nastąpił znaczny, 8,5-krotny wzrost eksportu mebli do krajów kapitalistycznych. Tak duża dynamika przyczyniła się m.in. do tego, że wszystkie kredyty inwestycyjne przemysłu meblarskiego zostały spłacone, w wielu przypadkach przedterminowo.

Obecnie przemysł meblowy ulega dalszej dekapitalizacji, niektóre, najstarsze zakłady już w tej chwili nadają się do zamknięcia. Podjęcie takiej decyzji jest jednak — wobec ciągle występujących braków — niesłychanie trudne.

W ostatnich latach przemysł meblarski — podobnie jak cała gospodarka — przeżywał spore trudności. W 1982 r. na rynek trafiły meble wartości 50 mld zł — o 10 proc. mniej (w cenach porównywalnych) niż w roku 1979, który przyniósł największą powojenną produkcję w tej branży. Zdecydowanie — o około 20 proc. — zmniejszył się również eksport. Warunki do wyjścia z impasu stworzyła reforma gospodarcza.

DECYDUJĄ PRODUCENCI

Poznańska wystawa „Polskie Meble" jest właśnie klasycznym dzieckiem reformy. W roku ubiegłym odbyła się ona po raz pierwszy w nowej formie organizacyjnej. W latach ubiegłych meble prezentowano w ramach czerwcowych Targów Międzynarodowych, gdzie po prostu znikały w masie innych towarów. Zawierane w czasie tej imprezy kontrakty były niewielkie (nigdy nie przekroczyły wartości jednego miliona dolarów) i nie pokrywały nawet kosztów ekspozycji. Producenci od dawna zgłaszali uwagi krytyczne o takiej formie promocji mebli — nie odnosiły one jednak żadnego skutku: monopol na handel zagraniczny miała centrala „Paged". Tam też powoływano komisje, decydującą o tym, które z proponowanych przez producentów wzorów znajdą się na wystawie. Decyzje te nie zawsze były trafne.

W roku 1982, producenci, korzystając z przyznanej im samodzielności i samorządności, podjęli decyzję o zorganizowaniu własnej, proeksportowej wystawy mebli. Do udziału w wystawie zgłosiło się 36 producentów, którzy na powierzchni 4 tys. m kwadratowych zaprezentowali 510 różnych wzorów. Zakontraktowano meble za 1,3 mln dolarów na rok 1982 oraz za 12,4 mln dolarów na rok 1983. To były sumy, które przerastały efekty poprzednich imprez — choć nie wyczerpywały możliwości eksportowych przemysłu meblowego.

Również i w tym roku producenci wystąpili samodzielnie (podobnie zresztą jak dzieje się to na całym świecie). Zgodnie z życzeniem organizatorów, którymi były: Zrzeszenie Producentów Mebli i Przedsiębiorstw Współpracujących „Meble" oraz „Paged" Centrala Handlu Zagranicznego — Spółka z Ograniczoną Odpowiedzialnością do udziału w imprezie zaproszono także inne krajowe przedsiębiorstwa handlu zagranicznego: Torimex, Coopexim, Remex i Cepelia oraz kilku zagranicznych producentów — dostawców materiałów (pianki poliuretanowej, lakierów oraz okuć i akcesorii meblowych) dla polskiego przemysłu meblarskiego.

Na wystawę zaproszono ponad 100 kontrahentów z 23 państw kapitalistycznych — głównie RFN, Anglii, Szwecji, Francji, Finlandii, Holandii. Wartość przedstawionej oferty — obejmującej m.in. 22 wzory zestawów do jadalni, 20 zestawów stołowych, po 15 młodzieżowych, sypialnych i wypoczynkowych, 25 meblościanek, 6 zestawów kuchennych, 2 ogrodowe, 18 przedpokojowych oraz około 500 różnych mebli pojedynczych i ponad 100 wzorów galanterii drzewnej — wynosiła 20 mln dolarów na rok bieżący (jako oferta uzupełniająca do dokonanej wcześniej kontraktacji) oraz 60 mln dolarów na rok 1984.

Wystawa w nowej formie cieszyła się sporym powodzeniem u zagranicznych handlowców, którzy pozytywnie ocenili zarówno jej stronę organizacyjną, jak i proponowane meble — o czym świadczą zresztą zawierane na miejscu kontrakty.

Jak wynika więc z krótkiej — bo zaledwie dwuletniej praktyki — nowa forma intensyfikacji eksportu, jaką stanowi wystawa „Polskie Meble", jest korzystna i będzie ona kontynuowana w przyszłości. Wraz z wystawą odbywał się w Poznaniu Międzynarodowy Salon Specjalistyczny „Drema", na którym prezentowano polskie i zagraniczne maszyny do obróbki drewna, w tym także stosowane w przemyśle meblarskim. W roku przyszłym planuje się rozszerzenie imprezy także o prezentację wzornictwa i projektów, przekształcenie imprezy w Biennale Mebli i włączenie jej na stałe do kalendarza międzynarodowych imprez handlowych w Poznaniu.

Na pocieszenie tych, którzy stoją w kolejkach po meble, twierdząc jednocześnie, że ich brak w sklepach spowodowany jest m.in. nadmiernym eksportem, chciałabym przytoczyć opinie specjalistów — przedstawicieli producentów. Otóż twierdzą oni, że w ciągu najbliższych dwóch lat na rynku meblowym powinno nastąpić pełne uspokojenie. Już obecnie niektóre zakłady przygotowują się do sytuacji, gdy nie klient będzie poszukiwał mebli, lecz producent — odbiorcy. M.in. powstają sklepy fabryczne i patronackie, gdzie w niedalekiej już przyszłości w najlepszej formie będzie można zaprezentować całość oferty zakładu, zawiera się również kontrakty z handlowcami z dalszych rejonów kraju, bowiem, w co nieomal trudno uwierzyć, w rejonach najbliższych już obecnie pojawiają się trudności ze zbytem niektórych typów mebli.

TERESA JERZYKOWSKA

Tam, gdzie dachy słomą kryte (3)

JERZY ŻUKOWSKI

W poprzednim odcinku autor opowiadał o pierwszej akcji partyzanckiego oddziału Sama — Ryszarda Ziółkowskiego. Celem jej było opanowanie obozu przymusowej pracy w Kałetniku k/Koluszek. Dziś dalszy ciąg tej relacji.

Obudzeni dziwnym hałasem śpiący w barakach chłopcy zorientowali się, że w obozie dzieje się coś niezwykłego. Ci, którzy wcześniej od innych wyszli na plac apelowy, zaangażowani zostali przez partyzantów do noszenia łupów (mundury baudienstowskie, kurtki, buty, pasy, koce, chlebaki, manierki i żywność, której z magazynów zabrano niewiele, gdyż i tak było już co nieść). Robili to z zapałem i satysfakcją.

Potem pchor. Sam polecił wyprowadzić na plac komendanta obozu i jego partnera gry w szachy i, ustawiwszy ich pod strażą w świetle latarni, krzyknął gromkim głosem: — Wszyscy chłopcy zbiórka na placu! I żeby nikt nie został w barakach! Nie minęły dwie minuty, a około 400 chłopców ustawiło się w trójszeregu jak do rannego apelu. Wtedy Sam w krótkich słowach powiedział zebranym, iż ci, którzy do nich przyszli tej nocy, są polskimi partyzantami. Przybyli, by ochronić ich przed wywiezieniem do Niemiec na roboty poprzez likwidację obozu i rozpuszczenie ich do domów. Ale nim to nastąpi, muszą być ukarani kolaboracjoniści.

Z kolaboracjonistami był to manewr, w którym chodziło głównie o chłopców z Ruchu Oporu, działającego w obozie, którzy dołączyć mieli do oddziału. Trzeba było w jakiś sposób ochronić ich rodziny przed prześladowaniami i zemstą gestapo i żandarmerii. Postanowiono więc oficjalnie ich rozstrzelać po uprzednim wyprowadzeniu z obozu.

Z otrzymanej od Kresa — dowódcy obozowej organizacji, kartki Grom zaczął wyczytywać nazwiska zdrajców, nakazując wywołanym ustawić się z boku. Opieszale opuszczali szeregi swych dotychczasowych kolegów, a gdy któryś nie chciał wystąpić, wypychano go do przodu, wołając „Idź, ty s...synu, jeśli cię wołają!"

Wkrótce na środku placu stanęło osiemnastu chłopców, w których partyzanci wymierzyli lufy karabinów. W obozie zaległa złowroga cisza. Po odczekaniu paru chwil — dla wywołania większego efektu — Sam odezwał się do zebranych: — Widzicie chłopaki, ci tu są synami Polaków, którzy sprzeniewierzyli się Ojczyźnie służąc Niemcom. Niektórzy z nich służyli im nawet z bronią w ręku, będąc w służbie wartowniczej i za to te s...syny muszą ponieść zasłużoną karę! A Pik, doskoczywszy do grupy zdrajców, uderzył w twarz Kresa, Wita i Burzę, obiecując im lepszą porcję w późniejszym czasie.

Następnie Sam powiedział chłopcom z Baudienstu, że są wolni i mogą opuścić obóz, ale dopiero w pół godziny po odejściu oddziału. Komendantowi-inspektorowi kazał zaś zameldować żandarmerii w Koluszkach o rozbiciu obozu przez partyzantów, lecz dopiero po wschodzie słońca, zaznaczając, że w razie nieposłuszeństwa zostanie odnaleziony i dostanie kulę w łeb. Na koniec wzniósł okrzyk „Niech żyje Polska".

„Niech żyje! Niech żyje! Niech żyje!" — odpowiedziało mu gromko całe towarzystwo, a przez zapomnienie — nawet i „kolaboracjoniści". Ten trzykrotny okrzyk dotarł do uszu ubezpieczających oddział patroli Łosia i Kapra, którzy odetchnęli z ulgą po półgodzinnym wyczekiwaniu w napięciu i domysłach co dzieje się w obozie.

Wiodąc przed sobą obarczonych łupami „jeńców", oddział zaczął wycofywać się do lasu, a w miarę jak oddalał się od obozu, odgłos nocnej wrzawy w Baudienście zanikał.

Kres, Wit i Burza zameldowali pchor. Samowi, że są z nimi wszyscy chłopcy, którzy poprzednio zgłosili chęć dołączenia do oddziału. Byli to: Berkut (Jan Galicki), Leliwa (Olgierd Monowid), Tur (?), Grom II (Kazimierz Lisik), Wilk (?), Fred (Henryk Wieczorek), Lot (Stanisław Olechowicz), Lotti (Wiesław Tybura), Wicher (Ryszard Szaliński), Twardy (Józef Wójcik), Janczar (Jan Czerwiński), Ryś (Ryszard Dula), Mur (Stanisław Duklewski), Langiewicz (Zbigniew Szperling), Orzeł (?). Razem osiemnastu młodych ludzi w wieku od 17 do 25 lat.

Tymczasem patrol Kapra po przecięciu drutów tylko czekał na pojawienie się na drodze jakiegoś pojazdu z Niemcami. Trzej partyzanci czaili się w rowie, marząc, że gdy Niemcy będą już blisko, wpakują w nich dwa pełne magazynki z erkaemu, rzucą granata, zmasakrują Szwabów, zdobędą broń, co będzie aktem zemsty i powodem do chwały dla nich i oddziału.

I nagle — deus ex machina — zauważyli na drodze dwa nikłe światełka. Na pewno Niemcy jadą do Baudienstu — pomyśleli sobie — a my tu zaraz przypieprzymy im tak, że ruski miesiąc pamiętać będą tę noc. Mijały długie sekundy, w chłopcach rosło napięcie, a ciągle nie było słychać warkotu motoru.

W pewnej chwili metalicznie jęknęły przecięte druty telefoniczne i oba światła zgasły. Rolegi się brzęk i jakieś głuche uderzenie o ziemię, po którym posypały się głośne przekleństwa — „Donnerwetter..." Chłopcy wyskoczyli z rowu z okrzykiem: — Hände hoch, wir werden schiessen!

Na drodze gramoliło się dwóch Niemców, a obok nich leżały, zaplątane w telefoniczne druty, rowery. Okazało się, że są to majstrowie z Baudienstu, którzy, pijani, wracali nocą do obozu z jakiejś birbantki. Niestety, nie mieli przy sobie broni. W czasie ich rewidowania nadeszli Grom i Pik, powiadamiając patrol Kapra o zakończeniu akcji. Po chwili w poświacie księżyca na żwirowej drodze wyłoniło się kilka postaci, idących szybkim krokiem. Na pytanie „Stój! Kto idzie?!" dały nura do rowu.

Byli to chłopcy z obozu, którzy nie czekając aż upłynie pół godziny, rozbiegli się, by jak najszybciej znaleźć się możliwie daleko od Baudienstu. Dwóm pierwszym partyzanci podarowali rowery niemieckich majstrów. Wkrótce szosa zaroiła się uciekinierami.

III. NA KWATERZE U SZPAKA

W radosnym nastroju starzy i nowi partyzanci szybkim marszem powędrowali, mijając Wągry, Rogów i wieś Felusia, na bardzo odległą kwaterę, gdzie dotarli tuż przed wschodem słońca. Kiedy na wschodzie niebo zaczęło się przejaśniać, w leżącym niedaleko wsi Kotulin gospodarstwie Szpaka panowała cisza i zupełny spokój, i tylko gospodarze zaczęli krzątać się wcześniej niż zwykle, by przygotować posiłek dla tak licznych gości.

Po śniadaniu zrobiono przegląd zdobyczy, a głównie broni, na którą złożyły się: 22 karabiny, 4 pistolety „Walter", 1 — parabellum, 12 granatów oraz około 2 tys. sztuk amunicji karabinowej i kilkadziesiąt nabojów pistoletowych.

Ogólne samopoczucie było wspaniałe: oddział dopiero od paru dni był w lesie, a już liczył 37 żołnierzy, był dobrze uzbrojony i miał na swoim koncie pierwszą „robotę".

Po przeglądzie „starszyzna" oddziału zebrała się na naradę, na której nastąpiła właściwa i ostateczna organizacja oddziału. Podzielono go na 4 patrole po 8 ludzi każdy, a reszta — dowódca, zastępca dowódcy, na którego wybrano Groma, kwatermistrz — Nurek oraz dwaj kucharze — stanowiła grupę dowódcy oddziału. Na dowódców patroli wybrano Łosia, Kresa Nera i Kapra. Ustanowiono raz na zawsze, że pierwszy patrol — Łosia szedł zawsze przodem i pierwszy brał udział w akcji lub też wycofywał się. Drugi w kolejności był patrol Nera, za nim — Kresa, a czwarty — mata Kapra, który w każdej sytuacji osłaniać miał tyły, zacierać ślady przemarszu

Po południu na kwaterę do Szpaka przybyła łączniczka Krystyna w towarzystwie Felusia, który nie mógł wytrzymać nie mając bezpośredniej relacji o rozbiciu Baudienstu i nie mogąc osobiście złożyć chłopcom gratulacji. Krystyna opowiedziała, jakie wrażenie zrobiła akcja na obóz w Kałetniku i jaką relację koluszkowskiej żandarmerii złożył komendant obozu.

Według tej relacji cały obóz otoczony został przez jakiś oddział partyzancki, liczący chyba ze 150 ludzi, który musiał przywędrować prawdopodobnie z okolic Piotrkowa Tryb... Wobec przewagi w uzbrojeniu i zaskoczenia najrozsądniej było poddać się, tym bardziej, że załoga nie mogła liczyć na żadną pomoc.

Komendant i inni Niemcy z obozu ze względów osobistych wyolbrzymili w raportach nocne wydarzenia, popuszczając wodze swojej fantazji. Wywołało to taką konsternację, że Niemcy nie podjęli żadnych represji w stosunku do chłopców z obozu i ich rodzin, rozpoczęli natomiast tropienie oddziału w kierunku Piotrkowa, gdzie go oczywiście nie było.

Krystyna powiedziała też, że dostarczony aparat radiowy służyć ma nasłuchiwaniu Londynu, skąd w najbliższym czasie nadany zostanie sygnał o przylocie samolotu, który dokona zrzutu broni. W obsłudze radia i sposobie nasłuchiwania przeszkolony został st. strz. Juka (Jerzy Szelestowski) z Głowna, który tego właśnie wieczoru dołączył do oddziału. Juka codziennie słuchał Londynu, ale, niestety, w oznaczonym czasie nadawano różne utwory muzyczne, lecz nie ten, który miał być hasłem zrzutu dla oddziału Sama.

Czekając na ten zrzut, wdrażano chłopców w arkana partyzantki — bardzo odmiennej od tej, jaką poznali na przeszkoleniu u słynnego Wichra w okolicach Piotrkowa i Końskich, Łoś i Kaper.

Tu trzeba było wypracować i stosować zupełnie inną taktykę, taktykę „czapki niewidki", a to oznaczało, że choć partyzanci są we wsi, to wieś nie może o tym wiedzieć za wyjątkiem wtajemniczonych ludzi. W terenie prawie bezleśnym i gęsto zaludnionym, także przez niemieckich kolonistów, należało postępować zupełnie inaczej, by oddział był bezpieczny, a miejscowa ludność nie ucierpiała od nieprzyjaciela.

W takich warunkach warty można było wystawiać tylko w obrębie zajmowanego gospodarstwa i to tak, aby bezpośredni nawet sąsiedzi nie wiedzieli o gościach, kwaterujących we wsi. Dla zapewnienia bezpieczeństwa stosowano też tzw. taktykę „kotła". Polegała ona na tym, że jeśli ktoś obcy wszedł na teren gospodarstwa i zauważył partyzantów, zostawał zatrzymany aż do zmierzchu w domu gospodarzy, który mógł opuścić dopiero po złożeniu solennej obietnicy, że nikomu nie powie o spotkaniu oddziału. Zdarzało się, że nieraz pod wieczór w „kotle" było i ze 20 osób.

Kwatery zmieniano co noc — nie tylko dla bezpieczeństwa, ale i po to, by nie przeciążać gospodarzy świadczeniem różnych usług i wyżywieniem tylu ludzi. Przed opuszczeniem kwatery zawsze bardzo sumiennie regulowano rachunki za wyżywienie oddziału, co następnie było kontrolowane przez inspektorów komendy okręgu AK. Zdarzało się jednak, że niektórzy gospodarze odmawiali przyjęcia zapłaty, uważając żywienie partyzantów za swój obowiązek.

Na kwaterze wszyscy musieli przyzwyczaić się do mówienia szeptem, a za każde głośniejsze odezwanie wyznaczano karę — godzinę pod karabinem. Poza tym nie wolno było rozbierać się i zdejmować obuwia bez zezwolenia, a i to dopiero pod wieczór. Spać należało w pełnym rynsztunku i z bronią tak do śpiącego przytroczoną, aby w czasie alarmu był on od razu gotowy do walki. Nie wolno też było pozwolić podczas snu rozbroić się. Był to straszny rygor, ale tylko w ten sposób można było zapewnić maksimum bezpieczeństwa.

16 lipca po południu na kwaterze zjawił się znany już niektórym chłopcom pchor. Wirek (Marian Niciński). Był to krępej budowy mężczyzna w średnim wieku o jowialnym uśmiechu na okrągłej twarzy, lubiany i szanowany przez ludzi z konspiracji. Za swoją działalność w Kedywie awansowany został na podchorążego i zajmował stanowisko dowódcy koluszkowskiej dywersji.

Opracował i podał do druku:
PAWEŁ TOMASZEWSKI

c.d.n.

„Bramkarze"

O ludziach stojących „na bramce" krążą różne mity. — *— Chcesz się wyżyć na słabszych i dobrze zarobić zostań szybko „bramkarzem"* — mawiają niektórzy

Na pilnowaniu wejścia do studenckiego (i nie tylko) klubu można się „odkuć", zrobić niezły interes. Przy okazji „polać" trochę w „mordę", tak dla psychicznej równowagi albo dla treningu.

1.

„Bramkarze" są bezwzględni, brutalni i skorumpowani. Ludzie mówią różnie, ludzie lubią psioczyć.

JANUSZ WIŚNIOCH — szef Akademickiego Centrum Kultury „Siódemki":

— Mafia „bramkarzy"? Nie sądzę, żeby u nas w „Siódemkach" miało to miejsce. Jak zauważyłeś „bramkarze" stoją tylko przy wejściu, bilety sprzedaje ktoś inny, a jeszcze inna osoba je sprawdza. Ci od biletów to ludzie z Rady Klubu nie mający żadnych formalnych związków z „bramkarzami". Zresztą oni bardzo często się zmieniają, znaczy ci od biletów. Nie jest więc łatwo dojść wszystkim do porozumienia. Byłaby to afera na szeroką skalę. Nie sądzę. Owszem, „bramkarze" czasami wylatują z pracy. Za zbyt brutalne interwencje, za branie „do kieszeni" również wylatywali. Ale to już historia. Ostatni zespół jest stały. Od dwóch lat sześciu pewnych ludzi.

„Bramkarz" zarabia 400 zł. Rzeczywiście śmieszna suma, ale przepisów przeskoczyć nie można. To najwyższa stawka.

2.

Wiadomo skądinąd, że niektóre kluby załatwiają sprawy między „bramkarzami" nieco inaczej. Bramkarz" dostaje niska stawkę i możliwość sprzedania kilku biletów „na lewo". W ten sposób wychodzą na swoje. Czasami nawet i tysiąc dziennie potrafią utargować. A to już niezły biznes. Opowiadał mi znajomy „bramkarz" z warszawskiego klubu, że on na miesiąc to trzydzieści „badoli" potrafi zarobić.

Po wykryciu takiej afery „bramkarz" traci pracę. Gorzej, gdy w interesie ma swój udział sam kierownik klubu. Tak, podobno, też się zdarza.

Jeszcze inne kluby na dwóch etatach utrzymują jednego „bramkarza". W papierach wszystko się zgadza, księgowa nie ma pretensji, a stojący przy wejściu ma osiemset za wieczór.

Dalej *Janusz Wiśnioch:*

— Wiadomo, że kilku ludzi „bramkarza" zawsze wejdzie darmo na imprezę. Tak bezinteresownie — kolega, jakiś kumpel do ewentualnej „pomocy" gdyby było zbyt „gorąco". Jedna, dwie osoby to nie jest problem. Zresztą „bramkarz" ma prawo wpuszczenia jednej swojej osoby. Najzupełniej formalnie.

JAREK STASIAK — szef klubu Politechniki „Tygrys":

— Kiedy wejdzie kilka czy nawet kilkanaście osób bez biletu, to w tłumie nie ma sprawy. Ale bywało u nas, że na sali było i pięćdziesiąt, a nawet sto takich osób. A to już się pozna i łatwo porównać z ilością sprzedanych biletów. Wtedy „bramkarze" tracą pracę. Był czas, jakieś trzy lata temu, że ludzie masowo odchodzili z „bramki" za korupcję. Oprócz normalnej pensji mieli tak gdzieś po tysiąc na głowę dziennie.

3.

Oni sami próbują dementować krążące pogłoski. Owszem, jak twierdzą, są jeszcze kluby, gdzie wszystkie krążące mity można doskonale dopasować do tamtejszych „bramkarzy". Ale od kilku lat bardzo dużo się zmieniło. Przynajmniej w Łodzi.

Jurek:

— Zarabiamy mało, to fakt. Cóż dzisiaj znaczą cztery „stówy"? A tyle dostajemy za jeden wieczór. Czasami więcej się wydaje, bo przecież pepsi trzeba wypić, czasami coś zjeść w klubie. Forsa leci jak woda. Nawet gdybyśmy chcieli — nie ma możliwości. My tylko stoimy przy drzwiach i pilnujemy, żeby do środka nie dostał się ktoś niepożądany. Dalej stoi dziewczyna sprzedająca bilety, ktoś inny je przedziera. Nie ma szans na machlojki. Owszem, w innych klubach bywa inaczej. W warszawskiej „Riwierze" „bramkarze" — to panowie. Ile oni tam zarabiają to wszyscy wiedzą...

Krzysiek:

— Można zawsze sobie coś załatwić, to fakt. Przecież różni ludzie tutaj przychodzą. Można, na przykład, kupić taniej buty albo jakąś kurtkę. To prozaiczne, ale w dzisiejszych czasach bardzo ważne.

Poza tym zna nas dużo ludzi, przecież stoimy tu od dawna. Niektóre znajomości przydadzą się później..

Przemek:

— Na przykład na takim „Rockowisku" można zarobić nawet osiem „stów" za wieczór. Najzupełniej legalnie. Ale tam jest inna specyfika pracy, że tak powiem. Tam się ma do czynienia z tłumem. Napierającym tłumem chętnych, zarówno z biletami, jak i bez biletów. W „Siódemkach" jest inaczej. Ludzie przychodzą stopniowo — co kilka, kilkanaście minut. Możemy spokojnie zamknąć drzwi i otwierać co jakiś czas. W Hali Sportowej szkoda gadać.

Krzysiek:

„Bramkarz" musi być silny i sprawny to fakt. Wskazane jest żeby jako tako wyglądał. Jednak nie to jest najważniejsze. „Bramkarz" musi przede wszystkim myśleć trzeźwo. Tutaj potrzebna jest intuicja, żeby wyczuć z kim się ma do czynienia, jak z takim rozmawiać, czy wpuścić do środka, chociaż nie jest studentem. W zasadzie klub jest tylko dla studentów, ale wpuszczamy też innych. Wiadomo przecież, że niektórzy studenci bywają bardziej buńczuczni niż inni.

4.

Jurek:

— Czy „lejemy po buzi"? No, czasami raz na miesiąc — zgodnie z polską normą. Ale poważnie. Nie da się ukryć, że zdarzają się sytuacje, kiedy trzeba brutalniej interweniować. Raczej unikamy takich incydentów. Uderzyć ot tak w pysk do krwi to żaden problem, w końcu potrafimy to robić. Jednak nie o to chodzi.

Przemek:

— Tak, jak mówił Jurek, najłatwiej kogoś uderzyć. Wszyscy z nas coś ćwiczą, na przykład karate. Dalibyśmy sobie radę z niejednym „bohaterem". Ale jesteśmy tutaj po to, żeby nie dopuszczać do bójek. Staramy się tłumaczyć intruzom, że nie mają czego w klubie szukać.

Krzysiek:

— Przychodzi jakiś podpity i chce doprawić się piwem. Oczywiście nie wejdzie. I rzeczywiście, niektórzy to rozumieją i spokojnie zmieniają lokal. Bywają jednak agresywni, szczególnie po wypiciu małej wódki. Czasami wystarczy tylko powiedzieć, że piwa zabrakło i problem jest z głowy. Najgorsi są ci z prowincji, którzy być może po raz pierwszy przyszli na dyskotekę do studenckiego klubu. Nie znają zwyczajów tutaj panujących — myślą, że można przepchać się łokciami jak w remizie strażackiej. Z takimi są kłopoty.

Jurek:

— Przychodzi dużo „małolatów", takich gnojków kilkunastoletnich. Trenuje taki gdzieś karate i przychodzi tutaj poszpanować, jaki to on silny i sprawny. No i dostaje czasami w twarz, niestety. Czy filozofia karate lub innego wschodniego sportu, który uprawiamy pozwala na wykorzystywanie naszych umiejętności w ten sposób? Ludzie myślą, że my stoimy na „bramce", żeby się wyżyć, że jest to druga mata i trening. Nieprawda, filozofia karate pozwala na stosowanie w praktyce zdobytych umiejętności w obronie własnej. Wszystko się zgadza.

Przemek:

— Owszem, bywali u nas zapaśnicy, którzy na „bramce" po prostu trenowali. Zasłużył „klient" czy nie zasłużył, ale w dziób dostał. Oni musieli, rzekomo, stale ćwiczyć. Już dawno nie pracują...

Rysiek:

— „Bramkarz" powinien być inteligentny i nie pić alkoholu. U nas tak się szczęśliwie składa, że chłopaki nie piją. Nie dlatego, że są „bramkarzami" ale dla zasady. I to się dobrze składa. Po pierwsze nikt ich nie przekupi alkoholem, po drugie mają zawsze głowę na karku, jak to się mówi.

Jurek:

— Różni tutaj stali. Niektórzy za pół litra wpuściliby wszystkich za darmo na dyskotekę. Czasami „na bombie" sami prowokowali awantury. Tacy „bramkarze" zazwyczaj po dwóch, trzech tygodniach odchodzą. Sami dochodzą do wniosku, że się nie nadają albo szef im to daje do zrozumienia. Po co wyrabiać złą opinię innym. Bo postać „bramkarza" jest kontrowersyjna, nie da się ukryć. Wyżywamy się na innych chłamy, wódkę, jesteśmy przekupni, bierzemy do kieszeni ile tylko można...

Rysiek:

— „Bramkarze" nie wzywają nigdy milicji? Bzdura i plotka. Jeżeli jest taka potrzeba, to oczywiście, że wzywamy radiowóz. Po co się niepotrzebnie szarpać, robić sobie wrogów. Od większych rozrób jest milicja. Ale to bardzo rzadko, dopiero jak się przysłowiowa krew poleje na sali, jak lecą stoliki. Ostatnio nie pamiętam takiej sytuacji. W „Tygrysie" na „Lumumbowie" jakieś pół roku temu była zdrowa rozróba z Arabami, tam „bramkarze" oberwali po głowie. U nas, w „Siódemkach"? Nie, nie pamiętam...

5.

Student I:

— „Bramkarze"? Nie miałem przyjemności mieć z nimi „kontaktu pierwszego stopnia". Sądzę jednak, że nie są z tych, którzy tylko „leją". Ale, nie powiem — wygląd mają. Szczególnie ten niski, taki zbudowany. Czy biorą w kieszeń? Bo ja wiem. Długo tu stoją, to o czymś świadczy. A zresztą, czy pieniądze są dzisiaj najważniejsze. Załatwia się takie sprawy w inny sposób. Pamiętam, na którejś dyskotece jeden z „bramkarzy" ogłosił, że ten, kto załatwi mu błotniki do malucha ma wejście z głowy do końca roku. Nie wiem czy żartował, czy mówił poważnie...

Student II:

— Dostałem raz w twarz zdrowo. Byłem wtedy pijany, podobno się stawiałem. Przyszedłem następnego dnia przeprosić... Powiedział, że nie ma tutaj dla mnie wstępu. Ale jak widzisz, jestem. Nie są źli...

JACEK BINKOWSKI

PS. Zdaję sobie doskonale sprawę, że wypowiedzi „bramkarzy" z AOK „Siódemki" nie wyczerpują tematu i nie są bynajmniej uogólnieniem. Temat „bramkarzy" jest ciągle kontrowersyjny i budzący różne odczucia. Sprawę pozostawiam otwartą...

Portret matki

Foto: MIROSŁAW ZAJDLER

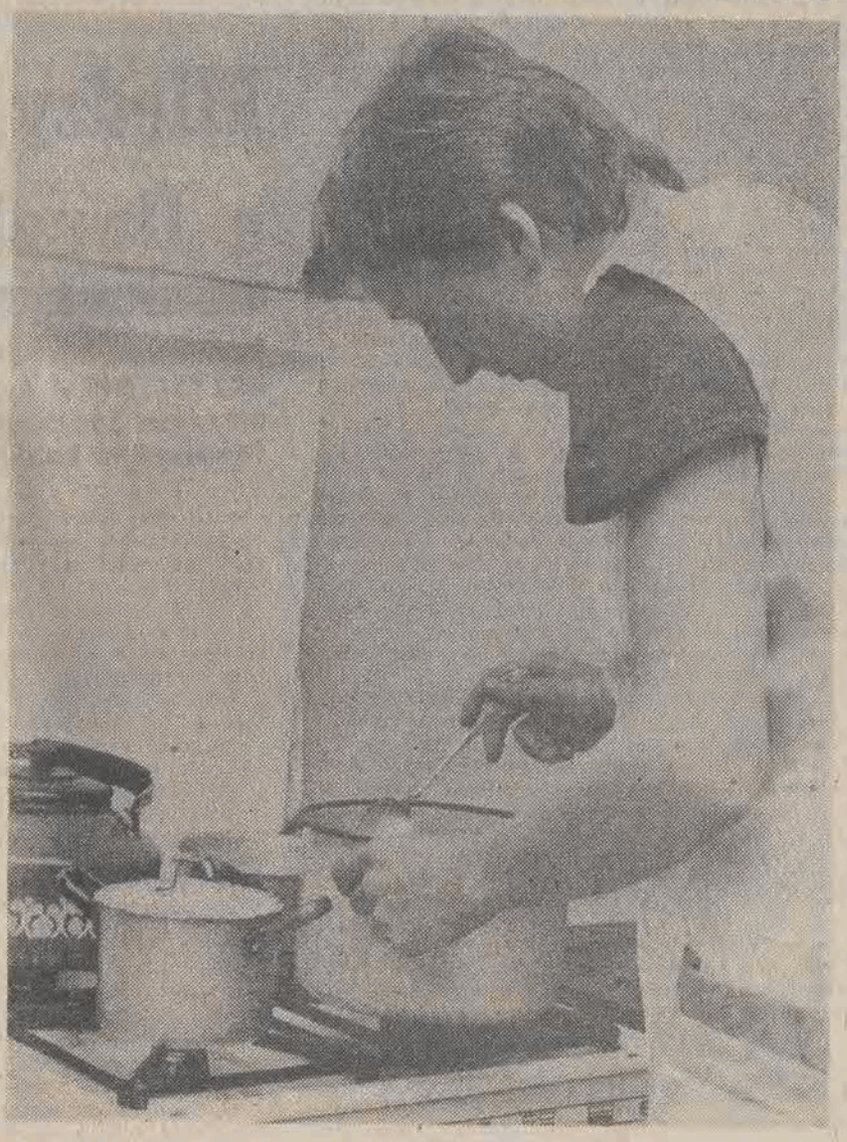

Maciej Józef Kononowicz

Nie napisany wiersz

MATCE

Gonię Cię wzrostem swej młodości —
a Tyś uciekła w wiek dojrzały —
gdy ja dojrzałem — szron wymościł
Twe włosy. Teraz są już białe.

Gdy mi na skroniach płomyk śnieżny
nieśmiało jeszcze pali włosy
mój męski wiek dalekobieżny
za Tobą dźwięczy tak jak pościg.

Kiedyś za metą się spotkamy,
kiedyś się wreszcie nagadamy,
o matko, matko,
to pewnie będzie mój najlepszy
z nie napisanych nigdy wierszy:
rozmowa z Tobą.
1955

Henryk Morawski

Hekuba – matka

(z cyklu „Matki tragiczne")

Jak piękna jest
Hekuba — m a t k a
gdy błaga kornie syna
z wysokiej skajskiej bramy
  Rzuć mężny Hektorze
  miecz płonący
  na Achillesa zgotowany
  i serce matki
  skryj pod kolczugę
  niech się nie tłucze
    ptak niespokojny
  w męce
Zachowaj wodzu
zachowaj siebie
moją piętę achillesa

Moja matka wojenna

Przytulisko cmentarne
z ziaren ciszy utkane
zgina bezsilnie plecy
pod ciężarem pamięci

Samotnością Twoją zraniony
klękam
myślę, że przenieść potrafię
na tamten brzeg
miłość mojej matki wojennej
rzeźbioną milczeniem marmuru

Dalekim echem zniewolony
oddech wstrzymuję bo wtedy się słyszę
że twardy kamień czuciem smagnięty
poza horyzont losu przeniósł
imię najtkliwsze: dziecko

Pochylony
rzucam na młodość mojej matki wojennej
grudkę ziemi
cięższej o jedno zwierzenie

Modlitwa matki

Późny czas wyredlił dobrotliwie
bruzdy głębokie
w kącikach ust zatrzymał uśmiech dobry
nad twoją kołyską schylony

Za oknem
człapie od dawna strudzona noc
księżyc ciekawy
niebo uśpionym domom podaje
gdy święta ikona na kolanach
światełko przed matką stawia

Sprzęty oddech wstrzymują
by nie uronić ni słowa
z modlitwy matki do jutra
o błogosławieństwo dla wszystkich
prócz siebie

■

Bigos hultajski

Mieszanka firmowa literacko — obyczajowa

POD ZNAKIEM NORWIDA

Paryż. Sobotni poranek 23 maja 1883 r. W Zakładzie Św. Kazimierza umiera Cyprian Norwid, jeden z najwybitniejszych poetów polskich XIX wieku. W przededniu śmierci padły z jego ust znamienne słowa: „Przykryjcie mnie lepiej!", wieloznacznością swą odnoszące się też do przewidywania późniejszych losów twórczości własnej, za życia poety otaczanej zmową milczenia ze strony krytyki, niechęcią pozornych przyjaciół i obojętnością opinii publicznej. Zapomniamy za życia, po latach dzięki odkryciom Miriama-Przesmyckiego stał się na nowo fenomenem literackim, a w naszych czasach doczekał się należnej mu sławy. Liczne wydania dzieł Norwida, komentarze i opracowania twórczości, nie w pełni jeszcze zrozumianej przez „późnych wnuków", pozwalają poznać głębię tego niezwykłego umysłu.

W dzisiejszym odcinku naszych spotkań z przeszłością znajdziemy się w czasach Norwida, wśród ludzi i spraw jego pokolenia.

ARTYSTA I SZLAGON

Anegdota poniższa, różniąca się w drobnych szczegółach od wersji Edwarda Siwińskiego („Gazeta Warszawska" 1897, nr 147—8) i Franciszka Kleina („Od A do Z" 1946, nr 15) wywodzi się ze wspomnień historyka sztuki Mariana Sokołowskiego, związanego przez pewien czas serdeczną przyjaźnią z Norwidem.

„Do pracowni Cypriana Norwida w Paryżu przyszedł raz jego dobry znajomy, obywatel z Wołynia. Zastał wielkiego poetę-malarza w zabrudzonym fartuchu, przy sztalugach, na których stał rozpoczęty portret.

Szlagon popatrzył na Norwida ze współczuciem i nieśmiało zauważył:

— To pan dobrodziej musi tak sam, sam malować?

— Cóż zrobić? — odpowiedział Norwid. — Nie mam lokaja, muszę malować sam".

Tekst zaczerpnięty z dziełka „Facecje i anegdoty. Ze źródeł polskich i obcych wybrał M. P." Warszawa, „Wesoła Biblioteka". E. Wende. **Relacje Siwińskiego i Kleina przypomniał Juliusz W. Gomulicki w XI tomie** „Pism wszystkich" Cypriana Norwida, Warszawa 1976.

TRZECI SEN O NORWIDZIE

Mój znakomity mistrz i przewodnik po zakamarkach dawnej literatury Juliusz W. Gomulicki w swoich „Podróżach po Szpargalii", **publikowanych na łamach** „Nowych Książek" **w latach 1957—1960, ogłosił dwa sny o Norwidzie.**

Norwid żyjący przyśnił się sympatyzującej z nim Zofii Węgierskiej na tydzień przed jej nagłym zgonem (1869), Norwid zmarły pojawił się we śnie Mieczysławowej Geniuszowi w 1902 r., o czym wspomniał w liście do Zenona Przesmyckiego:

„Pierwsza pobudka mego listu do Szanownego Pana jest dosyć dziwna: śnił mi się bowiem Norwid z wyrazem smutku na twarzy i z wyrzutem do mnie, że o nim zapomniałem".

Do owych snów o Norwidzie dodaję jeszcze jeden zapis, który wyszedł spod pióra Teofila Lenartowicza, wieloletniego przyjaciela Norwida, 24 stycznia 1882 r. tak pisał „lirnik mazowiecki" do Julii Jabłonowskiej:

„Jeżeli pan Adam Prażmowski zachodzi do panów (!), najserdeczniej go pozdrawiam, toż i Cypriana Norwida. Śnił mi się smutny, tak żem z nim razem płakał przez sen".

PANIE KOCHANKU

Pamiętam, jak raz — wspomina Marian Sokołowski — byliśmy razem na balu polskim w Paryżu. Była to jedna z najwspanialszych zabaw, urządzana corocznie na dochód polskiego Towarzystwa Św. Kazimierza. Brała w niej udział cała elita świata paryskiego. Wśród ogromnego tłumu najwytworniejszych elegantek ogólną uwagę zwracała niezwykłą urodą księżniczka Radziwiłłówna, podobno wnuczka słynnego Radziwiłła Panie Kochanku". Dokoła niej panował wprost ścisk. Młodzi i starzy cisnęli się do tej nowoczesnej Afrodyte, by z nią bodaj dwa słowa zamienić lub choć spojrzenie uzyskać. Była ona prawdziwą królową balu. I Norwid stojąc ze mną patrzał na nią z zachwytem, jakby na zjawisko. Wreszcie nie odrywając oczu, porwany jej czarem zawołał:

— Ta mogłaby bez żadnej przesady każdemu mówić „panie kochanku".

ROMANTYCZNE TRANSMIGRACJE

Pod wpływem irracjonalno-mistycznych teorii Andrzeja Towiańskiego wśród emigracji paryskiej szerzyła się wiara w reinkarnację, wędrówkę dusz, wskutek której człowiek żyjący mógł być kolejnym wcieleniem jakiejś istoty żywej sprzed lat. Pamiętnikarz Michał Budzyński tak wspominał o jednej z nieszczęsnych ofiar idei Towiańskiego:

„(Pułkownik Kamiński) wyobraził sobie, że wprzód nim był pułkownikiem Kamińskim, przepędził jedno życie na oborze i spełniał funkcję krowy".

W relacji Aleksandra Niewiarowskiego (W. Marrene-Morzkowska, „Cyganeria warszawska", Warszawa 1905) **Juliusz Słowacki** „utrzymywał", iż w jednym ze swych wcieleń był Kopernikiem, dlatego to zajmowała go niezmiernie astronomia, a ile razy wczytywał się w książki tej nauce poświęcone, doznawał uczucia, że były to rzeczy dobrze mu znane"

W tym kontekście bardziej zrozumiała staje się anegdota o Norwidzie zapisana przez Marię Sadowską w 1876 r.:

„Z towiańczykami na plac mi nie wyjeżdżajcie, bo oni dla mnie są tym, czym ich wybornie Cyprian Norwid zamianował.

—A cóż on o nich powiada, boć to także nie byle głowa?

— Że to są „mistyczni pieczeniarze".

— Nie wspominajże o tym jegomość nikomu, bo jeśli się dowiedzą, to biedna duszyczka pana Cypriana w konia, w krowę lub gorsze jakie bydle przedzierzgną".

Opracował:
ANDRZEJ KEMPA

„Policjantka" — niedosyt

Zastanawiającym jest fakt, jak bardzo uporczywie powracają w sztuce filmowej pewne — zdawałoby się wyeksploatowane już — tematy, a wraz z nimi prawdy tak powszechnie znane, że trudno by uznać je za odkrywcze. Jeżeli jednak filmy powielające w zasadzie ten sam schemat wciąż cieszą się zainteresowaniem publiczności, to płynie stąd nieodparcie wniosek, że to, o czym filmy te opowiadają dotyka problemów, do których przeciętny widz ma żywy emocjonalnie stosunek, które nie są dlań obce i odległe.

Podobnie pornografia — choć informacyjnie jałowa (ilość możliwych kombinacji jest przecież dość ograniczona) — podnieca mimo wielokrotnego ukazywania rzeczy takich samych lub bardzo podobnych.

Tak też zapewne jest z filmem Yves Boisseta „Policjantka". Film cieszy się u nas dużą frekwencją (pełna widownia nawet na przedpołudniowych seansach w dni powszednie) chociaż w ostatnich latach widzieliśmy na naszych ekranach sporo filmów — tak polskich jak i zagranicznych — z których generalne wnioski były zasadniczo takie same, jak te, które nasuwają się po obejrzeniu „Policjantki".

Można by je streścić w słowach: „kruk krukowi oka nie wykole", „rączka rączkę myje"... wiadomo o co chodzi. Im wyżej jest się w hierarchii społecznej, tym łatwiej przekroczyć prawo i tym mniejsze prawdopodobieństwo ukarania popełnionego przestępstwa. Sprawiedliwość służy tym, którzy są na górze, a nie szaremu, przeciętnemu człowiekowi. Zjawiska tego typu są stare jak świat, zawsze też wzbudzały oburzenie, gniew tych, którzy nie zaliczali się do elity uprzywilejowanych.

Film Yves Boisseta pokazuje m. in. jak aparat ścigania i wymiaru sprawiedliwości Republiki Francuskiej chroni przed odpowiedzialnością karną członków prowincjonalnego establishmentu, którzy są zamieszani w wielką aferę prostytucji dzieci, pornografii dziecięcej, a przy tym w sprawę morderstwa seksualnego na małej dziewczynce. Inspektorka policji — tytułowa policjantka, która pragnie ujawnić prawdę, zostaje zmuszona do wystąpienia z szeregów policji, a sędzia z nią współpracujący otrzymuje służbowe przeniesienie do innego miasta. Fakt, że główny podejrzany jest zięciem bogatego przemysłowca i bankiera — de Schulera (jakże znaczące jest to nazwisko!) sprawia, że jest on w praktyce nietykalny.

Negatywny obraz policji i pośrednio państwa, które chronią możnych tego świata, zostaje złagodzony przez ukazanie sytuacji, które zdają się mówić, że pomimo wszystko aparat policyjny jest potrzebny i konieczny całemu społeczeństwu, że spełnia on szereg pozytywnych, wręcz opiekuńczych w stosunku do obywatela funkcji.

Film pokazuje również, że funkcjonariusze aparatu policyjnego są ludźmi takimi jak i inni — mają swoje zalety i swoje słabości, na ogół są uczciwi i chcą dobrze, ale działając w określonych układach zmuszeni są czasem do pewnych kompromisów moralnych.

I tu pojawia się problem o kapitalnym i uniwersalnym znaczeniu (Boisset pozostawia go otwartym — pytanie o granicę kompromisu moralnego, do jakiego stopnia wolno rezygnować z tego, co być powinno na rzecz tego, co być niestety musi?...

Doniosłość (acz nieszczególna odkrywczość) podjętych problemów socjologiczno-politycznych i moralnych stanowi bezsporny atut filmu. Zasadniczo pozytywnym też jest fakt poświęcenia przez reżysera dużo uwagi temu, aby mechanizmy wydarzeń ilustrujących z góry przyjęte tezy były jak najbardziej wiarygodne, a postacie działały zgodnie z psychologicznym prawdopodobieństwem. W szczególności perypetie tytułowej policjantki, granej przez Miou-Miou, służą z jednej strony stworzeniu interesującej, bogatej psychicznie postaci bohaterki filmu, z drugiej strony pozwalają ukazać różne aspekty funkcjonowania aparatu policyjnego.

Jest to świadectwo daleko idącego weryzmu, tak socjologicznego jak psychologicznego, czegoś pokrewnego balzakowskiemu realizmowi krytycznemu.

Jednocześnie intencją Boisseta było — jak się zdaje — stworzenie filmu sensacyjnego. I tu zaczyna się główne „pęknięcie" wewnątrz filmu. Film posiada co prawda sensacyjną w zarysie fabułę, ale niestety nie posiada napięcia filmu sensacyjnego... Wynika to z konstrukcji całości, w której dużo miejsca poświęcono obserwacjom środowiskowym i psychologicznym, podczas których zasadnicza akcja stoi w miejscu. Również to, że akcja filmu rozpada się na kilka autonomicznych pod względem dramaturgicznym epizodów, a właściwa, główna sensacja filmu — afera pornograficzno-prostytucyjna — zaczyna się dopiero około połowy utworu sprawia, że dramaturgicznie film jako całość jest niezbyt udany, nie wywołuje u widza zbytniego napięcia.

O ile jeszcze syntezę filmu społecznego z psychologicznym można uznać za w miarę udaną, to połączenie tych poprzednich gatunków z filmem sensacyjnym nie jest w wypadku „Policjantki" w pełni szczęśliwe. Widocznie nie zawsze można piec trzy pieczenie przy jednym ogniu.

Szkoda, że Yves Boisset nie zdecydował się jaki film chce stworzyć, w jakiej konwencji.

Efektem braku zdecydowania reżysera na jedną określoną konwencję, jeden gatunek filmowy jest uczucie niedosytu, z jakim wychodzi się z kina po obejrzeniu „Policjantki".

ADAM BART

„POLICJANTKA" — produkcja francuska, reżyseria: Yves Boisset, w roli głównej: Miou-Miou.

Resztę sobie dopowiedz...

Jednym z pierwszych skojarzeń, jakich można doznać podczas lektury wierszy Marka Sołtysika*), twórcy znanego dotąd z kilku książek prozatorskich oraz słuchowisk — było wspomnienie zbiorku Kazimierza Wyki pod charakterystycznym tytułem „Duchy poetów podsłuchane". Wyka dokonał czegoś w rodzaju imitacji, pastiszu, a może po prostu swoistej poetyckiej kwintesencji twórczości kilkunastu poetów polskich przynależnych różnym epokom i stylom. Oddał sens ich artystycznej postawy. Powyższe skojarzenie wydaje się nieprzypadkowe. Tomik wierszy Marka Sołtysika podsłuchuje bowiem duchy mistrzów pędzla i palety, oddaje sens artystycznej egzystencji kilkunastu malarzy polskich (a nawet obcych, tych, którzy w jakiejś mierze poczuli się Polakami), działającymi — najogólniej mówiąc — na przełomie wieku dziewiętnastego i dwudziestego. W wierszach autora „Korytarza" nie znajdziemy, rzecz prosta, nikłego nawet śladu pastiszu czy naśladownictwa, wszystkie one pomyślane zostały jako rekonstrukcja specyficznej sytuacji artystów — tych znanych i tych zapoznanych — sytuacji, którą najzwięźlej określić można w ten chyba sposób: cena sukcesu (a w wielu przecież przypadkach jedynie wysiłku) artystycznego okupiona zostaje cierpieniem, bólem, niespełnieniem, a nawet daniną życia. Sprawa owa fascynuje Sołtysika — absolwenta Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie — od dawna. Cena, jaką płaci artysta za swą twórczość, a choćby tylko za prawo do jej uprawiania — cena zazwyczaj wysoka i często niewspółmierna wobec końcowego efektu — oto podstawowe zainteresowanie pisarstwa Marka Sołtysika.

Te wiersze są tak do siebie podobne, a zarazem tak różne. Ich podobieństwo podyktowane zostało zapewne między innymi zamiarem utrzymania spójności cyklu, różnica wynika z wczuwania się w codzienność poszczególnych indywidualności twórczych. W wierszach Sołtysika wyznania czynią zarówno artyści znani, jak Stanisław Wyspiański, Władysław Podkowiński, Aleksander Gierymski, Jacek Malczewski oraz ci, których nazwiska niespecjaliście niewiele już dziś powiedzą, na przykład Parys Filippi, Jędrzej Bronisław Grabowski czy Aleksander Gryglewski. Lecz niezależnie od ich artystycznej rangi, niezależnie od życiowych perypetii — atmosfera wyznań jest wspólna. Oto jeden z zapomnianych, Władysław Aleksander Malecki, rzecze:

„Malować, malować! Gdyby nie to, sam bym
sobie musiał życie odebrać.
Malować — — moje wybawienie, moje
malarstwo, moja cicha, gęsta Śmierci!"

W słowach powyższych, które notabene z powodzeniem mogłyby pełnić funkcję motta całego tomiku, zda się najwyraźniej tkwić charakterystyczna dla całości tonacja. Sztuka bowiem to imperatyw, prawdziwa sztuka to imperatyw kategoryczny, dla którego nie ma innej alternatywy, niż ta, o której dopiero co była mowa. Rekonstrukcje, dokonane przez Marka Sołtysika, są precyzyjne i szczegółowe, można powiedzieć żartobliwie, że wiersze te tętnią realiami z życia malarzy jak aorta tętni krwią. Sołtysik wydobywa to wszystko co było ożywcze, jak choćby wiara w zwycięstwo sztuki nad małością pospolstwa, a jednocześnie pozostaje niezwykle uczulony na te wszelkie okoliczności, które wiodły ku unicestwieniu ludzi bądź ich dzieła. Myliłby się jednak ten, kto by przypuszczał, że autor „Korytarza" jedynym wyposuje smutnawą legendę, a innych stara się wyprowadzić z ciasnych ram stereotypu. On po prostu przeżywa swój własny, intymny ogląd artystów sprzed stulecia, obcuje z ich duchowym dziedzictwem pełen zadumy i pokory. Postawę tę jakże smętnie wyraża na przykład w wierszu pt.: „Witold Wojtkiewicz. Cisza":

„Dotychczas nie udało mi się dotrzeć do tego
pięknego człowieka:
Wciąż się odsuwa, wciąż na bok, jakby jeszcze tu
Groziło mu jakieś nowe niebezpieczeństwo (...)
Błądzę, amator, jak nawet ukradkiem omijam
muzea".

Sytuacja podmiotów lirycznych jest tu bez wyjątku tragiczna — lecz gra iluż elementów na to się składa, z iluż to kruszców powstaje szlachetny stop, z którego współczesny malarz buduje pomniki swoim poprzednikom, trwalsze — miejmy nadzieję — niż nagrobek Szymona, o którym półżartobliwie, na poły zaś ironicznie traktuje jedyna w „Korytarzu" proza poetycka.

Resztę sobie dopowiedz — pointa kończąca jeden z wierszy — wystarczyłaby za pointę całego zbioru. Resztę sobie dopowiedz, Czytelniku, czytając te epitafia pióra późnego wnuka, pomyśl, czym jest i czym może być sztuka, podumaj, kim jest artysta — jej niewolnik...

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

*) **Marek Sołtysik: „Korytarz". Czytelnik, Warszawa 1982, s. 40, nakład 5280 egz., cena zł 45.—**

Między Wisłą a Dunajem

Rozmowa z doc. dr habil. KRZYSZTOFEM A. KUCZYŃSKIM, prezesem Łódzkiego Oddziału Towarzystwa Polsko-Austriackiego

Wznowił ostatnio działalność Łódzki Oddział Towarzystwa Polsko-Austriackiego. Jest to jedno z polsko-zagranicznych towarzystw działających w naszym mieście, jak np. Towarzystwo Polsko-Węgierskie czy Polsko-Japońskie. Prosiłbym o przypomnienie początków...

— Koło Łódzkie (tak brzmiała wówczas nasza oficjalna nazwa) Towarzystwa Polsko-Austriackiego powstało w 1973 roku. Jesienią, dokładnie 18 października, powołano nas do życia mocą uchwały Zarządu Głównego TP-A, na czele którego stoi od lat prof. Stanisław Turski, zaś Sekretarzem Generalnym jest dr Adolf Donath, germanista Uniwersytetu Warszawskiego.

Pierwszym prezesem Oddziału TP-A w Łodzi został prof. dr habil. Janusz Górski, ówczesny rektor Uniwersytetu Łódzkiego. W pierwszym Zarządzie zasiadali m.in. dyrektor Muzeum Sztuki mgr Ryszard Stanisławski, dyrektor Studium Języków Obcych UŁ dr Zenon Rudnicki oraz mgr Zygmunt Ciercziakowski. Pierwszy odczyt, na inaugurację działalności, wygłosił ówczesny dyrektor Instytutu Filologii Germańskiej UŁ prof dr habil. Arno Will, autor wielu cennych publikacji naukowych o polsko-austriackich stosunkach literackich. Wśród naszych późniejszych imprez warto wymienić m.in. kilkudniową wycieczkę członków TP-A do Wiednia, koncert muzyki Schuberta, odczyt prof. Stanisława Kaszyńskiego o polsko-austriackich kontaktach teatralnych czy wystawę „Austriacy na emigracji 1939—1945".

— Wkrótce wasz pierwszy jubileusz, jeszcze skromny, bo dziesięciolecia. A kiedy powstało Towarzystwo Polsko-Austriackie w ogóle?

— Zostało ono zawiązane w 1959 r. W przyszłym roku będziemy mieli XXV-lecie działalności Towarzystwa. Warto dodać, że analogiczne Towarzystwo Austriacko-Polskie z siedzibą w Wiedniu rozpoczęło działalność już w 1946 roku. Muszę jednak powiedzieć, iż mimo późniejszego startu nasze Towarzystwo zrobiło rzeczywiście wiele dla pogłębienia obustronnej znajomości i dobrych stosunków.

— Jak wygląda — mówiąc w najogólniejszym zarysie — działalność Towarzystwa Polsko-Austriackiego w skali ogólnopolskiej?

— Zgodnie z naszym statutem popularyzowana jest wśród społeczeństwa polskiego wiedza o historii, kulturze, nauce i osiągnięciach ekonomicznych Austrii. Inicjujemy także różnego rodzaju kontakty pomiędzy odpowiednimi instytucjami i organizacjami Polski i Austrii. Podstawowymi formami działalności są odczyty zarówno gości z Austrii, jak i polskich prelegentów, spotkania z artystami i pisarzami, naukowcami i handlowcami. Są propagowane filmy austriackie muzyka. Urządza się wystawy, np. w dziedzinie plakatu. Istnieje współpraca specjalnego Zespołu Ekonomicznego z Forum Gospodarczym. Wiele uwagi przykłada się do popularyzowania sprawy polskiej nad Dunajem... Bardzo pomocne nam jest Towarzystwo Austriacko-Polskie, na czele którego stoi dr Theodor Kanitzer oraz Instytut Polski w Wiedniu. Przy Zarządzie Głównym TP-A są prowadzone także kursy języka niemieckiego. Towarzystwo Polsko-Austriackie wydaje od lat własne czasopismo „Biuletyn-Informator", jedyny w kraju periodyk zajmujący się wyłącznie problematyką polsko-austriacką. Trudno wymienić tutaj wszystkie formy działalności Towarzystwa Polsko-Austriackiego, zresztą szukamy coraz to nowych, bardziej doskonałych sposobów propagowania spraw austriackich w Polsce oraz nawiązywania kontaktów między naszymi krajami.

— Wróćmy na nasze łódzkie podwórko. Co planujecie w najbliższym czasie, jakie macie propozycje i zamierzenia?

— Chociaż rok bieżący jest wyjątkowym, jako że wszystko stoi pod znakiem Odsieczy Wiedeńskiej, chcielibyśmy program nasz nieco poszerzyć. I tak np. w kwietniu mieliśmy bardzo wartościowy odczyt doc. dr habil. M. Cygańskiego o Republice Austrii lat 1933—38, w maju zaś zamierzamy zorganizować odczyt o polonikach w literaturze austriackiej XX wieku (np. o Łodzi pisało kilku znanych twórców znad Dunaju, jak Joseph Roth czy Martina Wied), w czerwcu natomiast nt. współczesnej konstelacji politycznej Republiki Austrii. Staramy się ponadto każde spotkanie urozmaicić filmem austriackim w wersji oryginalnej. W dalszej nieco perspektywie zamierzamy zorganizować wystawę znaczków austriackich oraz przegląd kilku filmów fabularnych.

Wrzesień zaś to oczywiście w tym roku miesiąc Jana III Sobieskiego, który 12 września 1683 roku jako głównodowodzący sił sprzymierzonych rozgromił pod Wiedniem wojska Kara Mustafy i zapoczątkował powolny zmierzch potęgi tureckiej.

W miarę naszych skromnych możliwości postaramy się zorganizować w Łodzi ciekawą imprezę, aby dać sympatykom i członkom Towarzystwa Polsko-Austriackiego możność przypomnienia owego epokowego wydarzenia, jak i triumfu polskiego oręża i naszej myśli wojskowej.

Przygotowania ogólnopolskie są prowadzone na szeroką skalę. Od pewnego już czasu odbywają się sesje naukowe i popularne, ukazują się publikacje związane z Odsieczą (np. Abrahamowicza, Wimmera, Wójcika), przygotowywane są liczne wystawy (w tym centralna na Wawelu), kręcone są filmy dokumentalne, ukażą się okolicznościowe monety i znaczki. Strona polska uczestniczy także w sympozjach i wystawach austriackich.

Na jakiej bazie pracujecie w Łódzkim Oddziale Towarzystwa Polsko-Austriackiego?

— Organizacyjnie jesteśmy podporządkowani Zarządowi Głównemu TP-A jako jeden z siedmiu oddziałów terenowych. Opiekę i pomoc otrzymujemy także od Federacji Stowarzyszeń Kulturalnych, co jest dla nas bardzo ważne i istotne. Współpracujemy z Instytutem Kultury Austriackiej w Warszawie...

— A także, jak sądzę, z różnymi instytucjami w Łodzi?

— Część członków Łódzkiego Oddziału Towarzystwa Polsko-Austriackiego stanowią pracownicy naukowi Uniwersytetu Łódzkiego. Mamy także członków rekrutujących się z różnych przedsiębiorstw i placówek, np. Muzeum Sztuki Pragniemy nawiązać kontakt z centralami handlu zagranicznego sądząc, iż znajdziemy tutaj forum dla ożywionej wymiany doświadczeń. Postaramy się zapraszać na spotkania specjalistów od gospodarki, głównie handlu zagranicznego, korzystając min. z pośrednictwa Ambasady Republiki Austrii. Zresztą działalność naszego Łódzkiego Oddziału TP-A, jak chyba wszystkich tego typu stowarzyszeń zależeć będzie przede wszystkim w pewnej mierze od aktywności i propozycji członków. Dlatego zapraszamy wszystkich sympatyków i przyjaciół Austrii.

— Gdzie mieści się wasza siedziba?

— Niestety nie posiadamy własnego lokalu, korzystamy z pomieszczeń muzeów Instytutu Filologii Germańskiej UŁ przy ul. Pieramowicza 6, gdzie mamy Zarząd Oddziału i gdzie będziemy urządzać część naszych imprez. Tam więc raz jeszcze — korzystając z okazji — zapraszam serdecznie na spotkania członków Towarzystwa Polsko-Austriackiego.

— A kto może zostać członkiem Towarzystwa?

— Może to być każda pełnoletnia osoba, która złoży deklarację przyjęcia. Oprócz tego istnieje także członkostwo wspierające jest to możliwość przynależenia do Towarzystwa w wypadku akcesu przedsiębiorstwa czy instytucji. Sekretarz Zarządu Łódzkiego Oddziału TP-A, mgr Aleksander Kozłowski, mający w swej gestii całokształt spraw organizacyjnych jest gotów służyć wszelkimi, wyczerpującymi informacjami dotyczącymi działalności naszego Towarzystwa.

Rozmawiał:
ZYGMUNT MALINOWSKI

VII Łódzkie Spotkania Baletowe

Łódzkie Spotkania Baletowe minęły już półmetek, ze względu jednak na cykl wydawniczy tygodnika dopiero dziś zamieszczamy omówienie pierwszych czterech wieczorów, których obraz nieco już zatarł się w pamięci widzów pod wpływem nowszych przedstawień.

WIECZÓR PIERWSZY: „ŚPIĄCA KRÓLEWNA"

Dla ścisłości wyjaśnijmy, że ten znany, choć chyba nie najświetniejszy balet Piotra Czajkowskiego nosi w oryginale tytuł „Śpiąca piękność", ale że królewny też bywały piękne, więc nie ma o co się spierać. Ów balet-feeria, jedno z ostatnich dzieł kompozytora, zajmuje wprawdzie trwałe miejsce w światowym repertuarze klasycznym, wydaje się jednak, iż zawdzięcza swoje powodzenie nie tyle samej muzyce, nie tyle także dramatycznym walorom libretta, ile głównie dającej pole do popisu choreografii słynnego Mariusza Pepity, pozostającej dziś powszechnie akceptowanym wzorem.

W przedstawieniu warszawskiego Teatru Wielkiego, z choreografią PIOTRA GUSIEWA (ZSRR) i baśniowo pięknymi dekoracjami JADWIGI JAROSIEWICZ, pod batutą ALEKSANDRA TRACZA, akcja sceniczna okazuje się mało frapująca, sporo w niej dłużyzn, toteż całą uwagę przykuwają popisy taneczne, na ogół sprawne i więcej niż poprawne, rzadko jednak dostarczające tej radości, jaką można czerpać z interpretacji roli bez towarzyszącego niepokoju: „uda się czy nie uda!"

Z niezmąconą satysfakcją oglądałem od początku do końca aktorsko-taneczną kreację EWY GŁOWACKIEJ, jako dobrej WRÓŻKI BZU oraz jej antagonistki CARABOSSE, w którą wcielił się EMIL WESOŁOWSKI. I choć interpretacyjnie rola nie wzbogaciła baśniowego stereotypu złej czarownicy, to jednak aktorsko była bez zarzutu. Wiodącą, bardzo odpowiedzialną rolę AURORY wykonywała przekonująco BARBARA RAJSKA, nie zawsze jednak dość swobodnie Precyzję i lekkość ruchów ujawniła ANNA GRABKA jako WRÓŻKA SZALONA, ogólnie biorąc popisy WRÓŻEK SZLACHETNYCH KAMIENI wydały mi się w sumie bardziej interesujące, wśród nich także KAMY AKUCEWICZ, jako WRÓŻKI BRYLANTÓW, niż pas de six WRÓŻEK DOBRYCH. Nienaganny był w roli KSIĘCIA DESIRE — TADEUSZ MATACZ.

Wśród grup tanecznych najbardziej udanie zaprezentowali się w diabolicznym „Allegro vivo" WESOŁOWSKI ze swoją szczurzą świtą ponadto taniec ośmiu PAZIÓW po wielkim walcu B-dur oraz taniec NEREID po Addagiu Aurory. Na wszelkie pochwały zasługuje utalentowana młodzież warszawskiej szkoły baletowej.

WIECZÓR DRUGI: ALBERTO MENDEZ

Program wypełniły w całości prezentacje tancerzy warszawskiego Teatru Wielkiego w przygotowaniu wybitnego choreografa kubańskiego, ALBERTA MENDEZA. Jedynie pierwszy punkt programu: „GRAND PAS DE QUATRE" opracowany został choreograficznie przez twórczynię Narodowego Baletu Kuby, ALICJĘ ALONSO. Utwór stanowi rekonstrukcję XIX-wiecznego układu Julesa Perrota, z udziałem najsłynniejszych wówczas romantycznych balerin. Zarówno w choreografii, przemyślanej do najdrobniejszego ruchu i gestu, jak i w pełnym wdzięku, dowcipnym wykonaniu tego uroczego pastiszu warszawskie solistki zabłysnęły najwyższymi umiejętnościami tanecznymi i interpretacyjnymi. Był to prawdziwy majstersztyk sztuki baletowej. Największe więc uznanie należy się BARBARZE RAJSKIEJ, RENACIE SMUKALE, JOLANCIE RYBARSKIEJ i — może największe — EWIE GŁOWACKIEJ.

Z kolei w „PAS DE TROIS" szczerze zabawny taniec parodystyczny zaprezentowali: ZOFIA RUDNICKA, HALINA WIŚNIEWSKA i — z wielką siłą komiczną — EMIL WESOŁOWSKI. Za tą niefrasobliwą zabawą, polegającą na „odgrywaniu" nieudolnych tancerzy, kryje się oczywiście bezsporna umiejętność.

Z prawdziwą satysfakcją obejrzeliśmy też, pokazywany niezbyt dawno na łódzkiej scenie przez KAMĘ AKUCEWICZ i ŁUKASZA GRUZIELA utwór charakterystyczny LALKI do świetnej muzyki Remberta Egüesa, w bardzo udanych kostiumach LILIANY JANKOWSKIEJ (autorki scenografii całego programu). Ponowne obejrzenie nie osłabiło poprzednich doznań, wzbudziło też nie mniejszy niż poprzednio podziw dla obojga wykonawców, z których solistce przypadły trudniejsze interpretacyjnie zadania i jej też głównie zawdzięczamy chwilę wzruszenia.

RARA AVIS, inaczej „Rzadki ptak". Bez wątpienia jest to utwór poetycki w nastroju, niebanalny, na kanwie utworów Haendla i Marcella. Literackim podtytułom czy też mottom utworów: „Na ziemi", „Wśród gałęzi" i „Ku chmurom" odpowiadały trzy pełne wyrazu partie solowe ANNY BIAŁECKIEJ, DANUTY PIASECKIEJ i BARBARY SIER — na tle sugestywnych scenicznych działań męskiej grupy.

Na zakończenie wykonano „POPOŁUDNIOWĄ SJESTĘ" do muzyki Ernesto Lecuona, w fortepianowym nagraniu kompozytora. Ta ogrodowa scena, przyznam się, nie przemówiła do mnie silniej. Trochę za sprawą muzyki, jakby „folklorystyczno-salonowej", a trochę z winy nazbyt literacko zaprogramowanych postaci („Pocieszenie" „Samotność", „Łagodność" „Nadzieja"). Nie pozwalało to mi wierzyć w autentyczność przeżyć, raczej ckliwie sentymentalnych, mimo starań tych samych pań które otwierały wieczór znakomitym pas de quatre.

WIECZÓR TRZECI: SZYMANOWSKI

Okrągła rocznica Karola Szymanowskiego zaowocowała w Polsce baletami, zarówno nowymi, jak i na nowo opracowanymi. Dobrze się stało, że prowadzono festiwalową konfrontację dwóch różnych choreografów, ale za to aż trzech teatrów.

Na początku były HARNASIE w wykonaniu — znów! — Teatru Wielkiego z Warszawy, który, jak widać, zaprezentował publiczności pokaźną część swojego imponującego repertuaru. Inscenizacja i choreografia TERESY KUJAWY, scenografia ANDRZEJA MAJEWSKIEGO. Balet ten stał się już częścią naszej narodowej tradycji. Jakim więc sposobem przedstawić tę rzecz jeszcze żywą, a już szacowną?

W niebieskawej poświacie rysują się jaśniejszą kreską skośne linie geometryczne, oznaczające górskie pasma. Na tle zmiennej rytmicznie orkiestrowej introdukcji schodzą się poszczególne grupy tancerzy. Ich ruchy jakby markują pierwsze rytmy i zalążki motywów, które rozwiną się dopiero później. Stopniowo ruch sceniczny krystalizuje się, ale do końca pierwszego obrazu ma się poczucie pewnego bezładu, zwłaszcza, że symfonicznie potraktowana partia orkiestrowa przez ROBERTA SATANOWSKIEGO rozwija się jakby według odrębnego porządku.

Drugi obraz przynosi kontrastową odmianę. Barwna i dynamiczna jest scena oczepin, z dużym dramatyzmem przeprowadzono rozwój uczucia MŁODEJ (ANNY STASZAK) i HARNASIA (ZDZISŁAW ĆWIORO), ich wzajemne zapatrzenie się miłosne, wśród wirującego wokół tłumu. To wszystko doskonale podbudowane partią orkiestrową, utrzymującą już ścisły kontakt ze sceną. Na uznanie zasługuje też jako MŁODY ŁUKASZ GRUZIEL. Podobać się mogło odśpiewane przez MICHAŁA SKIEPKĘ solo tenorowe.

„MITY", czyli trzy poematy Szymanowskiego na skrzypce i fortepian, odwołują się do podań przyswojonych już przez europejską sztukę. Trzy różne przypowieści o humanistycznym przesłaniu. Chyba tę właśnie różnorodność, odmienność chciała TERESA KUJAWA przekazać, co nie ze wszystkim się udało ze względu na niezbyt skontrastowane wzajemnie środki ekspresji w poszczególnych utworach. A może na ogólnym wrażeniu artystycznym zaważył zamiar utrzymania stylistycznej jedności cyklu? Jak mi się wydaje, utwór środkowy zbyt mało wyraziście eksponuje narcystyczne rozmiłowanie się bohatera w sobie. W rolach solowych wystąpili artyści baletu Opery Wrocławskiej: BOGUMIŁ ŚLIWIŃSKI (EFEB), ALICJA HELT (ARETUZA) i MARIA KIJAK (ECHO). Wykonawcom towarzyszyło „żywe" wykonanie muzyki przez STEFANA CZERMAKA (skrzypce) i ALICJĘ FARYNIARZ (fortepian).

Na zakończenie wieczoru wystawiono doskonale znaną łódzkim widzom z niedawnej premiery i opisywaną w łódzkiej prasie (również na naszych łamach) „STABAT MATER" w choreografii EWY WYCICHOWSKIEJ. Obejrzenie baletu na nowo, i to jako jednej z licznych pozycji trzech dni spotkań, pozwala na sąd bardziej obiektywny, ale... jeszcze silniej niż poprzednio oddziałała na mnie sceniczna uroda tego baletu, która nie stanowi wartości samej dla siebie, gdyż jej zmysłowa malarskość podkreśla ziemską wymowę dramatu. Cały ten niewątpliwy estetyzm spełnia tu antynaturalistyczną funkcję. W stosunku do premierowej obsady zaszły zmiany, zamiast niedysponowanej Liliany Kowalskiej, która z wielkim powodzeniem tańczyła rolę MATKI, wystąpiła teraz Ewa Wycichowska, tworząc postać zupełnie odrębną od wszystkich dotychczasowych swoich kreacji wystylizowaną Matkę boleściwą z chłopskiej Piety. A to zastosowanie estetycznej konwencji zamiast naśladownictwa „prawdziwego" życia było w najlepszej zgodzie z ideą artystyczną całości.

CZWARTY WIECZÓR: CONRAD DRZEWIECKI

Fascynacja sławą poznańskiego choreografa i jego zespołu — Polskiego Teatru Tańca, a także zapowiedziany utwór „Beatlesi" wypełniły teatr młodzieżą, która obsiadła gęsto wszystkie przejścia. Ale na początek poszły „NOCTURNA" do sześciu utworów Chopina, z których środkowe cztery istotnie były nokturnami.

Nie gustuję w tańczonym Chopinie, i to bynajmniej nie z powodu, iż się rzekomo „nie godzi" tańczyć narodowych świętości. Wydaje mi się tylko, że Chopina banalizuje transponowanie na „język" innej sztuki, podobnie jak na przykład orkiestrowe transkrypcje jego utworów fortepianowych. Pozostaje melodia i nic ponadto. W moim odczuciu również Drzewieckiemu, poza udanymi kompozycjami ruchowymi grup tanecznych, zwłaszcza w przedostatnim nokturnie nie udało się stworzyć wizji odpowiadającej „istocie" chopinowskiej muzyki. A może rezygnacja z całkowitych point sprawiła, iż tańcom brakowało trochę lekkości? Proszę wybaczyć, że nie mam zdania.

Utwór pt. „SEKUNDA" japońskiej choreografki KAORU ISHII, wyraża wzajemną sytuację kobiety i mężczyzny, co prawda w realiach japońskich. Pomyślany jest jako popis solistki, której taniec obrazuje dramatyczne uwikłania wewnętrzne, za pośrednictwem obcej nam symboliki i ruchowych zadań o oryginalnym wyrazie, nastręczających duże trudności wykonawcze. Ten ze wszech miar egzotyczny taniec (choć w zamyśle uniwersalny), oparty na oryginalnej muzyce japońskiej, znalazł w DOMINICE ANTKOWIAK wykonawczynię ogromnie sprawną i wyrazistą.

„PANNA i ŚMIERĆ" do muzyki KARELA ODSTRČILA poznaliśmy na poprzednich spotkaniach dzięki pobytowi w Polsce Praskiego zespołu PAVLA ŠMOKA, autora choreografii tegoż utworu. Jest to kompozycja o charakterze nadrealistycznym, nie pozbawiona akcentów makabreski i liryzmu, przedstawiająca urojenia i wspomnienia starej kobiety w ostatnich chwilach życia. Wykonanie ROMY JUSZKAT i RYSZARDA WĘGRZYNKA niewątpliwie odznaczało się starannością, niemniej jednak czeski pierwowzór bardziej przekonywał interpretacyjnie.

I wreszcie oczekiwany collage Drzewieckiego pt. „YESTERDAY", skomponowany z elementów 12 utworów Beatlesów. Obiecujący początek zapowiadał przyjęcie przez choreografa przynajmniej tak ironicznego dystansu do przedstawianych scen, jaki mieli owi znakomici piosenkarze do opiewanych ziawisk. Widowisko było bardzo żywe, dynamiczne na ogół zabawne, ale niektóre fragmenty mogły budzić zakłopotanie, na przykład taniec hinduski w takim stylu, w jakim tubylczy menadżer schlebia gustom dewizowych turystów. Pewien dysonans stanowiło też utrzymane w tonacji patetycznej odejście ze świata jednego z Beatlesów, symbolizowane rozwarciem się czarnej czeluści w tle dekoracji. W sumie niedosyt metaforyki.

I pomyśleć, że to ten wielki Conrad Drzewiecki, twórca o odkrywczej stale dotychczas świeżej wyobraźni, autor niezapomnianej „Pawany na śmierć Infantki" i „Epitafium dla Don Juana" czy „Cudownego mandaryna"...

Czyżby miał to być jakiś etap przejściowy w poszukiwaniu nowych środków wyrazu?

PIA FRAUS „Panna i śmierć". Tańczą: Romat. Juszkat i Ryszard Węgrzynek.

Kronika kulturalna

MUZEUM Sztuki w Łodzi organizuje w Centre Georges Pompidou w Paryżu wystawę sztuki polskiej XX wieku. Wystawa jest pierwszą tego typu prezentacją współczesnego malarstwa polskiego, pokazaną na szerokim tle kulturalnym i prezentowaną za granicami kraju. Wystawa opracowana została przez zespół specjalistów polskich i francuskich. Wystawie towarzyszyć będzie wielu dziennikarzy, a wśród nich wysłannik naszego pisma, Grzegorz Gazda.

---

20 MAJA odbyła się uroczystość nadania Szkole Podstawowej nr 198 imienia Witolda Kasperskiego.

TEGOROCZNY Międzynarodowy Festiwal Pianistyczny w Brescii i Bergamo poświęcony będzie w całości muzyce polskiej.

NA TRZYTYGODNIOWE tournée po Wielkiej Brytanii wyruszyła *Polska Orkiestra Kameralna Jerzego Maksymiuka*. Program artystyczny zespołu niezmiernie bogaty. Przede wszystkim nagrywana będzie płyta „Christmes Concerti" dla firmy EMI z Yehudi Menuhinem. Na płycie znajdują się utwory Locatellego, Manfrediniego, Torcellego i Corellego. Poza nagraniami studyjnymi orkiestra wystąpi z kilkoma koncertami w londyńskiej Barbican-Hall i w Usher Hall w Edynburgu. Weźmie również udział w dwóch ogromnych imprezach muzycznych — Exter Festival i Bath Festival.

WARSZAWIE przybył nowy pomnik, a właściwie popiersie Bolesława Prusa. Autorem popiersia jest *prof. Stanisław Sikora*. Uroczystość odsłonięcia odbyła się 19 bm. pomnik stanął na Saskiej Kępie. Inicjatorem tego przedsięwzięcia było Towarzystwo Przyjaciół Warszawy z Saskiej Kępy.

NA MAŁEJ scenie Teatru Studio w Warszawie kolejna, ostatnia już przed przerwą letnią, premiera. Tym razem jest to *„Męczeństwo i śmierć Jeana Paula Marata przedstawione przez zespół aktorski przytułku w Charenton pod kierownictwem pana de Sade" — Petera Weissa*. Sztukę reżyseruje *Marek Walczewski*. Grają: *Marek Walczewski, Antoni Pszoniak, Małgorzata Niemirska W. Pawłowska, T. Włudarski*. Scenografię i kostiumy zaprojektowała *E. Pawłowska*, muzykę skomponował *Hans Martin Majewski*.

ZAKOŃCZYŁ się w Krakowie XIX Studencki Festiwal Piosenki. W roku bieżącym, podobnie jak w latach ubiegłych, festiwal nie przyniósł żadnych rewelacji zarówno w treści, jak i w stylu piosenek studenckich. Jury miało więc niemały kłopot z rozdziałem nagród. Pierwszą nagrodę otrzymała *Antonina Krzysztoń z Warszawy*. Nagrody następne *Roman Kącki, „Krakersy"* oraz *Magdalena Zuk*.

NOWĄ premierę pokazała Scena Plastyczna Teatru Akademickiego KUL. Jest to *„Wędrowne" Leszka Mądzika*, z muzyką *Zygmunta Koniecznego*

W MUZEUM Okręgowym w Krośnie otwarto wystawę pt. *„Malarstwo Polski Południowo-Wschodniej 1900—1980"*. Jest to wielka retrospektywna wystawa prac powstałych na przestrzeni blisko wieku, dzieł autorów o renomowanych nazwiskach. Prace pochodzą ze zbiorów muzeów w Bieczu, Jarosławiu, Przemyślu, Rzeszowie, Sandomierzu, Sanoku i Tarnowie.

Z INICJATYWY Łódzkiego Towarzystwa Muzycznego im. Karola Szymanowskiego odbył się 22 maja w Muzeum Historii Miasta Łodzi koncert kameralny. Wykonawcami koncertu byli: *Anna Orkisz* — wiolonczela, *Andrzej Orkisz* — wiolonczela, *Leszek Kędracki* — klawesyn. W programie utwory Vivaldiego, Boecheriniego, Haendla.

W POŁOWIE bieżącego miesiąca, w siedzibie Oddziału Łódzkiego Związku Polskich Autorów i Kompozytorów ZAKR (przy ul. Moniuszki), odbyło się zebranie sprawozdawczo-wyborcze miejscowych członków tego związku twórczego. Warto dodać, że Oddział Łódzki jest jednym z najliczniejszych w kraju i skupia cały szereg cenionych twórców polskiej muzyki rozrywkowej, których nazwiska znane są także za granicą. Podczas zebrania omówiono najistotniejsze problemy tego środowiska, zastanawiając się równocześnie nad kierunkami dalszej działalności ZAKR-u i jego Łódzkiego Oddziału.

W trakcie zebrania udzielono absolutorium ustępującemu Zarządowi Oddziału, któremu przyszło działać w niezwykle trudnym okresie stanu wojennego i przemian w kraju (dodajmy, że ZAKR był zawieszony przez blisko pięć miesięcy).

Wybrano również nowy Zarząd Oddziału Łódzkiego Związku Polskich Autorów i Kompozytorów ZAKR. Jego prezesem został *Krzysztof Drzewiecki*, który tym samym uczestniczyć będzie przez obecną kadencję w pracach Zarządu Głównego ZAKR w Warszawie. Do Zarządu Oddziału Łódzkiego ZAKR weszli: *Jerzy Panasewicz* (wiceprezes), *Adam Brzozowski* (sekretarz), *Leszek Orlewicz* (skarbnik) i *Jacek Malinowski* (członek Zarządu).

Nowy Zarząd przygotował wnioski na zbliżające się Walne Zgromadzenie ZAKR-u, które odbędzie się 29 maja br. w Warszawie.

W MINIONĄ sobotę, 21 maja, wyjechała do Wiednia (Austria) Orkiestra Polskiego Radia i Telewizji w Łodzi pod dyrekcją Henryka Debicha. Pobyt tam orkiestry w składzie symfonicznym potrwa dziesięć dni, podczas których muzycy wykonywać będą repertuar klasyczny stanowiący ilustrację muzyczną na pokazach filmu pt. „Napoleon". Jest to film niemy, nakręcony w 1927 roku, w reżyserii Francisa Forda Coppoli i z muzyką Carmino Coppoli. W perspektywie jest podobny wyjazd jesienią do Republiki Federalnej Niemiec, gdzie również planowane są pokazy „Napoleona".

Po powrocie z Wiednia orkiestra Henryka Debicha przystąpi do intensywnych prób przed festiwalem kołobrzeskim. Nagrywane będą również kasety z utworami przygotowywanymi na Festiwal Piosenki Żołnierskiej: jedna z piosenkami premierowymi i trzy z fragmentami widowisk estradowych. Wyjazd do Kołobrzegu nastąpi w pierwszych dniach lipca.

Kryształowa noc z listopada 1938 r.

Dokończenie ze strony 1

ADOLF HITLER WIEDZIAŁ

— wbrew temu, co usiłowali zasugerować autorzy fałszywych pamiętników Hitlera — i nie tylko, ale też inspirował antyżydowskie ekscesy. W Norymberdze przed międzynarodowym trybunałem, tak zeznał „czołowy żydożerca" Julius Streicher:

„Kilka dni przed 1 kwietnia zostałem wezwany do Monachium, do „Brunatnego Domu". Adolf Hitler oznajmił mi to, o czym już wiedziałem. W prasie zagranicznej rozpętała się ogromna nagonka przeciw nowym Niemcom, wobec czego musieliśmy powiedzieć światowemu żydostwu: „Dotąd i ani kroku dalej". Powiedział, że 1 kwietnia ma być ogłoszony dniem akcji antybojkotowej oraz że życzy sobie, abym ja zajął się tą sprawą. W ten sposób przejąłem kierownictwo tej akcji".

Jak to wyglądało?

Na szybach żydowskich sklepów wymalowano gwiazdy Dawida. Członkowie SA pełnili warty przed tymi sklepami i uniemożliwiali wejście do nich klientom. Takie same pikiety stały przed żydowskimi kancelariami adwokackimi, gabinetami lekarskimi, pojawiły się plakaty z napisami: *„Nie kupujcie u Żydów!"*. Po ulicach miast jeździły ciężarówki pełne członków SA, którzy krzyczeli chóralnie: *„Żydzi, zdychajcie!"*.

W tymże 1933 roku wydano ustawy pozbawiające obywatelstwa niemieckiego Żydów przebywających na emigracji, a także o wykluczeniu Żydów ze stanowisk w administracji państwowej, prasie, radiu, z uniwersytetów oraz zabraniające Żydom wykonywania zawodu lekarza, prawnika i rolnika. W 1935 roku ukazały się osławione ustawy norymberskie, które zabraniały małżeństw i stosunków seksualnych pomiędzy Niemcami i Żydami oraz odbierały Żydom obywatelstwo niemieckie. Akt oskarżenia w procesie norymberskim zarzucał władcom Trzeciej Rzeszy:

„Od samego początku istnienia NSDAP antysemityzm odgrywał szczególną rolę w narodowosocjalistycznej ideologii i propagandzie. Wraz z przejęciem władzy w 1933 roku prześladowanie Żydów stało się częścią oficjalnej polityki państwa".

W tymże procesie główny oskarżyciel amerykański Robert H. Jackson zadał na ten temat kilka pytań Hermannowi Goeringowi. Oto fragment protokołu:

R. H. Jackson: — *Czy proklamował pan ustawy norymberskie?*

H. Goering: — *Tak jest.*

R. H Jackson: — *Następnie, 26 kwietnia 1938 roku, wydał pan zarządzenie, na mocy którego majątek żydowski miał zostać skonfiskowany?*

H. Goering: — *Skoro dekret nosi mój podpis, to nie może być żadnych wątpliwości.*

R. H. Jackson: — *26 kwietnia 1938 roku wydał pan zarządzenie, na mocy którego każdy akt rozporządzenia przedsiębiorstwem żydowskim musiał uprzednio zyskać zgodę rządu.*

H. Goering: — *Przypominam sobie.*

R. H. Jackson: — *Następnie zaś, 12 listopada 1938 roku, opublikował pan dekret, który nakładał na wszystkich Żydów grzywnę w wysokości miliarda marek?*

H. Goering: — *Mówiłem już, że podpisałem wszystkie te urzędowe rozporządzenia i że ponoszę za nie odpowiedzialność.*

R. H. Jackson: — *A czy 12 listopada 1938 podpisał pan dekret, który zabraniał Żydom posiadania sklepów i samodzielnych zakładów rzemieślniczych?*

H Goering: — *Tak wszystko to były części zarządzeń zmierzających do wyeliminowania żydostwa z życia gospodarczego.*

R H. Jackson: — *Nas mie, 21 lutego 1939 roku, podpisał pan dekret nakazujący Żydom przekazanie władzom w ciągu dwóch tygodni wszystkich przedmiotów wartościowych i klejnotów nabytych drogą kupna.*

H. Goering: — *Nie przypominam sobie, ale na pewno tak było.*

R. H. Jackson: — *Czy nie podpisał pan również, 3 marca 1939 roku, dekretu na temat terminu, w jakim Żydzi musieli oddać swoje kosztowności?*

H. Goering: — *Sądzę, że był to przepis wykonawczy".*

Warto tu zwrócić uwagę na daty większości tych dekretów podejmowanych w państwie, w którym Adolf Hitler był kanclerzem, i zestawić je ze zdaniem z nieudolnie fałszowanego pamiętnika tegoż Adolfa Hitlera: *„Wydam natychmiast konieczne rozkazy"*. Fakty pokazują, jakie to były rozkazy.

Wszystko też wskazuje, że

ADOLF HITLER DAŁ SYGNAŁ DO KRYSZTAŁOWEJ NOCY

choć bezpośredniego dowodu na to nie ma.

Przede wszystkim trzeba jednak wyjaśnić, skąd się wzięła nazwa i jaka była geneza tej nocy z 9 na 10 listopada 1938 roku. Nazwa wzięła się stąd że rano 10 listopada ulice miast niemieckich były zasłane kawałkami kryształowego szkła z powybijanych witryn żydowskich sklepów. Natomiast jeśli chodzi o samą noc kryształową, to — jak słusznie piszą Joe Heydecker i Johannes Leeb w książce „Trzecia Rzesza w świetle Norymbergi — bilans tysiąca lat" — *„początek tej sprawy jest w Niemczech prawie nie znany"*. W Polsce sądzę jest on równie mało znany.

A zaczęło się 28 października 1938 roku, kiedy policja niemiecka przystąpiła do wysiedlenia 17 tysięcy Żydów z Niemiec. Chodziło o tych Żydów — piszą Joe Heydecker i Johannes Leeb — *„którzy jeszcze do niedawna mieli obywatelstwo polskie. Rząd Polski oświadczył jednak w tym czasie, że unieważnia paszporty tych ludzi, żyjących za granicą, a Hitler natychmiast korzysta z okazji, by pozbyć się tych obecnie bezpaństwowców"*. Była to pierwsza w historii współczesnej deportacja Żydów. Tysiące Żydów załadowano na ciężarówki i do pociągów i zawieziono pod granicę z Polską. *„W pobliżu stacji granicznej Zbąszyń* — piszą dalej Joe Heydecker i Johannes Leeb — *podwładni Heydricha kazali im opuścić środki transportu i popędzili przez pola na wschód, gdzie przebiega niewidoczna granica. Kopniakami poganiali padających starców i kobiety, z których pewna liczba już się nie podniosła"*. Polska nie była przygotowana do przyjęcia takiej ilości ludzi.

Wśród deportowanych był również szewc Sendel Grynszpan. Znalazł się on wraz z żoną i dziećmi bez środków do życia. Miał syna w Paryżu, który pisał się Herszel Grounspan i miał 17 lat. Sendel Grynszpan wysłał do niego kartkę, w której opisał swoją tragedię.

HERSZEL GROUNSPAN POSTANOWIŁ ZEMŚCIĆ SIĘ

i w tym celu kupił sobie pistolet. Chciał zabić ambasadora Trzeciej Rzeszy w Paryżu Johannesa von Welczka. 7 listopada 1938 roku kilka minut po wpół do dziewiątej zjawił się przed ambasadą niemiecką i spotkanego człowieka zapytał o ambasadora. Przypadek zrządził, że zapytanym był akurat Johannes von Welczek, którego Herszel Grounspan nie znał. Ambasador polecił pytającemu zgłosić się do woźnego, a ten skierował go do radcy Ernsta von Ratha. Gdy Ernst von Rath stanął w drzwiach pytając, czym może służyć gościowi, ten oddał do niego dwa strzały, myśląc zapewne, że strzela do ambasadora Johannesa von Welczka. Ciężko rannego Ernsta von Ratha zabrano do szpitala, a Hitler rozkazał wysłać do Paryża dwu swoich lekarzy.

Herszel Grounspan oświadczył, że czynem swoim chciał *„pomścić Żydów i zwrócić uwagę świata na wydarzenia w Niemczech"*. Nie wiedział że dał Adolfowi Hitlerowi pretekst do kolejnej rozprawy z Żydami.

9 listopada 1938 roku w Monachium obchodzono kolejną rocznicę nieudanego puczu z 1923 roku. *„W czasie wspólnej kolacji* — piszą Joe Heydecker i Johannes Leeb — *w starej sali ratuszowej, około godziny 21 zjawił się posłaniec który szeptem przekazał Hitlerowi wiadomość, że w Paryżu, na skutek odniesionych ran, zmarł von Rath. Hitler pochylił się do siedzącego obok Goebellsa i przez chwilę coś mu po cichu tłumaczył. Następnie opuścił biesiadników, nie wygłaszając zwykłego w takich okolicznościach przemówienia. Nikt nie wie, jaka była treść rozmowy Hitlera z jego ministrem propagandy. Ale wszystko, co nastąpiło teraz, było niewątpliwie wynikiem owego poszeptywania"*.

Hermann Goering nie brał udziału w tej kolacji, jechał pociągiem do Berlina, ale coś przecież o tym później się dowiedział. Oto co zeznał na ten temat w Norymberdze:

„Jak się później dowiedziałem, podczas tej właśnie kolacji, tuż po wyjściu Hitlera, Goebbels oświadczył, że von Rath zmarł na skutek odniesionych ran. Zapanowało ogólne oburzenie, później zaś Goebbels zaczął zdaje się mówić o odwecie i we właściwy sobie sposób — był chyba najbardziej skrajnym przedstawicielem antysemitów — tutaj właśnie dał sygnał do rozpoczęcia wydarzeń, które później nastąpiły".

„Czołowy żydożerca" Julius Streicher tego dnia czuł się niezbyt dobrze i zaraz po kolacji w Monachium udał się do siebie do Norymbergi i położył się do łóżka. Obudził go lokalny przywódca AS — von Obernitz, informując o tym, co stało się po jego wyjściu z kolacji. Stwierdził, iż Goebbels powiedział:

„To morderstwo nie jest czynem samego tylko Żyda Grouspana, lecz akcją której życzyło sobie całe żydostwo. Trzeba, aby coś się wydarzyło".

A szofer Juliusa Streichera — Fritz Herrweth, który był przy rozmowie z von Obernitzem, zeznając jako świadek przed norymberskim trybunałem uzupełnił te słowa:

— *„...pan von Obernitz powiedział, jakoby Hitler był zdania, iż w odpowiedzi na to, co wydarzyło się w Paryżu, SA mają się wyszumieć".*

To, co się tej nocy wydarzyło w Niemczech, wzbudziło sprzeciw nawet Najwyższego Sądu Partyjnego NSDAP. Jego przewodniczący pisał w raporcie dla Hermanna Goeringa, a tekst ten stanowi załącznik w dokumentach międzynarodowego trybunału w Norymberdze:

„Przekazane ustnie instrukcje szefa resortu propagandy zostały zrozumiane chyba przez wszystkich obecnych przywódców partyjnych w ten sposób, że partia na zewnątrz nie chce uchodzić za sprawcę tych demonstracji, ale w rzeczywistości je zorganizowała i kierowała nimi. Taka jest zapewne również opinia parteigenosse dr Goebbelsa. Można je było zmobilizować tylko za pośrednictwem instancji partyjnych. Również cała opinia bez żadnych wyjątkow zdaje sobie sprawę, że akcje polityczne, jak ta z 9 listopada, są przeprowadzane i organizowane przez partię — niezależnie od tego, czy partia się do tego przyznaje, czy nie. Jeśli w ciągu jednej nocy płoną wszystkie synagogi to znaczy, że musiało to być przez kogoś zorganizowane, a mogło być zorganizowane jedynie przez partię".

Opisywać tego, co się zdarzyło podczas kryształowej nocy jest nie sposób. Posłuchajmy lepiej o czym mówiono

NA NARADZIE U HERMANNA GOERINGA

zwołanej 12 listopada 1938 roku, właśnie w związku z wypadkami kryształowej nocy. Zachował się protokół tej narady i był on przedłożony trybunałowi norymberskiemu. Naradę otworzył Hermann Goering. Powiedział między innymi:

— *„Zasadnicza myśl jest następująca: Żyd zostanie wyeliminowany z życia gospodarczego i przekaże swoje dobra gospodarcze na rzecz państwa. Otrzyma za to odszkodowanie. Wysokość odszkodowania zostanie zarejestrowana w księdze wierzytelności i oprocentowana według jakiejś określonej stopy procentowej. Z tych procentów Żyd będzie musiał żyć".*

Hermann Goering długo jeszcze mówił na temat aryzacji gospodarki niemieckiej. Później głos zabrał dr Józef Goebbels:

— *„Prawie we wszystkich miastach niemieckich spłonęły synagogi. Istnieją najróżniejsze możliwości wykorzystania miejsc po nich. W jednych miastach pragnie się przekształcić je na parkingi, w innych zamierza się postawić nowe budynki.*

H. Goering: — *Ile synagog rzeczywiście spłonęło?*

R. Heydrich: — *W sumie na terenie Rzeszy pożar zniszczył 101 synagog, 76 zostało zdemolowanych, zniszczono również 7 500 sklepów.*

J. Goebbels: — *Jestem zdania, że należy wykorzystać tę sytuację do zniesienia synagog. Koszty poniosą Żydzi. Uważam również za konieczne wydanie zarządzenia zabraniającego Żydom chodzenia do niemieckich teatrów, kin i cyrków...*

Uważam dalej za konieczne wykluczenie Żydów poza obręb społeczeństwa. Dzisiaj jest jeszcze możliwe, żeby Żyd jechał wspólnie z Niemcem w przedziale wagonu sypialnego. Trzeba więc, żeby minister komunikacji Rzeszy wydał zarządzenie, aby dla Żydów przygotować osobne przedziały, a w braku miejsc pozostawić ich na korytarzu.

H. Goering: — *...Jeśli pociąg jest przepełniony, to niech mi pan wierzy, wcale nie potrzeba specjalnego prawa. Należy Żydów wyrzucić* (z przedziału) *i niech siedzi w ubikacji, choćby przez całą drogę".*

TO BYŁ DOPIERO POCZĄTEK

jeszcze się koncepcja „ostatecznego rozwiązania" nie narodziła. Na spotkaniu 12 listopada 1938 roku u Hermanna Goeringa ta koncepcja dopiero się rysowała. Pomysły sypały się niczym z rogu obfitości.

„J. Goebbels: — *...Należałoby także pomyśleć, czy nie zakazać Żydom wstępu do niemieckiego lasu...*

H. Goering: — *Tak więc wydzielimy Żydom do dyspozycji określoną część lasu...*

J. Goebbels: — *Następnie trzeba zapobiec przesiadywaniu Żydów w niemieckich parkach. Uważam za konieczne wydzielenie im określonych terenów... Można nawet napisać: „Tylko dla Żydów".*

Faktycznie mamy dziś taką sytuację, że dzieci żydowskie chodzą do niemieckich szkół. Uważam za niezbędne całkowite wykluczenie dzieci żydowskich ze szkół niemieckich".

Zaczęło się od dzieci żydowskich, a później zamykano szkoły w krajach okupowanych, w tym również w Polsce. Ale wróćmy do narady. Wezwany został Eduard Hilgard — przedstawiciel firm ubezpieczeniowych.

„E. Hilgard: — *Jeśli chodzi o ubezpieczenie przed wybiciem szyb..., to większa część poszkodowanych jest pochodzenia aryjskiego. Są to mianowicie domy będące w rękach aryjskich, gdzie Żyd jest z reguły jedynie podnajemcą sklepu.*

J. Goebbels: — *W takim razie Żyd musi zapłacić za szkody.*

H. Goering: — *To nie ma sensu. Nie mamy surowców. To jest wszystko szkło zagraniczne, które kosztuje dewizy...*

E. Hilgard: — *Szkło do witryn sklepowych jest produkowane wyłącznie przez przemysł szklarski Belgii. Musimy się liczyć ze stratami tego szkła na sumę około sześciu milionów marek. Nawiasem mówiąc, stanowi to połowę rocznej produkcji całego belgijskiego przemysłu szklarskiego...*

H. Goering: — *...Ze sklepów wyniesiono towary wszelkiego rodzaju...*

E. Hilgard: — *Największa z tego rodzaju jest sprawa Margrafa na Unter den Linden. Sklep jubilerski Margrafa. Zgłoszono nam szkody w wysokości 1,7 mln marek, gdyż sklep został całkowicie splądrowany.*

H. Goering: — *Daluege i Heydrich, macie mi zdobyć tę biżuterię...*

R. Heydrich: — *Muszę powiedzieć, że grabieży dokonano w ośmiuset przypadkach na terenie całej Rzeszy..."*

Wraca jeszcze sprawa ubezpieczeń, tym bardziej, że niektóre firmy żydowskie były ubezpieczone w Niemczech.

E. Hilgard: — *...prowadzimy rozległe interesy międzynarodowe, dlatego wielką wagę przywiązujemy do tego, aby nie podrywać zaufania do niemieckich firm ubezpieczeniowych.*

R. Heydrich: — *Można spokojnie wypłacać ubezpieczenia, ale potem wypłacone sumy zostaną skonfiskowane. Formalnie będzie wszystko w porządku.*

E. Hilgard: — *To, co powiedział obergruppenführer Heydrich jest, moim zdaniem, chyba słusznym rozwiązaniem.*

H. Goering: — *...Te pieniądze należą do państwa...*

R. Heydrich: — *Szkody materialne, inwentarzowe i towarowe szacujemy na kilka milionów marek.*

H. Goering: — *Wolałbym, żebyście zabili dwunastu Żydów, niż spowodowali straty w takiej wysokości.*

R. Heydrich: — *Zginęło 35 osób".*

Znów wraca problem aryzacji gospodarki.

R. Heydrich: — *Aryzacja i inne ograniczenia wywołają oczywiście bezrobocie wśród Żydów... Muszę więc podjąć w Niemczech takie kroki, które doprowadzą do ich izolacji. Chciałbym w tym celu przedstawić pokrótce czysto policyjne propozycje, jak na przykład znakowanie Żydów. Oznajmi się, że każdy Żyd musi nosić określoną oznakę.*

H. Goering: — *Rodzaj munduru!*

R. Heydrich: — *Oznakę.*

H. Goering: — *...przecież nie może pan pominąć sprawy tworzenia dzielnic wydzielonych, i to na wielką skalę. Getta muszą powstać...*

W. Funk: — *Żyd musi być ścieśniony.*

R. Heydrich: — *...Zupełnie nie rozumiem, dlaczego w ogóle Żyd ma jeździć do kurortów.*

H. Goering: — *Do zdrojowisk nie.*

R. Heydrich: — *To samo proponuję w sprawie szpitali a także publicznych środków komunikacji.*

H. Goering: — *...Co powiecie, jeśli dziś ogłoszę, że na Żydów nakłada się kontrybucję w wysokości miliarda marek? Nadam temu takie brzmienie, że niemieccy Żydzi, jako całość zostali za haniebną zbrodnię itd. itd. ukarani grzywną w wysokości miliarda marek. To poskutkuje. Te świnie nie ponowią tak szybko następnego mordu. Przy okazji muszę stwierdzić, że nie chciałbym być Żydem w Niemczech.*

A to był dopiero początek drogi, która zaprowadziła do epoki pieców do fabryk śmierci i co tu bajdurzyć o „dobrym Hitlerze", który postanowił: *„Wydam natychmiast konieczne rozkazy"* Nieudolna, ale mimo wszystko niebezpieczna próba wybielenia nie tylko Adolfa Hitlera, ale i faszyzmu. Myślę, że trzeba — szczególnie młodym — coraz częściej przypominać czym w rzeczywistości był faszyzm i dokąd wiódł świat ten rzekomo „dobry Hitler".

WŁODZIMIERZ PITKIEWICZ

Polemiki

Kim są inteligenci?

BRONISŁAW MORAWSKI

Artykuł E. Lewandowskiego jest dyskusyjny niezależnie od zachęcającego do dyskusji nadtytułu. Jest on dyskusyjny choć bezsporne są racje wygłoszone w kwestii honorowania pracy nieprodukcyjnej w naszym kraju. Poza tym jest to próba przedstawienia zniekształconego obrazu struktury społecznej współczesnego społeczeństwa polskiego. Nie jest to zresztą pierwsza tego typu próba. Pojawiają się one dość często i zawsze są konsekwencją uproszczonych interpretacji marksistowskiej teorii klas. W artykule mamy właściwie do czynienia z podpieraniem się marksizmem dla osiągnięcia efektów literackich, nie bacząc na szkody naukowe wyrządzane wielkiej teorii.

Autor w marksizmie poszukuje wsparcia dla końcowej tezy, w której krytykuje niesprawiedliwość płacową jakiej doświadcza obecnie inteligencja, a gwoli ścisłości dodajmy — niektóre jej odłamy, do których należą przede wszystkim ci jej przedstawiciele, którzy są zatrudnieni w jednostkach budżetowych. Kto z inteligentów nie pochwali wystąpienia, które bierze go w obronę, komu bodaj najtrudniej obecnie jest wiązać koniec z końcem. Ja również pochwalam je, czekając w szeregach najszybciej pauperyzującej się części społeczeństwa na kolejne „n" złotych do pensji, które może powstrzyma spadek płacy realnej choćby na poziomie 40 proc. Jeśli w pełni solidaryzuję się ze wspomnianą tezą, to nie jest to odruch czysto emocjonalny, choć trudno się pozbyć emocji stojąc w szeregach jednej z ostatnich kategorii społecznych. Inteligencja uległa na przestrzeni ostatnich lat nie tylko degradacji materialnej, ale również drastycznie spadł jej prestiż społeczny, co splata się niekiedy z elementarnym brakiem poszanowania, a nawet zrozumienia ich pracy.

W przedostatniej tezie autor omawianego artykułu przypomina nie bez słuszności, że praca inteligencji jest równoprawnym składnikiem sił wytwórczych nowoczesnego społeczeństwa. Jest to prawda, aczkolwiek banalna. Ale czasy sporządzania narodowego rachunku sumienia sprzyjają powtarzaniu banałów. Takich ważnych banałów słyszymy więcej. Należy do nich ciągle powtarzane odkrycie o zależności efektów ekonomicznych na wsi od tego, jak pracują fabryki w mieście i odwrotnie o zależności poziomu wyżywienia miasta od pracy rolników. Przypomniane twierdzenie jest częściej powtarzane, bo jest bardziej oczywiste niż twierdzenie o użyteczności pracy w zawodach inteligenckich. Ta prawda jest trudniejsza do zrozumienia, choć nikt rozsądny nie zaprzeczy, że tak jak inteligent nie wyżyje bez pracy rolnika i robotnika, tak samo nikt rozsądny nie może sobie wyobrazić produkcji bez konstruktorów i technologów, dobrej fabryki bez dobrej administracji, nowoczesnej wydajności w rolnictwie bez wiedzy naukowej, wypoczynku robotnika bez kultury i służby zdrowia, książki bez pisarza itd. itd. Są to prawdy o podziale pracy, których Tuwim chciał uczyć już dzieci najmłodsze. Na wiersze Jego nie znajdujemy papieru lub farby i pewnie dlatego banalnych prawd nie uczymy się w dzieciństwie, lecz dopiero na uniwersytetach. Nasz problem dziś polega nie na tym, czy dzielić prace czy nie — do tego już dorośliśmy. Nasze trudności biorą się z braku pełnej akceptacji własnego miejsca w istniejącym podziale pracy i takiego wykorzystania podziału pracy by dorównać najwyżej rozwiniętym społeczeństwom. Jest to temat, którego rozwiązanie wykracza poza ambicje piszącego te słowa, który zamierzył głos w dyskusji poświęcić innej kwestii.

Zacznijmy od dobrej rady dla E. Lewandowskiego. Pożalić się nad położeniem inteligencji można prościej i chyba lepiej czego dowiedli autorzy cyklu artykułów w „Polityce". Przeprowadzono tam rzetelną analizę struktury i dynamiki płac poszerzoną monograficznym przedstawieniem płac w kilku kontrowersyjnych zawodach. Było to przekonywające i dla czytelników i animatorów polityki społecznej, a zwrócenie uwagi na pogorszenie się sytuacji materialnej inteligencji nie wymagało dorabiania żadnej dodatkowej ideologii. Do takiej zawiłej metody przekonywania władzy uciekł się E. Lewandowski. Potrzebne jest mu do tego stwierdzenie, że inteligencja jest częścią klasy robotniczej i wobec tego złe położenie materialne inteligencji jest ideologicznie podejrzane. Trzeba przyznać, że zostało to sprytnie wymyślone, ale niestety nawiązuje do podejrzanych i błędnych naukowo haseł o bezklasowym charakterze społeczeństwa polskiego. Takie twierdzenia muszą być odczytane jako próba sztucznego scalania społeczeństwa podzielonego.

Twierdząc, że jesteśmy jakoś podzieleni nie zamierzam specjalnie kreować podziału na robotników i inteligencję, nie mam bowiem większej pewności jaka jest prawdziwa rola tego podziału, ale jedno jest zupełnie pewne — jest socjologicznym absurdem włączanie inteligencji do klasy robotniczej lub czynienie z niej odłamu klasy robotniczej. Podobnym absurdem jest włączanie do klasy robotniczej wszystkich, którzy są do niej podobni położeniem materialnym, stosunkiem do środków produkcji i dlatego iż są połączeni związkami podziału pracy.

W literaturze naukowej próbowano odpowiedzieć na pytanie, kim jest robotnik w społeczeństwie socjalistycznym, a kim jest inteligent. Udało się ustalić, jakie zaszły upodobnienia. Nadal nie ma w moim odczuciu zadowalającej odpowiedzi na to pytanie i formułowane opinie nie upoważniają do zaliczenia inteligencji w poczet klasy robotniczej. I dlatego nadal aktualne są pytania: kim są... kim jesteśmy... Dodajmy do tego kilka pytań, które odchodzą od sztampy niektórych uproszczeń teoretycznych. Kim jest — spytajmy — rzemieślnik produkujący wyroby, nie produkowane przez przemysł, w które zaopatruje się robotnik po cenie, którą byłby skłonny przepłacić na „czarnym rynku"? Kim jest robotnik, urzędnik, inżynier tego samego przedsiębiorstwa biorący pensje i wysokie premie za produkt idący na rynku po cenie o charakterze spekulacyjnym, przy której bledną wszystkie prawdy marksistowskiej ekonomii w zakresie teorii wartości? Kim byli urzędnicy administracji państwowej podpisujący kontrakty na archaiczne licencje, wypierające własną często nowocześniejszą myśl techniczną i naukową? Kim jest pracownik dowolnego przedsiębiorstwa państwowego pracujący na pół obrotu za pełną pensję w czasie, gdy jego syn uczy się na inteligenta pod okiem spauperyzowanego nauczyciela? Kim jest urzędnik państwowy biorący astronomiczną łapówkę od robotnika za przydział mieszkania? Kim jest robotnik biorący na fuchach w godzinach służbowych zapłatę przekraczającą jego oficjalne wynagrodzenie? Takie pytania można mnożyć. Kim są wszyscy ci ludzie o podobnym stosunku do środków produkcji, z których jeden ma wszystkie dobra luksusowe, a drugi pracując sumiennie ma duże trudności w zaspokojeniu elementarnych potrzeb? Kim są wszyscy, którzy nie mieszczą się w socjologicznych klasyfikacjach struktury społecznej?

Pytam również siebie — kim jestem jako syn robotniczy, za jedną z najniższych pensji w Polsce uczący marksizmu na najbardziej robotniczym uniwersytecie w kraju? Szukam tej odpowiedzi w artykule E. Lewandowskiego i czuję, jak mi podpowiada, że jestem robotnikiem. Ale czy tak jest naprawdę? Położeniem i pochodzeniem przypominam proletariusza. Zastanawiam się, jak może się czuć ktoś kto się nauczył moralności katolickiej i socjalistycznej, nie umie brać łapówek, nie ma przydatnego zawodu („robi za uczonego") i jako humanista — mówią niektórzy, że w ogóle jest darmozjadem na utrzymaniu klasy robotniczej. Musi mnie ogarniać zazdrość, gdy czytam beztroskie wywody E. Lewandowskiego, który „przydziela" takiego inteligenta do klasy robotniczej. Zazdroszczę mu beztroskiej pewności siebie w przyrównywaniu się do „klasy wyższej". Od niej wprawdzie niektórzy uciekali wstępując na uniwersytety. Tylko niektórzy tam szli z nadzieją, że pozostaną równi wśród swoich. Dziś większość czuje się obco na utrzymaniu swoich.

Na stawiane pytania, jako zawodowy kolega E. Lewandowskiego, nie znajduję gładkiej podręcznikowej odpowiedzi. Nie znam takiej teorii. Takiej odpowiedzi nie daje również najlepsza ze znanych teorii, jaką jest marksizm. Teoria ta nie daje owej odpowiedzi być może tylko w najprostszych interpretacjach, jeśli ją odczytujemy tak po prostu jak autor polemicznego artykułu, przypuszczający, że kluczem do zagadki struktury społecznej jest stosunek do środków produkcji. Dlatego zapytuję autora, skąd wzięły się i biorą nierówności społeczne w naszym kraju, skąd się bierze niesprawiedliwy podział bogactwa narodowego, skoro znakomita większość jest równa wobec własności. Nie stawiam tych pytań, by z próżnością wartą innej okazji powiedzieć, że są to „proste pytania".

Takie pytania można mnożyć i są one tym bardziej zaskakujące, że nie przeczą wszystkim tezom artykułu E. Lewandowskiego. Różnica zdań — podsumujmy — istnieje w kwestii zasadniczej. Podkreślmy, nie ma żadnych podstaw do robienia z całego polskiego społeczeństwa klasy robotniczej lub jednej klasy pracujących, bo jest to twierdzenie rodzące mity, wyrastające niebezpiecznie ponad rzeczywiste podziały. Dlatego przypomnijmy wiedzę dla wielu elementarną. W społeczeństwie socjalistycznym różnice społeczne przestają być wyznaczane przez stosunek do środków produkcji. Ale z tego nie wynika zanik wszelkich różnic społecznych, w tym również różnic o podłożu niesprawiedliwości społecznej. Jeśli ktoś w gabinecie nie wierzy w istnienie takich różnic, niech przypomni sobie niedawne wydarzenia z fabryk i ulic. Mało kto odważy się stwierdzić, że była to wyłącznie prowokacja polityczna.

Powróćmy jeszcze raz do sprawy samej inteligencji — pojęcia „inteligencja" i jej rodowodu. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że niektórzy pisząc o inteligencji jako o zjawisku wschodnioeuropejskim czynią zeń pojęcie literackie, jakby należało wyłącznie do egzotyki językowej wschodu, a nie do sfery realnych zjawisk społecznych. Co wynika np. z przytaczanego przez E. Lewandowskiego faktu, że Marks z Engelsem nie posługiwali się słowem inteligencja. Tylko to, że tam gdzie żyli nie było inteligencji w znaczeniu, jakie ta grupa posiadała w Europie Wschodniej. Jak wyglądałaby ich teoria, gdyby dobrze znali taką grupę społeczną?

Inteligencja — przypomnijmy — była i jest realną grupą o zupełnie swoistym obliczu socjologicznym, które się ukształtowało w procesie długotrwałych przemian społeczno-kulturowych, wśród których nie bez znaczenia były wydarzenia polityczne związane z formowaniem się narodu i państwowości. Ta grupa pieczołowicie pielęgnowała naszą kulturę i nie można zapominać co to znaczy dla powstania i istnienia narodu. Taką rolę odgrywała w większości polska inteligencja niezależnie od swojego socjalnego rodowodu. I przypomnijmy przy okazji, jaki był i jest skład inteligencji bez tendencyjności w dobieraniu statystyki. Niech nawet będzie, że inteligencja ma genetycznie rodowód szlachecki. Nic w tym dziwnego i niewiele z tego wynika tak samo jak z faktu, że obecna inteligencja, czyli wychowana i wykształcona po wojnie, ma coraz częściej pochodzenie robotnicze. A niby jakie by miała obecnie mieć — przeważnie szlacheckie, przeważnie burżuazyjne? Przecież i w Polsce przedwojennej inteligencja nie tylko była pochodzenia burżuazyjnego. Byli wśród niej i synowie chłopscy i robotniczy. A jeśli podaje się statystykę, to warto również przypomnieć, że przed wojną w strukturze studentów było więcej dzieci chłopskich i robotniczych niż obecnie. I wcale z tego nie wynika, że w „tamtej Polsce" robotnik i chłop należeli do grup uprzywilejowanych, a dziś są oni odłamami dyskryminowanymi. Wiadomo, że jest dokładnie odwrotnie. Dla ścisłości, niechęć młodzieży chłopskiej i robotniczej do podejmowania studiów wyższych nie jest egzotyką ani współczesności, ani tylko Polski, ani socjalizmu, takie same zjawiska obserwowane są w wielu uprzemysłowionych krajach świata.

Jeśli chcemy w dniu dzisiejszym rozumieć zjawiska strukturalizujące nasze społeczeństwo, to trzeba zerwać z mechanicznym ujmowaniem zależności społecznych. Taka mechanika jest charakterystyczna dla tych teoretyków, którzy ze stosunku do środków produkcji robią święty sakrament również na okoliczność społeczeństwa socjalistycznego. Dodajmy, burżuazja nie przestała być automatycznie klasą od dnia ogłoszenia aktu nacjonalizacyjnego, inteligenci pochodzenia burżuazyjnego, inteligenckiego, chłopskiego, a nawet robotniczego nie stają się członkami klasy robotniczej nawet wtedy, gdy są oni ideowymi reprezentantami klasy robotniczej (warto by rozróżniać reprezentację ideową od duchowej), podobnie przedstawiciele burżuazji wywodzili się i wywodzą z różnych warstw społecznych i nawet robotnicze ich pochodzenie nie zmienia faktu, że jako burżua będą musieli czynić wyzysk na klasie, z której pochodzą. I znów można by długo wyliczać takie „dziwne", nie brane często pod uwagę pomieszania. Ale poprzestańmy tylko na tych przykładach, bo wystarczą one, aby przestać się egzaltować tezą, że zrównany stosunek do środków produkcji pociągnął automatycznie lawinę równości. Zrównanie to zniosło stare nierówności i przedsocjalistyczny wyzysk, ale nie zapobiegło to... powstaniu innych nierówności, których nie potrafimy dokładnie sobie wyjaśnić.

SPOTKANIE Z KAZIMIERZEM DEJMKIEM

Do trzech razy sztuka

Przyjechał do Łodzi Kazimierz Dejmek. Będzie z nim spotkanie w Klubie MPiK — głosiły afisze.

W sali czytelni komplet, przeważnie młodzi ludzie, studenci. Kilka minut po szóstej wchodzi w towarzystwie prof. **Stanisława Kaszyńskiego**, który wygłasza krótki wstęp na temat twórczości znakomitego reżysera. Dejmek milczy i dużo pali. Po wstępie prof. Stanisława Kaszyńskiego mówi:

— Moglibyśmy się z panem prof. Kaszyńskim wcześniej umówić, że będzie o mnie tak mówił. Wtedy bym przyszedł później, tymczasem to wszystko brzmiało jak mowa pośmiertna...

Ale do rzeczy, najlepiej będzie jak państwo zaczną pytać, a ja odpowiadać. Bo inaczej to mogę przez całe spotkanie recytować na przykład... „Pawła i Gawła".

Na sali burza śmiechu. Potem padają pierwsze pytania. Kazimierz Dejmek kilka zapisał i odpowiada „hurtem".

O środowisku teatralnym w Łodzi i o Teatrze Nowym:

— Z Łodzią zawsze był spory kłopot. Piętno na mieście wyrył okres w latach czterdziestych, kiedy tutaj była teatralna stolica Polski, kiedy Warszawa nie funkcjonowała jako ośrodek teatralny. A później zaczęła się bieda, która wynikała po emigracji tego środowiska, nie tylko, zresztą do Warszawy. Po wojnie nie było możliwości powołania do życia własnej elity intelektualnej i Łódź stawała się z dnia na dzień prowincją kulturalną. Teatry z tym kompleksem prowincji bez przerwy walczą, ciągle usiłują się czegoś dorobić! Ta szamotanina trwa do dzisiaj.

Dziś jest, jak mi się zdaje dość mizernie nie tylko z Teatrem Nowym. Nie bardzo wiadomo, co z tym fantem zrobić, bo niedobrze jest na widowni. W tej chwili nie jestem w stanie odpowiedzieć, gdzie tkwi przyczyna. Czy mała frekwencja wynika z mizeroty, czy też nasze życie publiczne nie sprzyja formowaniu się elity kulturalnej.

Więc jest mizerota, i to by było na tyle, w tej kwestii...

— Czy nie czuje pan wyrzutów sumienia, że w jakimś sensie ta mizerota to pana „zasługa". Przecież zabrał pan najlepszych aktorów...

— Nie, niby dlaczego? Przyzwyczailiśmy się do tego, że aktorzy z Warszawy to jest ktoś, tymczasem wszyscy inni po prostu nie istnieją. A co do wyrzutów sumienia. Nie rozumiem.

— Kogo pan sobie obecnie upatrzył w Łodzi z aktorów i podpisze z nim kontrakt?

— Na ten temat nie chciałbym się na razie wypowiadać...

— Jaki jest pana wpływ na repertuar i spektakle w Teatrze Nowym. Jest pan przecież konsultantem artystycznym.

— Mógłbym mieć nieograniczony, ale nie mam czasu. Oczywiście spotykam się z Wojciechem Pilarskim i omawiamy czasami sprawy repertuarowe i obsadowe...

— Czy ma pan zamiar wrócić do Łodzi?

— Bo ja wiem?... Moje związki z tym miastem są wielkie. Całe dorosłe życie jestem związany z Łodzią. Bo ja wiem?... Jak mnie wyrzucą z Polskiego — to wrócę do Łodzi. DO TRZECH RAZY SZTUKA!

O Narodowej Radzie Kultury, ministrze Żygulskim i ZASP.

— Zacznijmy od Narodowej Rady Kultury, jaka moja w niej rola. Ano, prawie żadna. Jestem członkiem Prezydium i byłem do tej pory na jednym spotkaniu. Niektórzy uważają, że jest to jeszcze jedno fasadowe ciało. Inni próbują wykorzystać tę działalność do działań sensownych i pozytywnych. Co dalej wyniknie, w dużej mierze zależy od pana profesora Bogdana Suchodolskiego. Nie mogę w tej chwili wydać żadnego sądu, za krótko.

O obecnym ministrze wolałbym raczej nie mówić. Jego poczynania są bardzo energiczne i czasami zaskakujące, niestety. Jakby brak wrażliwości na skutki natury psychologicznej i emocjonalnej. Być może minister też oczekuje negatywnych usposobień do swoich decyzji...

Co do ZASP. Odbyło się spotkanie Komitetu Organizacyjnego nowego ZASP. Jestem zwolennikiem działalności. Od samego początku byłem przeciwnikiem pewnych posunięć i na tym polegał spór z moimi kolegami z rozwiązanego ZASP, co do taktyki i strategii. Kierownictwo ZASP, moim zdaniem, zrobiło wszystko, żeby go rozwiązać. Ja uważam, że nie ma powodu do radości, jest to niewątpliwy kłopot. Część moich kolegów stoi na stanowisku negacji i emigracji. Część ludzi wykorzystuje nieobecność i próbuje zyskać pozycję... Nie podzielam tego stanowiska emigranckiego, uważam, że należy czynić i działać. W przełomowym okresie historycznym nie chodzi o czynienie min niezłomnych. To należało robić w epoce Gomułki i Gierka — teraz jest bezpodstawne. Nasze losy znajdują się w dość głębokiej, kolejnej przepaści. Jeżeli damy się zepchnąć...

— Co z premierą „Dziadów", która miała się odbyć 14 lipca?

— Oczywiście, w tym terminie się nie odbędzie. Wiadomo to już od dawna. Andrzej Wajda, który miał to przedstawienie inscenizować powiadomił mnie zaraz na początku roku, że nie będzie mógł rozpocząć prób, gdyż terminy filmowe za granicą mu się przesunęły i że sprawa „Dziadów" może być aktualna w następnym sezonie. Kiedy wróci do Polski, będziemy na ten temat rozmawiać.

— Dlaczego na jubileusz Teatru Polskiego nie wystawił pan Krasińskiego?

— Że niby „Irydion", bo to była pierwsza w tym teatrze premiera? Proszę państwa, ówczesny dyrektor Szyfman nie z miłości wystawił sztukę Krasińskiego, ale dla pieniędzy. Tak, prawnuk wieszcza, hrabia Krasiński zobowiązał Szyfmana do wystawienia sztuki swojego pradziada za określone pieniądze. Został po prostu przekupiony. Dlatego na jubileuszu nie było żadnego z Krasińskich, bo mnie nikt nie przekupił. Zrobiliśmy „Wyzwolenie". Autor też nie najgorszy...

— Wiadomo, że w Teatrze Polskim będą wymówienia, około 30 osób.

— Tak, to prawda, już wcześniej o tym mówiłem, że będą ruchy personalne. Nie znaczy to jednak, że te osoby są dyskredytowane, że są niedobrymi aktorkami czy aktorami. Po prostu ich droga artystyczna rozmija się z moją. Ta krzyżówka fatalnie dla nich wypada. Być może — w Łodziach, Kaliszach i Toruniach będą wspaniale grali „Hamletów". Być może, będę ich błagał na kolanach, żeby wrócili. Ale, na razie, nie powinni się znajdować w Teatrze Polskim. Nie spełniają moich wyobrażeń. A co do liczby, zmniejszyła się o kilka osób. Bodajże 23 dostały wymówienie.

— Czy ma pan w planie wystawienie czegoś ze staropolszczyzny?

— Nie mam takich planów. Obecnie robię „Zemstę". W Łodzi nie było to przedstawienie udane, nawet fatalne. Za drugim razem może będzie lepiej. Później „Wesele", a po drodze najnowszą sztukę Igora Newerlego „Maestro". Na razie tyle.

— Czy nie uważa pan, że w repertuarze teatrów brakuje sztuk współczesnych?

— Hmm, zawsze w repertuarze nie było dużo sztuk współczesnych. Do wyjątków należały okresy, kiedy publiczność mogła oglądać sztuki napisane współcześnie. Nie wiadomo, czy wówczas zdawali sobie sprawę, że będą to arcydzieła. Mówię o Grecji, o Teatrze Elżbietańskim i Szekspirze.

Obecnie, powiedziałbym, sytuacja nie jest taka tragiczna. Różewicz, Mrożek, Iredyński. Albo Gombrowicz. Dramaturgia powojenna wcale nie jest zła dramaturgia. Chociaż mogłoby być jej więcej.

— Co pan sądzi o Kantorze?

— Nie widziałem żadnego jego przedstawienia. W rozmowach z ludźmi dowiaduję się, że spośród Grotowskiego, Szajny i Kantora najbardziej cenią tego trzeciego. Moim zdaniem są to imprezy parateatralne, nie jest to ten teatr, który kultura europejska wykształciła, i nie o taki chodzi. Ja tego nie lubię i nie cenię. Sądzę, że jest to totalne nieporozumienie, również ze strony krytyków i publiczności, którzy to popierają. To jest bardzo szkodliwe i ogłupiające.

— Ostatnio dużo się mówi o reformie w teatrze.

— Owszem, reforma będzie. Na razie teatry „dychają", a właściwie konają, jako przedsiębiorstwa. Trzeba je dotować, inaczej należałoby zamknąć. Teraz funkcjonujemy w pełnej i rozwiniętej paranoi. A dowiedziałem się niedawno, że teatry mają płacić podatek dochodowy... Kochani, ja tego nie rozumiem.

W grudniu ma wejść pod obrady Sejmu projekt uchwały o instytucjach artystycznych. Między innymi Teatr Polski ma podlegać skutkom tej właśnie uchwały. Byłoby to jakieś konkretne rozwiązanie.

Były też pytania z gatunku dowcipnych. Na przykład **dlaczego Kazimierz Dejmek siedzi w garniturze i krawacie, skoro jest bardzo gorąco?** Odpowiedział na to poważnie:

— Wy tutaj wszyscy możecie sobie pozwolić na strojo różne i luźne. Ja, jako osoba zaproszona i występująca nieisko z innej pozycji musze to uszanować. Co prawda, zaklinałem się kiedyś, że nigdy nie założę krawata...

Spotkanie trwało dwie i pół godziny i Kazimierz Dejmek wypalił paczkę papierosów.

JACEK BINKOWSKI

W kręgu fantastyki

STAN CLUB

Opowiadanie Calligana

ANDRZEJ J. ZIMNIAK

Calligan nerwowo przemierzał swój gabinet. Jutro rano musiał wysłać opowiadanie, od tego zależało wiele. Jak na złość, myśli rozpierzchły mu się i przelatywały przez głowę niby strzępy burzowych chmur, nie przybierając żadnego rozsądnego kształtu. Ile dałby teraz za jeden pomysł!

Przystanął przed długimi półkami. Barwne grzbiety tomów, powieści, opowiadania, nowele, pomysły proste i wyrafinowane. Technika przyszłości, inne cywilizacje. Człowiek Zwycięzca. Przygniatające laika opisy nieprawdopodobnych maszynerii, baśnie fantastyczne, samozachwyt ludzkości psychozabawy, miłość kosmiczna... Wszystko już było.

Zły humor Calligana potęgował się. Sięgnął po telefon.

— Daisy to ty? — huczał Calligan do słuchawki. — No to dlaczego nic nie mówisz? No dobrze, dobrze... Nie, nic się nie stało, chociaż czy ja wiem? Zależy jak na to patrzeć, właściwie pustka w głowie to nie jest wydarzenie. Nie możesz przyjechać? Do licha... No to zadzwoń chociaż, może ty coś wymyślisz! W końcu to z tobą mam jechać do tej przeklętej Kalifornii! — ze złością odwiesił słuchawkę. Wyłączył światło i starał się skupić uwagę na wygwieżdżonym niebie za oknem, jakby stamtąd miało spłynąć objawienie. Jednak podrażniony system nerwowy nie pozwalał na właściwą kontemplację majestatu wszechświata. Zapalił światło i sięgnął po fiolkę z pigułkami.

Słabiutkie drgnienie budzących się fal było jak pierwsza kropla tajania bryły wiecznej zmarzliny. Elektromagnetyczne pulsacje narastały zrazu chaotycznie, aby potem dostroić wzajemne modulacje i stać się wątłą nitką świadomości, rozlewającą się i pełzającą niby strumyk stopionego metalu. Kłębki drgających fal przenikały się, formowały tętniące struktury, zmienne i labilne. Dopasowywały się, odnajdywały swoje funkcje, tworzyła się świadomość drugiego rzędu.

I w ten sposób narodził się. Nie od razu, lecz w którymś momencie narastania poplątanych funkcji falowych, kiedy drgnęły one w pierwszym skurczu świadomości istnienia.

Pole. Odczuwał rosnący kreatywny wpływ rozległej radiacji, oddziaływanie, które wskrzesiło Go do życia i stymulowało rozwój. Drażniło lekkimi pulsacjami, lecz było wystarczająco stabilne. Błyskawiczny rozwój organizacji, który mógł już od pewnego czasu kontrolować, sprawiał Mu rozkosz, jakiej dawno nie zaznał.

Wspaniałe, jednorodne, choć niezbyt równomierne Pole w miarę przybliżania się indukowało w Nim coraz bardziej złożoną świadomość. Zrazu nikłe nitki informacyjne tworzyły coraz gęstszą sieć. Na razie nie widział niebezpieczeństwa, chociaż czuł je tworzącym się zrębem przewidywania.

Daisy również patrzyła w gwiazdy. Przed chwilą wyszła na taras i wymościła sobie miękkim pledem trzcinowy fotel. Była śpiąca, mruczała więc gniewnie słowa pod adresem swojego przyjaciela. Ale chciała jechać do Kalifornii, wygrzewać się na piasku w Morro Bay i znów spacerować urokliwymi uliczkami San Francisco. Tak, musi mu podsunąć jakiś temat, inaczej nie będzie zaliczki i nie pojadą.

Kobiecość Daisy stanowiła wielokrotność średniej, a może nawet jej potęgę. Miała oczywiście wdzięk, poruszała się w taki sposób, że elektryzowała mężczyzn, ale nade wszystko miała intuicję. Potrafiła dostrzegać niewidzialne, spostrzec ruch jeszcze w nieuchwytnym momencie jako inicjacji, przewidzieć całość na podstawie fragmentu, odbierać ulotne strzępy fal. To była kobieta w każdym calu i Calligan wiedział o tym od dawna.

Nagle zerwała się z fotela i podbiegła do telefonu.

Natrafił na słaby, sprężysty ekran siłowy. Pomimo modyfikacji nie mógł go dojrzeć. Zwiększył swoje natężenie na tyle, aby siła ekranu była do pominięcia i wtedy przeszedł przezeń bez trudu. Na tym stopniu rozwoju dodatkową energię mógł już czerpać ze słabych, rozległych fal grawitacyjnych.

Poczuł niemalże rozkosz. Zagłębił się w seledynowe fałdy Pola, któremu równego dotychczas nie znał. W miarę jak poznawał więcej, coraz wyraźniej wyczuwał drobne zaburzenia struktury przestrzeni. Nieznane chowało się gdzieś za kulistym źródłem Pola lub w jego wnętrzu, zasymilowane niemal w jedność z otoczeniem.

W miarę wzrostu świadomości odczuwał coraz bardziej natarczywy lęk. Inny korzystał z Pola, należy więc go usunąć.

Spieszył się. Zanurzył swoje nici transmisyjne w kluczowych punktach Pola i, zwiększając maksymalnie napięcie pomiędzy nimi, oscylując z przejęcia i ekstazy w rytmie pulsacji Pola, wytworzył i wyrzucił w przestrzeń mały kłębek fal, zaledwie zarys drgań, zakrzywienie, które kiedyś przemieni się w osobliwość czasoprzestrzeni. Gdzieś daleko, wśród innych słońc i globów, w sprzyjających warunkach jakiegoś Pola, słabiutkie drgnienie budzących się fal będzie jak pierwsza kropla tajania bryły wiecznej zmarzliny. W końcu z rozbieganych pulsacji zrodzi się świadomość i zanurzy się z rozkoszą w fałdach życiodajnego Pola.

Lecz wtem — tutaj, w tym miejscu czasoprzestrzeni, wróg zaczął działać. Wyczuwał wyraźnie nasilenie obcego istnienia, czyjejś obecności w Polu. Zbyt mało miał danych, aby rozpocząć działanie, lecz był przygotowany.

— Daisy, kochanie, to wspaniałe! Wiedziałem, że na tobie nie zawiodę się, na tobie nigdy i nigdzie nie można się zawieść! I mówisz, że widziałaś to coś między gwiazdami, tę promienistą sieć, opadającą na Ziemię? Dobre! Ale zawsze ci wierzę, moje złotko, nawet jak trochę żartujesz. Tak, już wyciągam maszynę i piszę! Do zobaczenia jutro na Kennedy Airport!

Calligan odwiesił energicznie słuchawkę i zatarł ręce. Daisy to świetna dziewczyna, ma tylko jedną małą wadę: czasem mimochodem wspomina o ślubie. Poza tym — pierwsza klasa!

Z hukiem wyciągnął maszynę do pisania i zaczął pracę. Tworzenie pochłonęło go tak dalece, że nie poczuł swądu spalenizny i nie zauważył powiększającej się dziury, wypalanej przez niewidoczne źródło energii w blacie biurka tuż obok jego łokcia.

To była największa porażka w Jego życiu.

Wróg wiedział o Nim wszystko. Lokalizacja nieprzyjaciela nie przedstawiała trudności: gęste, energonośne jądro Pola było go pozbawione, natomiast na powierzchni niewielkich fałd występował w dużym natężeniu. Zaś tylko w dwóch blisko leżących punktach wiedziano o Nim wszystko, zwłaszcza jedno z tych ognisk charakteryzowała duża zawartość informacji. I nic! Po prostu nic, żadnej akcji zaczepnej lub zmasowanej fali uderzeniowej. Pełna wiedza i całkowity brak działania! Nawet najprostszy sygnał ostrzegawczy w postaci wysokoenergetycznej wiązki fal, który musiała zarejestrować cywilizacja zdolna przejrzeć Jego, został całkowicie zignorowany. Zagadkowy bezruch można było wytłumaczyć tylko jednym: ogromną przewagą wroga i zupełnym lekceważeniem Jego, istoty mogącej niszczyć gwiazdy. Wróg zdawał się sygnalizować: wiemy wszystko i tego nie kryjemy; chcesz atakować, to spróbuj; ze swojej strony dajemy ci szansę, choć zmaleje ona do zera, jeśli rozpoczniesz walkę.

I skorzystał z tej szansy. Wyplątał swoje nici transmisyjne z Pola i odleciał w zimną przestrzeń. Rozpłasane fale jęły drgać coraz wolniej, świadomość kurczyła się i nikła, aż został sam tylko jej kształt, powłoka jeno, przemierzająca swoim bezładnym lotem setki lat świetlnych w poszukiwaniu przyjaznego Pola, które znów tchnęłoby w nią życie.

Tyle mówi opowiadanie Calligana, przeplatane tutaj dla zabawy historią jego powstawania. Wszak przesadą byłoby twierdzenie, że kobieca intuicja uratowała ludzkość przed zagładą; może więc lepiej pozostać przy pełnej niezależności wątków i wersji przypadkowych zbieżności. Ludzie są znacznie spokojniejsi, przyjmując rozwiązanie najprostsze i powszechnie akceptowane, a przez to uniwersalne dla większości zdarzeń. Lecz stąpając po kruchej skorupie oczywistości nieraz słyszymy głuchy pogłos nieznanej głębi pod stopami.

Tak właściwie to Calligan nie był pewien, jak na wskroś kobieca Daisy wpadła na tak dziwny pomysł.

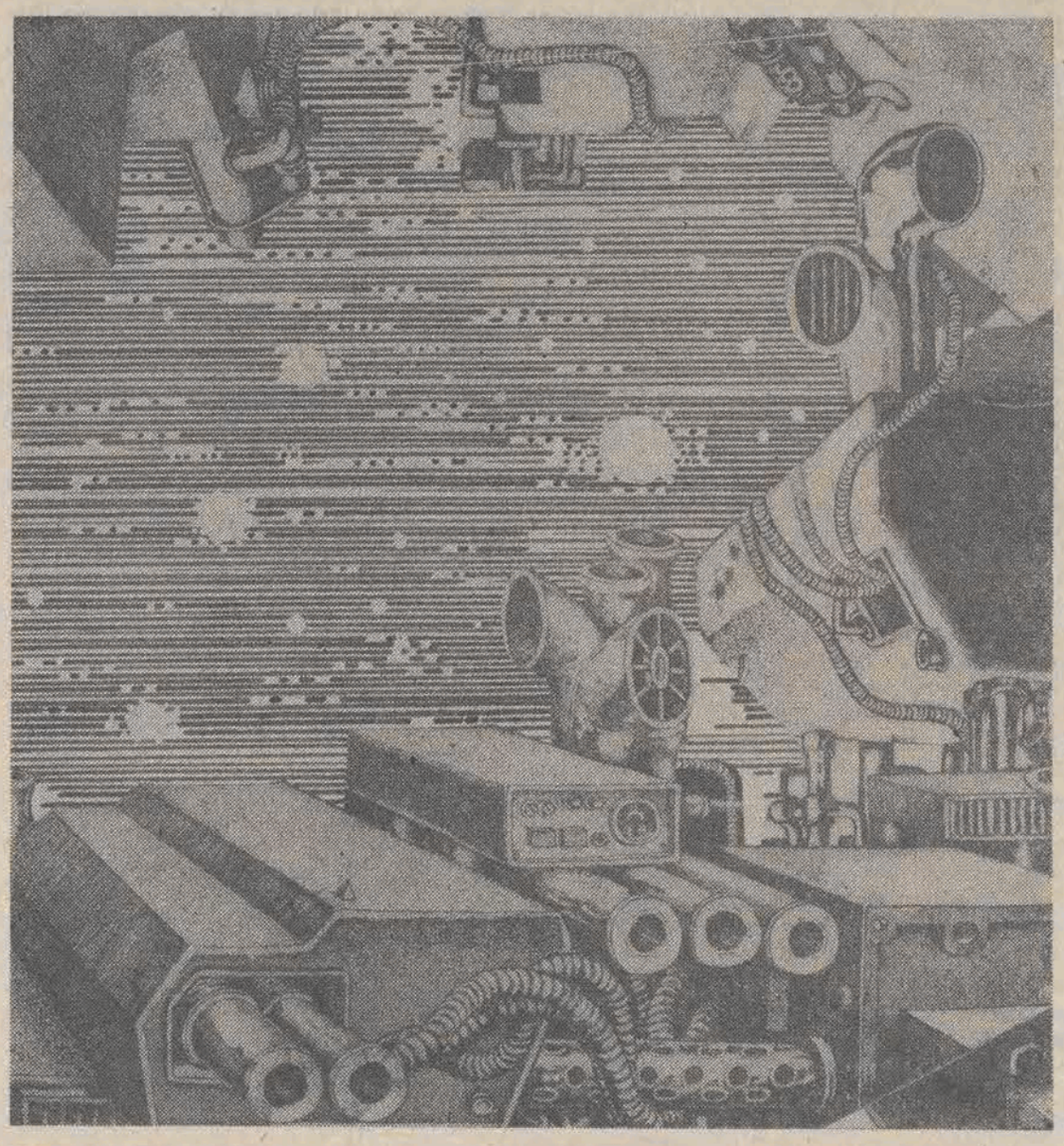

Nasz człowiek w przeszłości

KIRYŁ BUŁYCZOW

Pokaz maszyny czasu odbywał się w małej sali Domu Nauki. Poszedłem po Alisę do przedszkola i tam uświadomiłem sobie, że jeśli odprowadzę ją do domu — spóźnię się na pokaz. Kazałem jej więc obiecać, że będzie zachowywała się należycie i razem poszliśmy do Domu Nauki.

Przedstawiciel Instytutu Czasu, człowiek bardzo wielki i bardzo łysy, stał przed maszyną czasu i objaśniał jej budowę społeczności naukowej. Społeczność naukowa słuchała go bardzo uważnie.

— Pierwsze doświadczenie, jak wszyscy wiedzą, nie udało się — mówił. — Wysłany przez nas kotek trafił w początek XX wieku i eksplodował w rejonie rzeki Tunguski, co zapoczątkowało legendę o tunguskim meteorycie. Od tej pory jednak nie zdarzały się nam już większe niepowodzenia. Co prawda z powodu określonych prawidłowości, o których chętni mogą poczytać w broszurze wydanej przez nasz instytut, na razie możemy wysyłać ludzi i przedmioty w lata siedemdziesiąte dwudziestego wieku. Należy dodać, że niektórzy nasi współpracownicy byli tam, oczywiście incognito i szczęśliwie powrócili. Sama procedura przemieszczania w czasie jest stosunkowo prosta, chociaż kryje się za nią wieloletnia praca setek ludzi. Wystarczy założyć chronomocyjny pas... Chciałbym, aby zgłosił się do mnie ochotnik z sali, na przykładzie którego przedstawię sposób przygotowywania podróżnika w czasie...

Zapadło niezręczne milczenie. Nikt nie zdecydował się jako pierwszy wejść na scenę. I w tym momencie na podium pojawiła się Alisa, choć dopiero pięć minut temu przyrzekła, że będzie zachowywała się w sposób należyty.

— Alisa — krzyknąłem. — Wracaj natychmiast.

— Niech się pan nie denerwuje — powiedział przedstawiciel instytutu. — Dziecku nic się nie stanie.

— Nic mi się nie stanie, tato — wesoło zawołała Alisa.

Przez salę przebiegł śmiech i ludzie zaczęli się odwracać, szukając wzrokiem srogiego ojca.

Starałem się sprawiać wrażenie, jakbym nie miał z tym nic wspólnego.

Przedstawiciel instytutu nałożył Alisie pas i przymocował do skroni coś w rodzaju nauszników.

— Ot i wszystko — powiedział. — Teraz człowiek gotów jest do podróży w czasie. Wystarczy, aby wszedł do kabiny, a znajdzie się w 1975 roku.

„Co on mówi — przebiegła mi przez mózg paniczna myśl. — Przecież Alisa natychmiast wykorzysta tę możliwość!".

Ale było już za późno.

— Dziewczynko! Dokąd?! Stój! — krzyknął przedstawiciel instytutu.

Alisa jednak weszła do kabiny i na oczach wszystkich zniknęła. Sala jęknęła.

Pobladły przedstawiciel instytutu wymachiwał rękoma, usiłując uciszyć hałas. Widząc, że biegnę ku niemu wzdłuż przejścia, pochylił się do mikrofonu, aby lepiej go było słychać i powiedział:

— Dziecku nic się nie stanie. Za trzy minuty znowu znajdzie się w tej sali. Daję słowo, że aparatura jest absolutnie pewna i wypróbowana. Proszę się nie denerwować.

Łatwo mu było mówić. Stałem na scenie i myślałem o losie kociaka przekształconego w meteoryt tunguski. Zarazem wierzyłem i nie wierzyłem lektorowi. Osądźcie sami: wiedzieć, że własne dziecko znajduje się właśnie w przeszłości, przed prawie stu laty... A jeżeli ona odejdzie od maszyny i zabłądzi?

— A czy nie mógłbym podążyć za nią? — spytałem.

— Nie. Za minutę... Ale proszę się nie niepokoić. Przyjmie ją tam nasz człowiek.

— Więc tam jest wasz pracownik?

— Ależ nie, nie pracownik. Po prostu znaleźliśmy człowieka, który doskonale zrozumiał nasze problemy i w jego mieszkaniu znajduje się druga kabina. On żyje tam, w dwudziestym wieku, ale dzięki swojej specjalności...

I w tym momencie w kabinie pojawiła się Alisa. Wyszła na scenę z miną człowieka, który doskonale spełnił swój obowiązek. Pod pachą trzymała grubą, starą książkę.

— Więc widzi pan... — powiedział przedstawiciel instytutu.
Na sali rozległy się oklaski.

— Dziewczynko, opowiedz co widziałaś? — rzekł lektor nie dając mi nawet podejść do Alisy.

— Tam jest bardzo ciekawie — odpowiedziała Alisa. — Bum! I jestem w innym pokoju. A tam przy stole siedzi wujek i coś pisze. Zapytał mnie: „Ty dziewczynko jesteś z XXI wieku?". Mówię, że chyba tak, tylko że ja nie liczyłam naszego wieku, bo jeszcze źle liczę. Chodzę do przedszkola, do średniaków. Wujek powiedział, że to bardzo ładnie i że będę musiała niedługo wrócić. „Chcesz zobaczyć, jak wyglądała Moskwa, kiedy jeszcze nie było twojego dziadka?". Powiedziałam, że chcę i on mi pokazał. Bardzo dziwne i niskie miasto. Potem zapytałam jak ma na imię i on powiedział, że Arkadij, i że jest pisarzem, i pisze książki fantastyczne o przyszłości. On, jak się okazało, nie wszystko wymyśla dlatego, że czasami przychodzą do niego ludzie z naszego czasu i wszystko mu opowiadają. Tylko, że on nikomu nie może o tym mówić, bo to wielki sekret. Podarował mi swoją książkę... I wróciłam.

Sala nagrodziła opowiadanie Alisy burzliwymi oklaskami.

A potem ze swojego miejsca wstał czcigodny akademik i powiedział:

— Dziewczynko, trzyma pani w rękach unikalną książkę — pierwsze wydanie powieści fantastyczno-naukowej „Plamy na Marsie". Czy nie mogłaby mi pani podarować tej książki? Przecież i tak nie umiesz jeszcze czytać!

— Nie — powiedziała Alisa. — Ja się wkrótce nauczę i sama przeczytam...

Tłumaczenie: EWA MILERSKA

Tajemnice Wenus

„Planeta-siostra" stanowi jeden z głównych obiektów zainteresowania kosmonautyki, zarówno amerykańskiej, jak i radzieckiej. Między dwoma mocarstwami kosmonautycznymi istnieje jakby podział pracy. Amerykanie zajmują się „obserwacją lotu", radzieccy badacze — „lądowaniem". Amerykańskie sondy i radioteleskopy pozwoliły już wyrobić sobie pogląd, iż pochodzenie tej planety powinno być bardzo podobne do pochodzenia Ziemi. Wiadomo, że na Wenus istnieją góry, których wysokość przekracza niekiedy 10 tysięcy metrów, jednak naukowcy nie mogą sobie poradzić z wyjaśnieniem, w jaki sposób one powstały. Nie wiedzą również zbyt dobrze, dlaczego temperatura na planecie sięga 460 st. C. Niektórzy przypuszczają nawet, że Wenus kiedyś się ochłodzi. W badaniach radzieckich główny nacisk jest położony na poznanie składu gruntu. W 1990 r. przewidywane jest wielkie amerykańskie przedsięwzięcie, które powinno dostarczyć szczegółowy obraz planety.

Badacze amerykańscy i radzieccy są zgodni: Wenus powinna być jednym z głównych obiektów badań kosmicznych, a to dlatego, że początkowo zapewne była niemal identyczna z Ziemią. Gdy się jednak przyjrzeć bliżej, te dwa światy okazują się zupełnie różne. Badania tych różnic mogłyby dostarczyć informacji o losie, który mógł spotkać Ziemię, o możliwej ewolucji, jaka czeka obiekty o podobnych cechach.

Amerykanie podjęli obserwacje z Ziemi, ich radioteleskopy w Arecibo i Goldstone są dostatecznie silne, by umożliwić obserwację rzeźby powierzchni Wenus podczas dolnej koniunktury planety. Ostatnie takie zdarzenie miało miejsce 20 stycznia 1982 roku; była więc okazja do nowego przeglądu środków. Komputerowa analiza sygnałów z planety pozwala sporządzić mapy wielu obszarów jej powierzchni.

Amerykanie dysponują także informacjami uzyskanymi za pomocą „Pioneera Venus". Wysłany 20 marca 1978 roku z Cap Canaveral, osiadł 4 grudnia tegoż roku na ekscentrycznej orbicie wokół Wenus, okrąża ją w czasie około 24 godzin: jest to orbita 250/66 900 km, nachylona 105,6 st.

Przeznaczony do działania przez okres czasu — praktycznie roku kalendarzowego 1979 — funkcjonował nadal w latach 1980 i 1981, przesyłając pokaźną liczbę danych, których opracowaniem zajmowano się od 2 do 6 listopada 1981 roku na seminarium zorganizowanym przez NASA i Uniwersytet Arizony w Ames Research Center. Było to pierwsze międzynarodowe spotkanie naukowe poświęcone planecie Wenus.

WYSOKIE GÓRY

Dwa tematy zdominowały dyskusję i były poruszane w 118 odczytach. Pierwszy wiąże się z wynikami radarowych badań Wenus dokonywanych z orbity: „Pioneer Venus 1" był wyposażony w radar, który podczas każdego obiegu mógł być przydatny tylko przez dziesięć minut — w czasie bardzo krótkich zbliżeń do powierzchni planety. W trakcie wielu obiegów wokół planety można było sfotografować sporą część Wenus.

Wiadomo dzięki temu, że — wbrew przypuszczeniom sprzed roku 1970 — na Wenus są wysokie góry, wyższe od najwyższych ziemskich szczytów. Góra Maxwella sięga ponad 11 tysięcy m. Skąd takie góry na Wenus? Znamy proces powstawania gór ziemskich. Są konsekwencją przemieszczeń płyt tektonicznych: kontynenty można traktować jak tratwy unoszone na gęstej astenosferze, poruszanej stałym dopływem nowych substancji pochodzących z wnętrza Ziemi.

Wyobrażono sobie podobną aktywność tektoniczną na Wenus: identyczne modele termiczne dla obu planet wydawały się logiczne przy założeniu, że obie planety powstały równocześnie, z tych samych składników i ich początkowa budowa była wynikiem tego samego procesu.

Ale ogromną różnicę stanowi brak mórz na Wenus. Co by się stało, gdyby Ziemia nie zatrzymała wody w stanie ciekłym? Naukowcy w istocie nie rozpatrywali takiego problemu. W przypadku Wenus jest to jedno z głównych zagadnień. Oto korzyść z badań sąsiedniej planety; znajdując inne rozwiązanie zagadnienia tektoniki płyt, wskazując inne drogi ewolucji, można wyjaśnić przypadek ziemski.

Niektóre elementy tektoniki Wenus są już znane. Wiadomo, że na planecie znajduje się ogromny rów długości przeszło 2 tys. km, którego głębokość jest miejscami bliska 6 tysięcy m. To wielkie pęknięcie powierzchni Wenus mogło być obserwowane i za pośrednictwem „Pioneer Venus 1" i przez radioteleskopy.

Zebrane dane stanowią zagadkę. Mówią o istnieniu gór i szczelin, ale nie ujawniają erupcji materiałów podobnych do tych, które na Ziemi wydobywają się wzdłuż podmorskiego grzbietu w Atlantyku, rozsuwając Europę i Amerykę. Zapewne tektonika Wenus podporządkowuje się innemu modelowi, którego nie mogliśmy dotąd poznać.

DLACZEGO TAK GORĄCO?

Drugi temat to oczywiście bardzo wysoka temperatura panująca na powierzchni Wenus. Wszystkie pomiary wykonywane od roku 1962 — gdy z „Marinera 2" otrzymano pierwszą porcję danych z lotu na Wenus — zgodnie głoszą, iż na planecie panuje temperatura około 460 st. C i ciśnienie około 90 atmosfer. Wyjaśnienie nasunęło się natychmiast: złożona głównie z dwutlenku węgla atmosfera wywołuje efekt cieplarniany. Z promieniowania słonecznego przepuszcza głównie fale o długości około 0,6 mikrona, a jednocześnie stanowi barierę dla promieniowania w paśmie podczerwieni, którego długość fali, około 5 mikronów, mieści się dokładnie w paśmie absorpcji dwutlenku węgla.

Takie wówczas przedstawiono wnioski. Kwestionowali je jednak niektórzy naukowcy; powtarzając rachunki i rozważając temperaturę różnych warstw atmosfery, stwierdzili, że ilość dwutlenku węgla nie jest dostateczna, by stać się jedyną przyczyną efektu cieplarnianego, o takich rozmiarach. Część promieniowania słonecznego docierająca do Wenus jest w rzeczywistości niewielka. Według tych badaczy musiało istnieć „coś innego". Aeronomia podsuwała hipotezę: promieniowanie słoneczne może w atmosferze Wenus powodować egzotermiczne reakcje chemiczne. W ten sposób, uwzględniając efekt cieplarniany, można by wytłumaczyć owe 460 st. C na powierzchni planety.

Ale „Pioneer Venus 1" przyniósł inne wyjaśnienie. Jednym z jego osiągnięć jest określenie roli, jaką odgrywa warstwa mgły składającej się głównie z kropelek kwasu siarkowego, która utrzymuje się stale nad warstwą chmur; rozciąga się ona z grubsza między 90 a 68 km. Otóż pomiary dokonane przez sprzęt amerykański wykazały, że ta warstwa mgły jest główną przyczyną efektu cieplarnianego, niezależnie od tego, co powodują własności atmosfery. Inaczej mówiąc, na Wenus efekt cieplarniany zachodzi na dwóch poziomach: promieniowanie podczerwone emitowane na powierzchni jest w znacznym stopniu powstrzymywane przez dużą część atmosfery, później ta część promieniowania, która przedostaje się wyżej, jest przejmowana przez warstwę mgły, której efekt cieplarniany dominuje nad efektem pochodzącym z dwutlenku węgla. Tym razem fizycy są bardziej usatysfakcjonowani, podwójny efekt cieplarniany wydaje się wreszcie uzasadniać wysoką temperaturę panującą na Wenus.

MGŁA NAD WENUS

Ale problem nie jest bynajmniej ostatecznie rozstrzygnięty. „Pioneer Venus 1" dokonał innego odkrycia, być może najbardziej zaskakującego: wszystko wskazuje na to, że warstwa mgły wokół Wenus zanika!

Kiedy sprzęt amerykański rozpoczął pracę, naukowcy nie mieli wątpliwości, że warunki meteorologiczne na Wenus są niezmienne. Wenus istotnie porusza się po orbicie niemal dokładnie kołowej, a jej oś jest praktycznie biorąc prostopadła do płaszczyzny orbity. Nie spodziewano się więc na tej planecie pór roku, a tym bardziej wątpiono w zmiany klimatu między poszczególnymi latami wenusjańskimi. Na podstawie obliczeń czasu wszystkich „sezonów" stwierdzono, że rok wenusjański wystarczy jako okres obserwacji [1]). Dla zmniejszenia ryzyka błędów czas ten został wydłużony do roku ziemskiego, a i to nie wydawało się potrzebne.

W trakcie sprawdzania fotografii przysyłanych przez sondę „Pioneer Venus 1" naukowcy wysunęli przypuszczenie, że — jak sugerowały obrazy przekazane przez radziecki statek orbitalny „Wenera 10" — w atmosferze Wenus zachodzą zmiany istotne i niewytłumaczalne. Zmienia się wygląd niektórych formacji. Zmiany te potwierdziły się podczas drugiego roku funkcjonowania stacji „Pioneer Venus 1", a w jeszcze większym stopniu w trzecim roku.

Najdziwniejsze, że — jak się wydaje — zmiana warstwy mgły zawartej w górnych partiach atmosfery ma charakter jednokierunkowy — przynajmniej w przedziale czasu, w którym mogły być prowadzone obserwacje. Według niektórych specjalistów gęstość tej warstwy jest miejscami około dziesięciu razy mniejsza niż w roku 1978.

Łatwo się domyślić, jakie zamieszanie wywołało to odkrycie. Naukowcy zastanawiają się, czy nie popełnili błędów. Czy nie jest to spowodowane fałszywymi wskazaniami uszkodzonych aparatów? Jeśli warstwa mgły rzeczywiście zanika, to czy to zjawisko będzie nadal zachodzić?

Pytanie zdecydowanie najistotniejsze: co się będzie działo, jeśli warstwa mgły zniknie zupełnie lub znacznie się zmniejszy? Czy efekt cieplarniany wywołany przez dwutlenek węgla, a nie podtrzymywany efektem mgły kwasu siarkowego, może powstrzymać stygnięcie Wenus? Czy nie można przypuszczać, że podobne zjawisko zdarzyło się już dawniej i że temperatura planety ulega cyklicznym zmianom o dużej amplitudzie?

W każdym razie wydaje się wykluczone, by temperatura na Wenus spadła do wartości odpowiadających warunkom panującym na Ziemi. Gęstość atmosfery ulega zmianom tylko w ograniczonym zakresie, co jest powodowane bliskością Słońca.

Naukowcy zebrani w Palo Alto oświadczyli, że można mieć pewność, iż na Wenus woda w stanie ciekłym nigdy nie wystąpiła.

DRUGA GENERACJA „WENERY"

Trzeba podkreślić, że hipoteza dotycząca zmian temperatury na powierzchni Wenus w ciągu stuleci zasługuje na poważne potraktowanie, gdyż te zmiany miałyby bezpośredni wpływ na ewolucję planety. Skały powinny zawierać ich ślady.

Program radziecki, uzupełniając amerykański, zakłada lądowanie sprzętu na powierzchni Wenus. Ze względu na dużą gęstość atmosfery spadochrony lądowników stacji z serii „Wenera" pierwszej generacji były stopniowo redukowane i obecnie, w drugiej generacji, są zastąpione dyskami. Samo zetknięcie z gruntem jest łagodzone przez układ amortyzujący. Prawdziwą trudność po osiągnięciu powierzchni stanowi uruchomienie w tak surowych warunkach sprzętu kapsuły i wysyłanie sygnałów w stronę Ziemi. To było główne zadanie pojazdów serii „Wenera" pierwszej generacji. Sukcesem zakończył się lot „Wenery 8".

Od roku 1975 używane są pojazdy „Wenera" drugiej generacji. „Wenera 9" wylądowała w rejonie równikowym Wenus blisko brzegu tarczy, w górzystej okolicy Beta, prawie na tym samym południku co „Wenera 10". Rejon Beta ma być w przyszłości obszarem kolejnych badań radzieckich zmierzających do stwierdzenia, jak i dlaczego powstały na Wenus góry. Za jednym i za drugim razem panoramiczne fotografie powierzchni były automatycznie gromadzone, opracowywane i interpretowane. Pokazują one podłoże chropowate, sądząc ze stanu kamieni — aktywne w niezbyt odległej przeszłości.

„Okna wenusjańskie" — to znaczy momenty sprzyjające wysłaniu sprzętu w kierunku planety — zdarzają się co 19 miesięcy. W Związku Radzieckim postanowiono korzystać z co drugiego „okna", zatem kolejne eksperymenty odbyły się tylko w roku 1978. „Wenera 11" i „Wenera 12" nie gromadziły jednak fotografii powierzchni i miały za zadanie, jak się wydaje, przede wszystkim ustalenie i zebranie danych technicznych dotyczących aparatury, która zdolna byłaby dłużej funkcjonować. Taka aparatura została umieszczona w stacjach trzeciej grupy „Wenery" drugiej generacji, wysłanej podczas „okna" w roku 1981. 30 października 1981 roku wystartowała „Wenera 13". Jej zadaniem było zbadanie składu gruntu wenusjańskiego już nie przez prostą detekcję promieniowania gamma (prowadzona była przez „Wenery" pierwszej generacji, wyniki sugerują pewne podobieństwo naszego granitu do skał wenusjańskich), ale pośrednio, przez analizę promieniowania terenu naświetlonego promieniami X. Urządzenie pobierające próbki zawiera przyrząd wiertniczy umożliwiający uzyskanie pyłu, który po granulacji dostarczy informacji o rodzaju substancji.

Lądowanie zostało przewidziane na 1 marca 1982 roku w miejscu wyznaczonym na podstawie udostępnionych przez NASA fotografii radarowych sporządzonych za pomocą „Pioneera Venus 1". Znajduje się ono na równinie na południowym wschodzie wulkanicznego rejonu Beta.

W przygotowaniach współuczestniczyli Francuzi i Austriacy. Uniwersytet w Grazu dostarczył ultraczuły magnetometr.

„Wenera 14" została wysłana 4 listopada 1981 roku, lądowanie przewidziano niedaleko „Wenery 13", w strefie nieco urozmaiconej.[2])

W roku 1984 do badań przystąpią Francuzi: zaczęto już konstruować balony nośne, które mają pływać w atmosferze Wenus.

Radzieccy specjaliści stwierdzili, że sondy wysyłane wówczas w kierunku Wenus będą mogły — wykorzystując pole grawitacyjne i dokonując korekty trajektorii lotu nad Wenus — skierować się w stronę komety Halleya. Zdecydowano więc, że będzie to misja podwójna: Wenus-Halley.

W rezultacie część badań wyłącznie wenusjańskich została zredukowana. Od Francuzów zażądano zastąpienia dużych balonów małymi, na co się nie zgodzili, za to podjęli się dostarczenia ważnych instrumentów potrzebnych do badania komety Halleya.

Kolejne misje, wyłącznie wenusjańskie, będą podjęte w latach 1987 i 1990. Związek Radziecki podjął już rozmowy w sprawie międzynarodowego programu badań naukowych. Wielu specjalistów ocenia, że w roku 1990 uda się rozwikłać zagadkę Wenus. Tym bardziej, że Amerykanie zapowiadają na koniec dziesięciolecia wysłanie w okolice Wenus aparatury VOIR (Venus Orbiting Imaging Radar). Na niskiej orbicie kołowej sonda sporządzi szczegółową mapę planety. Mogąc się wreszcie oderwać od wyobrażeń całkiem ziemskich naukowcy stworzą podwaliny nauki o ewolucji światów i o wielu zjawiskach, których miejscem są te światy.

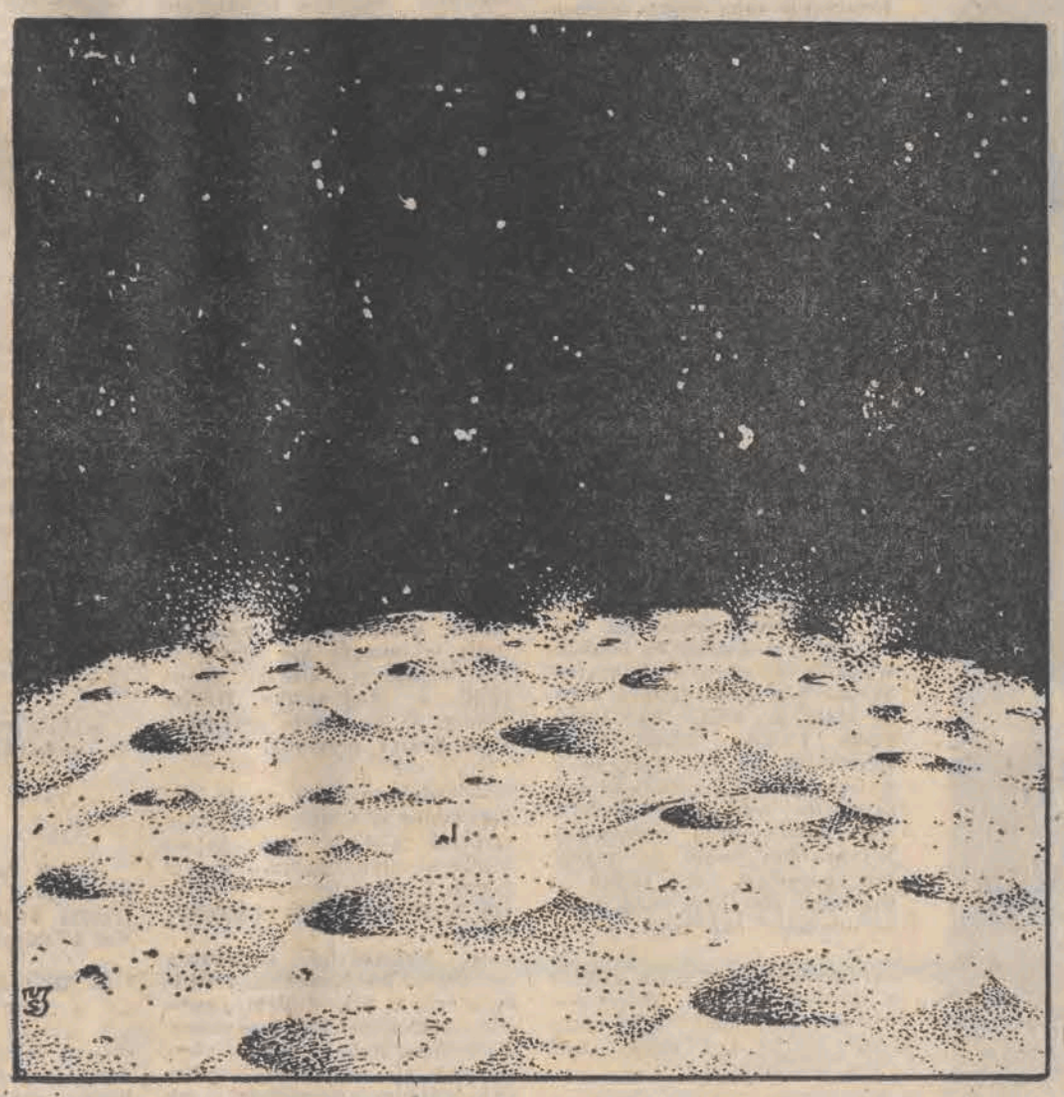

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Tłumaczył i opracował:
JAN BELIER
(„Problemy" nr 2, 1983 r. według „Sciences Avenir")

1) Rok wenusjański — 225 dni ziemskich, doba gwiazdowa (okres obrotu) = 243 dni ziemskich, doba słoneczna (np. od wschodu Słońca do wschodu Słońca) = 117 dni ziemskich. Skoro doba słoneczna trwa pół roku, to można mówić o „sezonach". Zachodzi tam konwekcja atmosfery, znacznie jednak spokojniejsza niż na Ziemi ze względu na dużo powolniejszą prędkość rotacji. Powolny ruch obrotowy Wenus wydaje się być jednym z argumentów na rzecz stabilności meteorologicznej. (przyp. tłum.)

2) „Wenera 13" weszła na orbitę wokół Wenus 1 marca 1982 roku, „Wenera 14" — 5 marca. Od obu statków odłączyły się kapsuły lądujące i dotarły do powierzchni planety na wschód od miejsca o nazwie Pheba, w odległości 1000 km od siebie. Automatyczne laboratorium „Wenery 13" pracowało 127 minut, 4 razy dłużej, niż przewidywano. Oba lądowniki funkcjonowały łącznie ponad 3 godziny. Pobrały próbki z głębokości 30 mm i dokonały badań rentgenofluorescencyjnych. Stwierdzono, iż wśród skał przeważają mocno alkaliczne potasowe bazalty, jakich na Ziemi się nie spotyka. Wykonane za pomocą filtrów kolorowe zdjęcia świadczą o tym, że w krajobrazie Wenus dominuje kolor pomarańczowo-brunatny. (przyp. tłum.)

Świat ginących wiatraków

W poszukiwaniu diabłów

ZBIGNIEW KORZENIOWSKI

Nie ukrywam — chciałem spotkać się z diabłem! W tym celu kilkakrotnie wędrowałem przez Ziemię Łęczycką, z nadzieją, że spotkam przesławnego Borutę. Ja, Don Kichot „Lata z radiem", potrzebuję diabelskiej konsultacji! W wielu listach czytam bowiem o tym, że **„w naszym wiatraku straszy"**, że **„u nas młynarz miał spółkę z diabłem"...**, **„latawce mu śmigi kręciły"**.

Radowała się moja etnograficzna dusza, kiedy to czytałem. Postanowiłem bliżej poznać te diabelskie konszachty młynarzy. A gdzież więcej diabłów spotkasz jak nie na Łęczyckiej Ziemi? Sam „Hetman Diabelski" — płk WIKTORYN GRĘBCZEWSKI, największy kolekcjoner diabłów i ich znawca, niejednokrotnie przekonywał mnie, że **„w Łęczyckiem, gdzie kamieniem rzucisz, tam w diabła trafisz"**.

Na nic się jednak zdało moje rzucanie kamieniami i nocne wędrówki łęczyckimi bezdrożami. Rozumiem, że święconej wody mogły się bać, ale mikrofonu? Diabła nie spotkałem, a ludzie (nawet ci rzeźbiący Borutę) jakoś mało przekonująco o nim opowiadali. O Borucie na wiatraku to już nikt nie pamiętał. Natomiast wielokrotnie, i to w różnych wersjach, słyszałem opowieści o pięknej młynarce, zazdrosnym młynarzu i zakochanym Borucie. A jak mogło być inaczej, skoro byli bogaci młynarze, to i piękne dziewczyny chętnie wychodziły za nich za mąż. A pięknych młynarzówien też nie brakowało. Był więc temat do opowieści i legend przekazywanych w długie zimowe wieczory, czy przy praniu, na ucho przez strachliwe baby żądne sensacji.

Ta różnorodność tej opowieści zdecydowała, że odszukałem eksperta w sprawie „Boruty". A któż lepiej zna te łęczyckie opowieści i wielorakie wcielenia Boruty, jak nie mgr JADWIGA GRODZKA, etnograf, emerytowany Dyrektor Muzeum w Łęczycy, w którego lochach Boruta ponoć swych skarbów strzeże.

— Słyszałem — opowiadała mi — że kiedyś stary młynarz, bogaty oczywiście, miał piękną, młodą żonę. Zobaczył ją Boruta i tak się w niej zakochał, że pobiegł do Belzebuba, aby pozwolił mu przybrać postać ludzką, koniecznie dorodnego młodzieńca, aby serce młynarzowej podbić.

Mimo, że zazdrosny młynarz strzegł swej żony jak oka w głowie, młodzi jakoś się spotkali i dogadali. Mieli spotkać się w wiatraku, ale wejścia do niego strzegł mąż. Młynarzowa podpowiedziała więc Borucie, by ten dostał się do niej po śmigach, co też zakochany Boruta zaczął czynić. Czujny młynarz zauważył to i kiedy Boruta po śmigach już wchodził, puścił je w ruch, a że wiatr był silny, śmigi zaczęły się szybko obracać. Na skutek ruchu i wiatru Borucie spadła czapka i ukazały się diabelskie rogi. Potem spadł but i zaskoczona młynarka ujrzała diabelskie kopyto. Przerażony ruchem i wiatrem Boruta, nie mógł sobie poradzić i nie wiadomo jak długo by się kręcił, gdyby nie interwencja z powietrza diabelskich pobratymców, których wysłał Belzebub po usłyszeniu błagalnych wołań półprzytomnego już Boruty...

— To wszystko?

— Tak.

— W legendzie musi być jakaś pointa, jakiś moral.

— Jest i tu. Należy strzec moralności rodziny, bez względu na to, jak mocna jest miłość. Trzeba strzec ogniska domowego, bo wszelkie miłostki do niczego nie prowadzą, a tylko rozbijają interes społeczny...

. No tak, temat ten można by jeszcze rozwijać, ale przecież ja zbieram materiały o wiatrakach i diabłach, a nie o rodzinie.

Zawiodłem się na Borucie. Kiedyś miał wiele wiatraków na Łęczyckiej Ziemi, a wolał po bagnach i bezdrożach ludzi straszyć. A może powinienem się go bać, to może byśmy się spotkali?

Wiem, że profesor dr BOHDAN BARANOWSKI jest autorem wielu książek o diabłach, a także o młynarstwie. Może to jego opętały diabły? A może to opętany przez diabły młynarz z wykształceniem historycznym?

Okazało się, że nie, młynarzem nie był. Ale trafiłem dobrze. Rację miałem podejrzewając, że diabły i młyny często tworzyły jedność, przynajmniej w przekonaniu mieszkańców wsi.

— Tak, — mówi profesor — właśnie cały szereg wierzeń demonologicznych łączyło się z wiatrakami i młynami wodnymi, a przyczyną były pewne przyzwyczajenia społeczne. Pan — szlachcic czy magnat — mógł mieć wielki majątek, ale to, że nagle inny chłop, który zajął się młynarstwem, staje się bogaty, to społeczność chłopską dziwiło. Ludzie wsi uważali, że tu w grę wchodzą jakieś siły nieczyste.

W dodatku otoczenie niejednego młyna czy wiatraka sprawiało wrażenie czegoś tajemniczego, a chłop nie zdawał sobie też sprawy z siły jaką prezentuje sobą woda spiętrzona z leniwego potoczka.

— A jeszcze bardziej tajemnicze były wiatraki usytuowane samotnie na wzgórzach.

— Tak, wiatrak wymagał od młynarza jeszcze większych umiejętności i wiadomości. Bo prosty młynarz potrafił dać sobie radę w czasie powodzi i wichury, które innym zrywały pokrycia dachów. Młynarz wodny potrafił uchronić się od niszczących powodzi, które niekiedy doprowadzały do ruiny całe wsie.

— Stąd właśnie wszelkie wierzenia i legendy o tajemniczych młynach, w których straszy, jęczy...

— I niech pan pamięta, że koło młyńskie wytwarzało fale i wiry. Koło młyna nie wolno się było kąpać, bo topielce wciągały w odmęty. A wiatraki, jak pan powiedział, z reguły stały za wsią, na wzgórzach i kiedy wiało, często pracowały także w nocy, co w świetle księżyca sprawiało niesamowite wrażenie, zwłaszcza na zabobonnych chłopach. Wyobrażano sobie że młynarze pozostają w spółce z diabłami, które im śmigi i koła młyńskie napędzają.

— Jak wynika z pana książek o diabłach w ich poszukiwaniu przewędrował pan spory szmat kraju Czy spotkał pan je w wiatrakach?

— Osobiście nie. Pojawiają się o nich wzmianki w relacjach z procesów czarownic. Te, wzięte na tortury wiejskie baby, wypytywane o działalność innych czarownic, mówiły, że spotykały się z młynarzem, że widziały jak ten rozmawiał z diabłami, że składał ofiary duchom, że zaklinał wiatr i śmigi ruszały.

Ta ostatnia sprawa nie pozbawiona jest elementów prawdy. Nie można bowiem wykluczyć, że zabobonni młynarze składali jakieś ofiary czy wymawiali jakieś zaklęcia, bo wielu wierzyło w nadprzyrodzoną moc wiatru czy wody. Często opowiadano mi o młynarzach wychodzących na wzgórze, mamroczących jakieś zaklęcia i kłaniających się wiatrowi.

— Słuchacze moich radiowych audycji też mi takie informacje przekazywali. Najczęściej były to tylko sygnały, fragmenty dawnych opowieści. Do wielu autorów takich listów dotarłem, ale nikt nie potrafił podać mi bliższych szczegółów tych zaklęć.

— Trochę za późno pan się tym zainteresował. Rozleciały się dawne rody młynarskie. Młyny wodne upaństwowiono, a wiatrakom najczęściej ucięto śmigi. A że właściciele przeważnie byli ludźmi zamożnymi, przenieśli się do miast. Wielu już nie żyje, a rodzina pomna okresowych szykan za kułactwo, nie kultywuje tradycji i nie chce o tym wspominać. Jeśli potomkowie młynarza jeszcze coś pamiętają, to nie bardzo chcą się przyznać do tego, że ich dziadek był człowiekiem zabobonnym i oddawał cześć demonom.

W swoim czasie — kontynuuje prof. Baranowski — **udało mi się zebrać sporo materiałów na ten temat, ale stale brakuje mi czasu na ich opracowanie. Pewne formy zaklęć, ale nie zawsze i niekoniecznie związanych z młynarstwem, znajdują się w pracach nieżyjącego już literata i folklorysty łódzkiego Stanisława Czernika** (m.in. w „Trzech zorzach dziewiczych" — przyp. aut.). **Sporo w tej dziedzinie materiałów ma też etnograf łódzki Władysław Baranowski.**

A diabeł, którego bezskutecznie szukał pan w wiatrakach jest stosunkowo nowym przybyszem w demonologii polskiej. On wszedł do niej dopiero po przyjęciu chrześcijaństwa. W wierzeniach ludowych z wiatrakami związane są tzw. latawce czy planetniki. One rządziły wiatrakami, sprowadzały chmury i wiatry. W przypadku młynów wodnych były to utopce lub topielce, złe duchy wodne, które wciągały ludzi w odmęty ale szanowały młynarzy, którzy ponoć mieli z nimi spółkę. Dzisiaj wiemy, że po prostu młynarze znali prawa przyrody.

— Gdybyśmy tak na tę naszą mapę wiatraków polskich spojrzeli właśnie pod kątem folkloru młynarskiego, to w jakich regionach należy jeszcze rozpytywać o te sprawy?

— Najbardziej zachowały się jeszcze na Mazowszu i Podlasiu oraz w Sieradzkiem, znacznie mniej w Piotrkowskiem. Potrzebna jest tu duża cierpliwość, nie wolno się zniechęcać brakiem odpowiedzi czy zdziwionymi minami rozmówców. To jest tak, jak z poszukiwaniem złota. Kopie się, kopie i nic, a przychodzi taki dzień, kiedy trafia się na żyłę. Podobnie przy zbieraniu informacji o demonologii. Niestety, dzisiaj coraz trudniej znaleźć taką folklorystyczną żyłę...

Faktycznie, przekonałem się o tym wiele razy. Kilkudziesięciu młynarzy pytałem o wierzenia, o zaklęcia, o latawce, frygi, topielce, wodniki. Śmiali się.

Dwa spotkania dały efekty i stanowią ciekawe folklorystyczne zapisy na taśmie magnetofonowej.

Spotkanie pierwsze, we wsi **Parczewo** k/Bielska Podlaskiego, w woj. białostockim, w wiatraku, na stodole. Tak, tak w 5—6 metrowej wysokości wiatraku zmontowanym na dachu stodoły, do dziś napędzającym kamienie młyńskie, sieczkarnię, młockarnię i piłę tartaczną. Jak mówi pan MICHAŁ BABULEWICZ — dla własnych potrzeb. Również jego zapytałem o zaklęcia młynarskie.

— Aj, trzeba gwizdnąć, ale nie tak zwyczajnie — żywiej zabiło mi serce, gdy to usłyszałem, nareszcie. **— Tak, słyszałem. Ojciec mi opowiadał, ale sam nie zaklinał, więc nie nauczył mnie tego. Mówił też, że dobrze jest jak kobieta fartuszkiem porusza, porusza i wiatr jest.**

— Czyżby te latawce uczulone były na damskie szatki?

— Tak, zwłaszcza na fartuszki, najbardziej na dziewczęce.

— Te z wianuszkami dziewiczymi?

— Jak najbardziej, ale tera panie skąd te wianuszki brać, zresztą dziewczęta uciekają ze wsi do miasta.

— To i żonę musi pan prosić o pomoc, skutkuje?

— A jakże, jak trzeba przyjdzie, pomacha fartuszkiem i listki zaczynają migotać, a potem i śmigi ruszają.

— I pan w to wierzy?

— Jak się gada, to i wierzyć trzeba.

Śmiejemy się.

— To wiatru panu nie brakuje? — pytam.

— A gdzie tam. Jest go dosyć, a czasami nawet za dużo. Zawsze wiatr się znajdzie, ten co potrzebny...

Druga ciekawa, podobna rozmowa miała miejsce w **Drewnowie** k/Ciechanowca, w woj. łomżyńskim, z panem WINCENTYM POWIKROWSKIM.

Oto stenogram tej rozmowy:

— Czy zna pan zaklęcie młynarskie na wiatr?

— Na wiatr? He, he, panie, ile to jest bujdów, olaboga świętego! To tak jak z tym „nie rus, nie ukradnij ze młyna nawet sznurka, bo ci się w domu szczury zalęgną".

— Ludzie wiejscy was młynarzy posądzali, że macie spółkę z diabłami i latawcami, które wam śmigi napędzają.

— Panie, to na ten temat byli różne fuksy. Ale mówię panu szczerze, że to wszystko kaczka wymyślona w obronie naszej własności...

— Żeby ludzie szanowali was i wasz dobytek?

— A jak, panie. Boć przecież ludzie są różnych charakterów, zwłaszcza na wsi, chłop nieraz poleci na byle głupstwo. A tak to mówili „Ostrożnie z nim, bo to niebezpieczny człowiek..." Panie, jakeśmy się nieraz zeszli w karczmie czy na targu, tośmy się śmiali do upadłego. Ale tak trzeba było. Młynarz to był młynarz, nie to co dziś...

Mimo niepowodzenia w poszukiwaniu diabła we młynie, nie rezygnuję z tego tematu. Czuję, że opętały mnie młynarskie demony Wierzę, że niebawem się spotkamy...

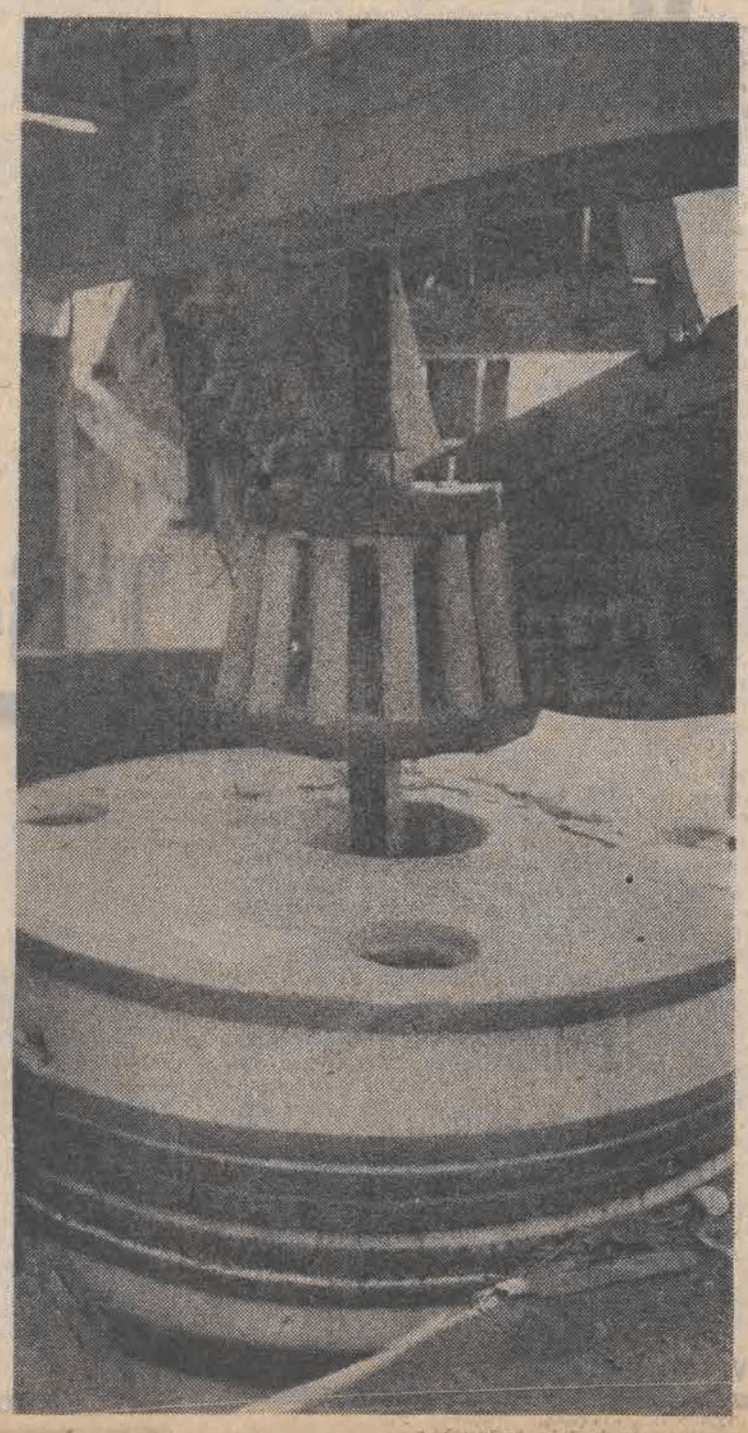

Foto: Ryszard Łukowski

Foto: Ryszard Formanek

1 Lewym okiem

Węzeł literatury

kach, w wiedzy, w poezji, ciekawi nie tylko tego, co można dotknąć i zjeść. Oni przeczekają zły czas, nie odejdą od bibliotecznych półek. To do nich kieruję słowa, znalezione w czytanej akurat staroci, słowa wybitnego polityka angielskiego, Stanleya Baldwina, wygłoszone na stulecie jednej z uczelni brytyjskich w 1924 roku:

„Jak nikomu nie radziłbym zostać politycznym liderem, choć polityczni przywódcy są niezbędni, tak usilnie odradzałbym każdemu stać się jedynie specjalistą. Miejcie zawsze jeszcze inne zainteresowania, które będą was utrzymywać w kontakcie z waszymi bliźnimi. Nie ma rzeczywistego republikanizmu poza literaturą. Gdy ujrzę twarz człowieka, rozjaśniającą się na słowa cytaty, które każdy znać powinien, to człowiek ten, czy nim będzie książę czy zamiatacz ulic, jest moim bratem. **To jest węzeł literatury**".

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

2 Felieton pesymistyczny

Bramy już są, a lokomotywy?...

Skromniutko przebiegały w tym roku Dni Oświaty, Książki i Prasy. „Nadchodzą niepokojące sygnały z bibliotek — pisał „Przegląd Tygodniowy" z 10 kwietnia. — Na przykład roczny wskaźnik wypożyczeń w województwie olsztyńskim spadł o 15 procent, w woj. częstochowskim o 12 procent, w tarnobrzeskim o 10 proc. Zdaniem bibliotekarzy główne przyczyny tego stanu rzeczy to trudności z nabyciem poszukiwanych tytułów, a także niełatwa sytuacja lokalowa większości bibliotek".

Myślę jednak, że główne przyczyny muszą być inne i że bibliotekarze nie chcą powiedzieć prawdy. Jeśli nie mogę kupić książki na własność, to ją przynajmniej pożyczam. Pożyczam dziś więcej niż w latach ubiegłych, wskaźnik roczny powinien w takich warunkach rosnąć, a nie spadać. Warunki lokalowe bibliotek są takie same jak były 2 — 3 lata temu, a grubo lepsze niż 10 lat temu. Wskaźniki były jednak lepsze, prawda?

Wypożyczane książki nie są zwracane, giną. Po prostu są kradzione. Czytaliśmy w prasie o generalnej amnestii w tym zakresie: kto ma u siebie biblioteczną książkę, niech ją zwróci, nie będzie żadnych pytań, konsekwencji, grzywien. Może zwrócić nawet nie tam, skąd wziął, żeby się nie fatygować. Musiałbym być świętym Franciszkiem, żeby wierzyć w skuteczność tego apelu.

„Powiem wam rzecz przykrą: w Polsce jest za dużo książek, książek nie czytanych. W miastach, miasteczkach i wsiach spotyka się biblioteki — chciałoby się powiedzieć — cmentarze, bo jak na cmentarzach cicho śpią groby jesiennym pokryte liściem, tak w tych bibliotekach książki spoczywają pod powłoką kurzu".

Tak pisał dyrektor Polskiej Macierzy Szkolnej, Józef Stemler, w roku 1935, w swej książce „Na drodze do Polski czytającej". Liczbę analfabetów w naszym kraju szacowano wtedy **na 6 i pół miliona**. Co piąty obywatel — niegramotny. Pięćdziesiąt lat temu. Wtedy mniej dziwnym mógł być fakt, że książki na próżno czekały na chętnych. Ale dziś?

Niechże nikogo nie łudzi groteskowe wykupywanie wszystkiego co się ukaże w księgarniach przez nieprzytomne z żądzy posiadania tłumy. Te „tłumy" po paru wizytach w księgarni będą wam znane z oblicza. Kupują tuzinami ten sam tytuł, bo akurat nie mogą kupić kilometra zamków błyskawicznych i siedmiu perskich dywanów. Oni nie potrzebują ani dywanów, ani zamków, ani książek, oni muszą po prostu obracać pieniędzmi, które parzą w ręce. Do biblioteki nie pójdą na pewno, szkoda czasu.

Na „drodze do Polski czytającej" coś się zatkało. Może było za stromo i obsunęliśmy się do tyłu? Może to jeszcze jeden objaw „kryzysu wartości" — już się ich nie widzi nigdzie w niczym poza doraźną biologiczną sytością? Powiedziałem „biologiczną", żeby nie użyć słowa „zwierzęca", ale to przecież to samo.

Na szczęście wciąż jeszcze chodzą po świecie nieuleczalni maniacy, rozmiłowani w książkach, w wiedzy, w poezji, ciekawi nie tylko tego, co można dotknąć i zjeść. Oni przeczekają zły czas, nie odejdą od bibliotecznych półek. To do nich kieruję słowa, znalezione w czytanej akurat staroci, słowa wybitnego polityka angielskiego, Stanleya Baldwina, wygłoszone na stulecie jednej z uczelni brytyjskich w 1924 roku:

„Jak nikomu nie radziłbym zostać politycznym liderem, choć polityczni przywódcy są niezbędni, tak usilnie odradzałbym każdemu stać się jedynie specjalistą. Miejcie zawsze jeszcze inne zainteresowania, które będą was utrzymywać w kontakcie z waszymi bliźnimi. Nie ma rzeczywistego republikanizmu poza literaturą. Gdy ujrzę twarz człowieka, rozjaśniającą się na słowa cytaty, które każdy znać powinien, to człowiek ten, czy nim będzie książę czy zamiatacz ulic, jest moim bratem. **To jest węzeł literatury**".

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

To wychowanie w trzeźwości to ma nawet swoje dobre strony. Pobudza ludzi do myślenia. Co prawda głównie w jednym kierunku: jak to zrobić, żeby wypić normalnie i pod ustawę nie podpaść. Na temat konieczności samego picia raczej się nie dyskutuje, bo to jest jak pamiętamy z matematyki „wartość constans". Nawet gdzieś wyczytałem złośliwy przycinek pod adresem naszych budowlanych, z którego miało mniej więcej wynikać, że gdyby zniknęło staropolskie „zdrowie na budowie", to tych bloków byśmy jeszcze mniej oddawali do użytku....

No, ale co by nie powiedzieć, pewne trudności w nabyciu są jednak wprowadzane. Na naszym osiedlu na przykład w tak zwanym pawilonie ogólnospożywczym pojawiła się karteczka, informująca, iż sprzedaż wódy prowadzi się od godziny 13. Bo samej wódeczki jako takiej nie brakuje. Firma pod tytułem „Polmos" nie wie co to kryzys, za potrzebami spokojnie nadąża, produkcję winduje w myśl hasła „Klient nasz pan". Jedynie jakość, jeśli można tak powiedzieć, staje się coraz większym przeciwieństwem ceny. Po prostu „rozcieńczony zajączek" — jak twierdzi magister B.

W upalne popołudnie stanęliśmy właśnie z magistrem w kolejce po „Baltic", dyskutując leniwie, bo też mai raczył nas temperaturami wręcz nieznośnymi.

— Panie, kogo ta ustawa ma wychowywać? — mój interlokutor w sprawie alkoholowej był zdecydowanym pesymistą. — Przecież my znajomość przedmiotu, czyli konieczność oblewania każdej okazji wysysamy z mlekiem matki. Ustawa sobie, a życie sobie; słyszałeś pan o przedsiębiorstwie „Ponal"?

— Coś mi się obiło. Mają zdaje się zmonopolizować sprzedaż trunków w skali kraju, uporządkować dystrybucję...

— Kochany, toż to śmiechu warte. Przejąć mają ponoć ze „Społem" i spółdzielczości wiejskiej około 1300 sklepów branżowych. Na początek. To chyba niecałe 10 procent wszystkich punktów sprzedaży alkoholu w kraju. Ja się pytam: co to daje? Komu to potrzebne? Narzekamy na rozrost administracji, a tu powstaje jakby dodatkowa firma, nie wnosząca nic nowego w temacie, ale zatrudniająca ileś tam setek osób. A ciągle słyszę, że ja mam teraz zaciskać, pasa, oszczędzać itd...

Magister zacietrzewił się zgoła niepotrzebnie, zupełnie jakby się wczoraj urodził, albo wrócił do kraju po wieloletniej nieobecności. Co gorsza zaczęto mu już przytakiwać z tyłu i przodu w kolejce. Burda wisiała w powietrzu. Zręcznie zmieniłem więc temat wskazując całemu towarzystwu stojącą w sklepie... bramę ogrodową. Paru, widać nietutejszych, wybuchnęło zdrowym śmiechem.

To nie żart, drogi Czytelniku. Gdybyś akurat spodziewał się nabyć kiedyś ogród, pamiętaj, iż w pawilonie ogólnospożywczym przy ulicy Węgierskiej na osiedlu Widzew-Wschód w Łodzi oprócz czerstwego pieczywa możesz dokupić do kompletu piękną stalową bramę (wraz z furtką) za jedyne 17 tysięcy złotych. Słoiki, krzesła i sanki nikogo w tego typu placówkach nie dziwią, a niedługo pojawi się pewnie i siatka ogrodzeniowa. Ze świeżym mlekiem i serem — gorzej, ale to nie drażni już nikogo.

Na marginesie: szacowna ta placówka zaskarbiła sobie względy wielu mieszkańców sprzedając kilka dni wcześniej wyłącznie... piwo. Była bodaj przeprowadzana inwentaryzacja, ale że termin wejścia w życie ustawy o wychowaniu w trzeźwości zbliżał się wielkimi krokami, więc przy wejściu ustawiono zręczny stoliczek, zza którego serwowano „jasne, pełne, łagodnie przeczyszczające...". Świeże bułki można było natomiast kupić bez kłopotów w sąsiednim sklepiku prywatnym.

Sympatyczną dyskusję o możliwości wprowadzenia sprzedaży lokomotyw w placówkach spożywczych przerwał pełen oburzenia okrzyk młodzieńca w sandałach, stojącego przed nami. Wertował od dłuższego czasu sportowe informacje w gazecie codziennej i coś mu tam było nie w smak, bo teraz on zaczął dawać upust:

— Ludzie, jakbym tam nie był, to bym może uwierzył! No, na procesie, tego faceta co to butelką w sędziego na meczu Widzewa rzucił. Kochani, telewizja, prasa, pełen szyk, rozhuśtali tę sprawę do oporu. Słyszałem jak się faceci z łódzkich gazet pytali, po co przyjechał na proces dziennikarz z takiego pisma „Gromada Rolnik Polski". Tłumaczył się, że przecież oskarżony jest traktorzystą...

— To ten chuligan został już skazany? — spytał rzeczowo magister.

— Jeszcze nie, po dziewięciu godzinach w upale sprawa została przerwana chyba do 3 czerwca. Tylko, że ja osobiście nie wiem, czy to właśnie ten gość. Ale wszystko wskazuje na to, że zostanie klasycznym kozłem ofiarnym, bo pijanych jak on i rzucających było na stadionie nieco więcej. Ale widowisko jest niezłe, publiczność bije brawo, choć to nie mecz, a mają jeszcze przeprowadzić wizję lokalną...

— Nowa konkurencja olimpijska? — magister był wyraźnie złośliwy.

— Wszystko na to wskazuje: rzut butelką do tarczy. Albo w manekina. Albo w żywego człowieka...

Dotarliśmy do lady. W głębi dwóch facetów wymierzało „całówką" ogrodową bramę.

STEFAN ŻYCIOWY

3 Zdarzenia i zwierzenia

Dni Aleksandrowa

Tekst, który dziś publikuję, najbardziej może przystaje do tytułu tej rubryki. Piszę bowiem o z d a r z e n i u, jakim były Dni Aleksandrowa, które mnie osobiście nastrajają do z w i e r z e ń. Po prostu urodziłem się tam czterdzieści parę lat temu. Jeszcze jako uczeń aleksandrowskiego liceum wygrzebałem skądś informację o tym, że to miasto włókienników ma dzieje przemysłowe starsze od Łodzi, że prawa miejskie otrzymało w 1822 roku, aby je utracić po powstaniu styczniowym... Z tamtego pierwszego, miejskiego okresu pozostał do dziś piękny klasycystyczny ratusz w rynku, w którym obecnie urzęduje młody, energiczny naczelnik, mgr inż. Wacław Skulski.

Pomysł Dni Aleksandrowa zrodził się w Towarzystwie Przyjaciół Miasta, któremu przewodzą: dyrektor Zespołu Szkół Zawodowych — Zenon Kozanecki oraz wieloletni dyrektor liceum Józef Pierlejewski. Ta dwójka stanowi jakiś symbol. Zenon Kozanecki jest rodowitym aleksandrowianinem, który wrócił tu po studiach, Józef Pierlejewski przybył tu krótko po wojnie. To miasto bowiem — kiedyś trójnarodowe — dziś zintegrowało w jedną społeczność przybyszów i miejscowych.

Józef Pierlejewski mówi: „Kiedy tu przybyłem, liceum mieściło się w dawnym domu rabina, a nauczyciele mieszkali w dawnym domu pastora". To najlepiej określa złożoną przeszłość Aleksandrowa.

Zenon Kozanecki mówi: „Chcemy tworzyć zdrowy, lokalny patriotyzm, bo to pojęcie, szerokie i wielkie, zaczyna się od umiłowania swojej małej ojczyzny, swego miejsca na ziemi..."

Przewodniczący MRN, Stanisław Człapiński, martwi się o konkrety, bo taka jego rola: „Chcemy nasze — jedyne w Polsce — muzeum pończosznictwa przenieść do centrum, martwimy się o nasze zabytki, o ratusz, o arkady handlowe w rynku..." Natomiast naczelnik Wacław Skulski myśli o likwidacji lokalnych kotłowni, o centralnym ciepłownictwie, o nowych blokach, o skanalizowaniu miasta...

I tak przy okazji uroczystych Dni Aleksandrowa rozmawiamy o tym, co powszednie, codzienne. Jak to w kryzysie — występy artystyczne, ale i kiermasz handlowy, na który ZPP „Sandra" daly swoje wyroby. Na przykład... skarpetki z herbem Aleksandrowa, których — niestety — nie udało mi się kupić.

Wielkie aglomeracje wchłaniają małe miasta, jest to naturalny bieg rzeczy, ale żeby te małe miasta nie zatraciły swojej osobowości, potrzebne są właśnie takie uroczyste Dni, potrzebne są Towarzystwa Przyjaciół Miasta, potrzebne są te „kolektywy" ludzi z pasją, którzy w działaniu społecznym widzą sens i potrzebę.

A właśnie Aleksandrów nie musi się swojej przyszłości i teraźniejszości wstydzić. Zirytowała mnie przeto nonszalancka informacja łódzkiej telewizji, która — przy okazji Dni właśnie — dostrzegła śmieci w rąbieńskim lesie (śmieci zostawione przez łodzian, którzy tu budują swoje dacze), a nie dostrzegał faktu, kiedy Aleksandrów otrzymał prawa miejskie, bowiem reporter TV pomylił się o równe sto lat.

Tak, tak — kiedy na początku XIX wieku w paru chałupach nad Łódką i Jasieniem pracowało parę zaledwie warsztatów sukienniczych, w Aleksandrowie było ich wówczas ponad trzysta. Potem los się odmienił: raport Rajmunda Rembielińskiego wskazał na Łódź, ale przemysłowe dzieje miasta są równie stare co Łódź.

Zarówno historia, jak i współczesność Aleksandrowa związują się z Łodzią — to naturalne. Być może za pół wieku Aleksandrów stanie się dzielnicą i nikt już nie będzie pamiętał o jego odrębności. Tak jak dziś mało kto wie, że odrębnym miastem była Ruda Pabianicka, czy odrębną wsią były Bałuty, gdzie osiedlano kryminalistów... Ale nawet wówczas Aleksandrów pozostanie ze swoją osobną historią, która wyznaczyła miastu bardzo znaczące miejsce w łódzkiej aglomeracji i na mapie polskiego przemysłu włókienniczego.

JERZY WILMAŃSKI

4 Sport

Układni sportowcy

Człowiekowi do życia potrzebny jest sukces. Zdecydowanie poprawia on nasze samopoczucie. Jeśli nie stać nas na własny sukces, to oczekujemy go od sportowców. Kiedy nasi zwyciężają, wyraźnie poprawia się nam humor. Liczyliśmy więc, że 36 Wyścig Pokoju przyniesie nam zadowolenie. Narzekać nie mamy powodu, no bo drugie miejsce młodej drużyny to niewątpliwy sukces. Ale coś, jakby niedosyt — pozostało. I to wcale nie dlatego, że oczekiwaliśmy pierwszego miejsca.

Wyścig Pokoju budził zawsze emocje. Najpierw ludzie gromadzili się przed głośnikami radiowymi, kiedy nie było jeszcze telewizji i bardzo przeżywali niepowodzenia lub powodzenia naszej drużyny. Później gromadzili się przed telewizorami. Nad wstęgą szosy szybował helikopter, a sprawozdawca przekrzykiwał szum maszyny: — Tu helikopter, tu helikopter... A na szosie ktoś inicjował ucieczkę, peleton ją likwidował, ktoś znów uciekał. Wśród uciekinierów byli Polacy...

W tym roku też były ucieczki. Uciekali jednak kolarze z końca tabeli: reprezentanci Mongolii, Kuby, Portugalii, a wśród nich niezmordowany M. Romascanu. I udawało się im wygrywać etapy. Wśród uciekających nie było jednak ani Polaków, ani reprezentantów CSRS, NRD, ZSRR. Ci jechali dostojnie, wzajemnie się pilnując. I dopiero na mecie, niezależnie od tego, czy peleton przyjeżdżał minutę, czy 6 minut za czołówką, na czoło peletonu wyskakiwał Olaf Ludwig. Ten rozgrywał wyścig jak chciał, choć nie on go wygrał ostatecznie. Ale drużyna NRD była bezkonkurencyjna, znakomicie przygotowana i — jak to powiedział któryś ze sprawozdawców telewizyjnych — znokautowała całą resztę. Tylko, co miał z tego kibic?

A przecież — dzięki postępowi techniki telewizyjnej i nie tylko — cały niemal wyścig rozgrywa się na jego oczach. Relacje radiowe co pół godziny, wyścigowi towarzyszy ekipa telewizyjna i przygotowuje szczegółowe sprawozdanie, już na kilka kilometrów przed metą zainstalowane kamery relacjonują przebieg walki. Tylko tej walki nie ma. Jakieś próby ucieczek, raczej nieśmiałe, tasuje się czoło peletonu, ale na mecie i tak albo Olaf Ludwig, albo ktoś zupełnie nie liczący się. Namiastka emocji. Kibic gasi ekran telewizora wzruszając lekceważąco ramionami.

Coś więc z tym Wyścigiem Pokoju trzeba zrobić. Organizatorzy muszą zastanowić się i znaleźć odpowiedź na pytanie: dlaczego poprzednio, kiedy jeszcze nie było telewizji, a więc i mniej ludzi mogło wyścig oglądać bezpośrednio, ludzie się wyścigiem pasjonowali, a dlaczego dziś jest inaczej. Wtedy był to wyścig atrakcyjny, dziś jest po prostu nudny. A przecież tak być nie musi. Telewizja pokazywała jednocześnie wyścig rozgrywający się na włoskich szosach i tam było jakoś inaczej. Na metę nie wpadał zwarty peleton, tylko na ogół jacyś uciekinierzy, którzy też ostro między sobą walczyli. Dlaczego u nas też tak nie może być?

Kolejny Wyścig Pokoju będziemy mieli za rok, już się podobno decyduje o trasie. Łódź ma być miastem etapowym. Pięknie, ale czy będzie wreszcie atrakcyjnie? Tymczasem na boiskach piłkarskich zadecydowały się już losy naszej reprezentacji narodowej w eliminacjach do mistrzostw Europy. Koniec. Możemy się z mistrzostwami pożegnać i — jak to mawiał nieodżałowany Jan Ciszewski — nie wystawiać wniosków o paszporty do Francji. No, jeszcze nam pozostała nadzieja, że trzecia drużyna świata dobrze przygotuje się do mistrzostw świata w Meksyku. Ale czasu — wbrew pozorom — pozostało niewiele. Do zrobienia — mnóstwo.

W Warszawie na Stadionie Dziesięciolecia naszym znakomitym chłopcom przeszkadzała murawa. Antoni Piechniczek i za nim kilku piłkarzy głośno krzyczało, że to skandal. Kibice milczeli, a mogliby powiedzieć, że skandalem było strzelenie sobie bramki i brak umiejętności, aby zdobyć następną, zwycięską. Decydujący mecz z drużyną ZSRR polscy piłkarze rozegrali w ulubionym Chorzowie, na Stadionie Śląskim, gdzie podobno nigdy nie przegrywają. I nie przegrali. Skopiowali dokładnie mecz z Warszawy. Grali o niebo lepiej, to prawda. Ale na tyle nieskutecznie, że po wbiciu sobie samobójczej bramki, znów nie potrafili zrobić nic więcej. Bo przeciwnik, mimo wszystko, był lepszy.

Jest to chyba fenomen na skalę światową, rzecz która powinna na stałe być zapisana w annałach światowej piłki nożnej i wszystkie drużyny rozpoczynające jakiekolwiek eliminacje powinny uczyć się tego na pamięć, jak srogiej przestrogi, że była w historii mistrzostw Europy taka drużyna, która dwa razy pod rząd strzeliła sobie samobójczą bramkę. Drużyna ta rozegrała dwa ważne mecze i nie pozwoliła przeciwnikowi strzelić gola, ale punkt dla niego załatwiła sama, strzelając w dwu meczach pod rząd cztery gole, dwa dla siebie i dwa dla przeciwników. I nie ma żadnych usprawiedliwień. Nie ma co mówić, że Polacy rozegrali dobry mecz. O wyniku decydują gole, a jeśli drużynie wyjdzie kiks w postaci samobójczej bramki, to musi to odrobić na przeciwniku, aby uratować honor. Nasi tego nie potrafią!

BOGDA MADEJ

Redaguje zespół: **Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak** (sekretarz redakcji), **Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowierski, Grażyna Olechnowicz** (z-ca sekretarza redakcji), **Igor Sikirycki** (kier. działu literackiego), **Karol I. Stryjski, Janusz Szymański, Glanc** (grafik), **Paweł Tomaszewski, Lucjusz Włodkowski** (redaktor naczelny), **Jolanta Wrońska, Mirosław Zajdler** (fotoreporter).

Stale współpracują **Tadeusz Błażejewski, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Dariusz Milerski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Henryk Sroczyński, Jerzy Wilmański.**

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy", al. A. Mickiewicza 11, kod 90-438, Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 632-44, sekretarz redakcji 680 99, publicysci 677 70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. Informacji o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej 1040 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa ul. Towarowa 23, konto NBP XV oddział w Warszawie nr 1153 201045 139. Prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka — Ruch" Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96, kod 90-103, Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 1343. L-2.

Jacek Machciński story

ANDRZEJ SZYMAŃSKI

O Jacku Machcińskim, młodym, bo zaledwie 35-letnim trenerze piłkarskim, znów głośno w kraju. Miał rzucić koło ratunkowe dla mieleckiej Stali, outsidera ligowych rozgrywek, a tymczasem po siedmiu kolejkach mistrzowskich spotkań wiosennej rundy ekstraklasy musiał pożegnać się z tym zespołem. Taki jego garbaty los, brak szczęścia? A przecież...

Machciński ma określoną markę w trenerskim środowisku. Jego „piłkarska podgatowka" do sezonu jest jedną z najlepszych w kraju. Zdaniem wielu fachowców, on i pracujący obecnie w BKS Bielsko-Biała — Bronisław Waligóra potrafią u zawodników najlepiej naładować „futbolowe akumulatory". A więc? Wątpliwości będzie więcej.

Praktykował u Leszka Jezierskiego. Przez kilka ładnych lat tworzyli nierozłączną parę. Rozpoczynali w Widzewie, gdzie z klasy okręgowej awansowali drużynę do pierwszej ligi. To właśnie ta dwójka wprowadziła półfinalistę Pucharu Europy na wyżyny polskiego futbolu. O tym trzeba pamiętać! Później był ŁKS, następnie Ruch Chorzów i pierwsze mistrzostwo Polski trenerskiego duetu. Coraz częściej jednak zaczęło mówić się o tym, że uczeń przerasta mistrza. Trudno jeszcze dziś jednoznacznie określić czy było to bezpośrednią przyczyną rozejścia się ich trenerskich dróg czy też wynikało z niedotrzymania warunków umowy wobec Machcińskiego przez Ruch. Zaczął pracować na własną rękę. Najpierw Concordia Piotrków, Resovia. Ponownie Widzew, który w tym okresie przeżywał kryzys, był w strefie zagrożonej spadkiem. Pod ręką Machcińskiego jedenastka z ul. Armii Czerwonej w 19 spotkaniach zdobyła 28 punktów i wicemistrzostwo Polski! W następnym sezonie osiąga najbardziej znaczący sukces w swej dotychczasowej pracy szkoleniowca. Widzew po raz pierwszy zdobywa miano najlepszej drużyny w kraju. Nikt już nie może kwestionować, że absolwent warszawskiej Akademii Wychowania Fizycznego jest jedynym twórcą tego rezultatu. I gdy może zbierać największe trenerskie zaszczyty, nagle rozstaje się z klubem. Urażona ambicja? Nie. Drobny konflikt na linii dziennikarz — szkoleniowiec, który urasta nagle do rangi „wielkiego problemu". Machciński jest uparty, a po latach stwierdzi, że ostatecznie jak każdy człowiek ma prawo do tego, by kogoś darzyć sympatią lub nie. Nie ma też czemu się dziwić, że nie lubił prasy. Ostatecznie ciągle ma w pamięci pewien artykuł z „Piłki Nożnej".

Usuwa się w sporcie na drugi plan. Otwiera sklep przy ul. Piotrkowskiej 49, a przyjaciele żartują, że „młody Wokulski" długo nie wytrzyma bez piłki. Zresztą nie dają mu spokoju przedstawiciele wielu klubów z Polski. Zjeżdżają do Łodzi i na zapleczu sklepiku prowadzone są rozmowy (nieważne z kim), a Machciński jest nieugięty. Wreszcie decyduje się na spełnienie roli ostatniej deski ratunku dla chorzowskiego Ruchu. Z powodzeniem zresztą.

I wreszcie ostatni epizod trenerskiej kariery. Stal Mielec. Krakowskie „Tempo" w okolicznościowym numerze przed wiosenną rundą piłkarskiej ekstraklasy, w komentarzu dotyczącym drużyny znad Wisłoki daje tytuł: Machciński odmieni Stal? I dalej czytamy: ...Ostatnia pozycja Stali w tabeli po pierwszej rundzie rozgrywek to wynik głównie dwóch czynników: niewłaściwego przygotowania kondycyjno-wytrzymałościowego, czego efektem stał się także brak właściwej odporności psychicznej oraz trudności z zestawieniem optymalnego składu pierwszej jedenastki spowodowane kontuzjami. Mielczan stać bowiem na lepszą grę, niż jesienią ubiegłego roku. Dodajmy, że spore nadzieje wiąże się z osobą trenera Jacka Machcińskiego. ...Nie lubi łatwych zadań. Wytyczone cele potrafi realizować z żelazną konsekwencją... Cały Mielec liczy teraz, że łódzki szkoleniowiec uratuje dla tego miasta pierwszą ligę... No i co? Klops. Szukajmy przyczyn.

2.

Mielec żyje w symbiozie z WSK. On daje miejsce pracy, środki do życia. Co jednak robić z wolnym czasem? Przecież nie codziennie odbywają się tutaj pierwszoligowe spotkania piłkarskie. Przypominają mi się słowa taksówkarza, który poprzedniego dnia wiózł mnie do Mielca z Dębicy: — Proszę pana, tam diabeł mówi dobranoc...

„W co się bawić" — to chyba nie tylko dylemat piłkarzy. O nich zresztą do dzisiejszego dnia krążą barwne opowieści, nie mające ponoć nic wspólnego z science fiction.

Słup ogłoszeniowy. Znajduję informację o meczach mieleckich juniorów z rówieśnikami z Rzeszowa. Trzeba obejrzeć. Przynajmniej trzy godziny jakoś człowiekowi upłyną, zabiją nudę. Na jednym z boisk treningowych uwijają się 13—14-letni chłopcy. Mało młodzieńczej improwizacji w grze, chęć za wszelką cenę naśladowania w ruchach Bońka, Platiniego i innych sławnych piłkarzy. Bramkarz „czerwonych" bardzo przejęty występem pokrzykuje co chwilę: — Panowie (!), wracamy, kryjemy indywidualnie! Zadatki na dobrego piłkarza już ma. Potrafi przynajmniej krzyczeć. Po co zresztą ta moja złośliwość? Chłopcy walczą przecież z dużym zaangażowaniem. Patrzę na ten piłkarski spektakl, obserwuję reakcje trenerów i wyczyny najzdolniejszych adeptów futbolu. Czy któryś z nich pójdzie chociażby w ślady Budy, rodem z Mielca przecież?

Ale co to? Jest i scenka rodzajowa. W asyście mieleckich działaczy, podąża w kierunku boiska p. Alojzy Jarguz. Przedstawiać nie trzeba, przecież to znany polski arbiter. Będzie prowadził dzisiejsze zawody z Widzewem. Patrzcie państwo, też widocznie nie ma co zrobić z wolnym czasem! Obecność sławnego kolegi dopinguje młodszego sędziego prowadzącego mecz juniorów. Już nie porusza się tylko w obrębie środka koła, ale podąża również za każdą akcją. Jest wszędzie tam, gdzie piłka. Oj, życie, życie...

Kończy się mecz. Słyszę głos zadowolonej matki, która tłumaczy komuś, że to dobrze, iż młodzi chłopcy mogą spędzać wolny czas w klubie. Zawsze to lepiej, aniżeli wystawanie w klatce schodowej lub przed blokiem. Pewnie. Na boisku starsi juniorzy. Ich walka nie wciąga mnie tak, jak rozmowa kilku zagorzałych kibiców. Nasłuchuję uważnie.

Opinie i przewidywania: — Widzew nie odda Stali dwóch punktów, bo straciłby szanse na mistrzostwo Polski. Porażka 0:1 z GKS Katowice, przed przyjazdem do Mielca, jest wypadkiem przy pracy, a ponadto górnicy grają u siebie bardzo dobrze. Zmęczenie ciężkimi meczami pucharowymi z Juventusem uzasadnia także ten rezultat.

Są też narzekania: — Żal, że Stal spadnie do drugiej ligi. Z drugiej strony to dobrze, bo pójdzie „w diabły" mafia, która rządzi klubem. Dobrali się jak w korcu maku. Zwykły kibic nie ma nic do powiedzenia. W zebraniach zarządu bierze udział wielu brygadzistów i majstrów. Ci jednak milczą. Gdyby coś powiedzieli „nie tak" na temat klubu, mogliby postradać swe funkcje na poszczególnych oddziałach fabryki.

Kibice mają też swoje koncepcje szkoleniowe: — Większość piłkarzy przyjeżdża do Mielca za forsą. Zgarniają ją i potem opuszczają miasto. Zamiast wprowadzać do pierwszoligowej drużyny wychowanków, kupowało się „całą piłkarską Polskę". Brak zatem przywiązania do barw klubowych, brak motywacji do dalszego pozostania w Stali. Skąd my to znamy? Czy nie przypomina to przypadkiem sytuacji klubu w mieście oddalonym od Łodzi o niecałe 135 kilometrów?

Znają także tajemnice dla „wtajemniczonych": — Buda i Kubicki po zakończeniu sezonu zasilają Legię. Żona Budy pochodzi z Warszawy. Janikowski i Ciołek powracają do Górnika Wałbrzych, jeżeli nawet ten nie wejdzie do pierwszej ligi. Kawalec, Skiba, Banasik, jeżeli już mają grać dalej w piłkę nożną, to wolą w pierwszoligowej (ewentualnie) Resovii lub drugoligowej (ewentualnie) Stali Rzeszów. Przytulą przy okazji trochę forsy i zapomną, że kiedyś grali i mieszkali w Mielcu. A co może zrobić Machciński, kiedy ostatnio dowiedział się od prezesa, że „drużyna nie gra", ponieważ trener nie chce wstawić do składu Oratowskiego i Hnatii, dwóch najbardziej doświadczonych zawodników. Odbyło się zebranie z drużyną. Pospuszczane głowy. Machciński proponuje, by na kartkach zawodnicy wypisali skład. Przeciwko Lechowi w Poznaniu grają ci piłkarze, którzy otrzymali największą liczbę głosów.

Dobra nasza. Wiem trochę, co w trawie piszczy, w myśl zasady — kibic wie wszystko. Piłkarze nazywają to raczej „czuciem bluesa".

W drodze powrotnej z Machcińskim do Łodzi chcę potwierdzenia informacji „o głosowaniu" przed meczem z Lechem. Odpowiada, że nic na ten temat nie... słyszał. Nie wierzę mu. Zastanawiam się, dlaczego poszedł „na ten numer" z piłkarzami. Może zrobił to dla świętego spokoju i udowodnienia zespołowi, że ich „koncepcje taktyczne" to nie to. Mecz w Poznaniu przecież przegrali.

A z drugiej strony rozumiem Jacka, który milczał. Gawędziliśmy przecież przed oficjalnymi rozmowami na temat *odejścia z klubu*. Czy w takiej sytuacji, a także i później, trener „nadaje" na piłkarzy i odwrotnie?

3.

Tam gdzie Machciński, tam i szmal. To jedno z obiegowych twierdzeń „wtajemniczonych" w arkana futbolu. Zurnaliści codziennej prasy sportowej oraz tygodników, kiedy objął mielecką Stal, zaczęli bawić się w rozmaite przewidywania. Przeważał pogląd, iż należy zastanowić się raczej nad tym, kiedy jego zespół dopędzi rywali i wydostanie się ze strefy zagrożonej spadkiem. Mówiło się i pisało o umiejętności pobrzękiwania szabelką. A on śmiał się i irytował jednocześnie. Wiedział przecież, że nie podjął się łatwego zadania. Niekiedy trafiał go szlag, kiedy zawodnicy przebywający na zgrupowaniach kadry przywozili mu informacje, że zarabia... 100 tysięcy miesięcznie, a oni mają więcej za remis w każdym meczu, niż piłkarze innych pierwszoligowych drużyn za... wygrane spotkanie. Plotka roznosiła się szybko, ale nie była przecież prawdziwa. Machciński nie twierdzi, że za pracę w klubie nie otrzymywał określonego wynagrodzenia. Dla niego nie stało jednak nic na przeszkodzie, by pracować społecznie. Zresztą za ostatni miesiąc nie wziął od klubu ani grosza. Wątpię, żeby ktoś w to uwierzył. A jednak to prawda. Taki już jest ten Machciński.

4.

Zastanawia się dlaczego na wiosnę, pod jego wodzą Stal grała tak słabo. Błędu w przygotowaniach do sezonu nie popełnił. Wykazały to przede wszystkim mecze ligowe, kiedy z kondycją i wytrzymałością było zupełnie nieźle. W wielu test-meczach przed sezonem mielczanie zdobywali po cztery, pięć bramek, a tu nagle w lidze piłka... nie znajdowała drogi do siatki. Do dzisiejszego dnia nie może znaleźć także odpowiedzi dotyczącej słabej skuteczności strzeleckiej zespołu. Jeszcze raz analizuje wszystko. Przed rundą wiosenną zakładał, że trzeba w sześciu pierwszych meczach zdobyć 9 punktów, by realnie myśleć o utrzymaniu się w lidze. Z Cracovią jednak remis 1:1. Pierwsi zdobywają gola. — Chyba się przestraszyli, że mogą wygrać. — stwierdził w kilka tygodni później Machciński. Z Gwardią Warszawa u siebie też remisują, a trenera zastanawia znów niecodzienny fakt, jak to Dziekanowski może bezkarnie „wjechać" pomiędzy czterech obrońców i oddać celny strzał z dwudziestu metrów. Mają przewagę w tym meczu, a bramki nie padają. Czy przyczyn szukać w sferze psychologicznej? W Sosnowcu znów remisują. Machciński jest wkurzony. A jakże nie być? Banasik i Janikowski z odległości dosłownie 5 metrów, będąc sam na sam z bramkarzem gospodarzy, nie potrafią celnie umieścić piłki w siatce! On, trener, doskonale rozumie, że inne drużyny byłyby zadowolone z remisu na wyjeździe, ale nie może *z takiego obrotu sprawy być usatysfakcjonowana* Stal. Remis przy aktualnej sytuacji w tabeli jest po prostu porażką. Staje się sławny z powiedzenia opublikowanego w sprawozdaniu „Trybuny Ludu": — Kto im powiedział, że potrafią grać w piłkę! Wywołało to wrzenie w futbolowym światku. Machciński nie przeczy, że coś takiego powiedział. Twierdzi jednak, że mówił to tylko do siebie, nie zważając na otoczenie. Był ponadto bardzo zdenerwowany...

— Wiesz — zwierzał się po powrocie do Łodzi — mecz z Ruchem będzie mi się śnił po nocach. Przeciwnicy przez większą część spotkania grali w dziesiątkę, myśmy przez 85 minut przebywali na ich połowie, a bramkę strzelili oni i zdobyli dwa punkty. Stało się to, jak wiesz, po rzucie wolnym. W odległości 25 metrów od bramki — Stawarz (bramkarz Stali przyp. aut.) ustawił mur złożony z 7 zawodników. Sam skrył się za tą żywą ścianą, zaś napastnik Ruchu uderzył w odkryte miejsce, gdzie bramkarza oczywiście nie było. Tak właśnie przegraliśmy. Po jednym celnym kopnięciu piłki przez przeciwnika. Po spotkaniu udzieliłem wywiadu dla telewizji. Trwał on 5 minut. Na antenie ogólnopolskiej ukazał się w objętości jednominutowej. Wyszło na to, że płaczę. Bo przecież kiedyś ratowałem Ruch przed spadkiem, a teraz nie oddał mi punktów. Ludzie mówili o jakiejś umowie pomiędzy Ruchem i Stalą. Boiskowe wydarzenia zweryfikowały te sądy. Było, minęło. Nie ma do czego wracać — kończył zawsze rozmowę ze mną Machciński, jakby chciał otrząsnąć się z natłoku myśli.

Wielokrotnie jednak w swoich wypowiedziach podkreślał, że przyczyną remisów i porażek była słaba postawa bramkarza. Stawarz nie potwierdził swego ogromnego talentu. Nie popisał się w meczu z Ruchem, nie błysnął przy obronie strzału Surlita z Widzewa.

Tak więc dla Machcińskiego fatalne wyniki Stali są nadal zagadką? Upatruje przede wszystkim przyczyn słabych występów w sferze psychicznej. Kto może jednak zaręczyć czy zawodnicy rozumieli struktury pewnego układu? Najpierw zróbmy wynik, a potem rozejrzymy się do innych klubów.

5.

Sobota — 30 kwietnia, dzień zaległego meczu Widzewa ze Stalą. Punktualnie o godz. 17, w takt marsza (!) wchodzą na boisko obie drużyny. Na trybunach okrzyki: Kapral Buda grać! Później zupełnie nieźle mu idzie, choć w poprzednich meczach różnie z tą jego grą bywało. Przeciwko Widzewowi zdobywa nawet gola. Po meczu jego i utalentowanego obrońcę — Kubickiego, spotykamy podczas serdecznej rozmowy z trenerem warszawskiej Legii — Jerzym Kopą oraz innymi wysłannikami ze stolicy. W kilka dni później codzienna prasa oficjalnie podaje informację o tym, że obaj ci piłkarze przeniosą się do Warszawy. Metamorfoza w grze Budy w potyczce przeciwko Widzewowi była więc spowodowaną obecnością szkoleniowca Legii na trybunach? Spotkałem się kiedyś z opinią po hiszpańskim „Mundialu", że Boniek dlatego najlepiej grał przeciwko Belgii i strzelił nawet trzy bramki, bo z trybun obserwował jego występ trener Juventusu — Trapattoni. Czyżby te fakty mobilizowały rzeczywiście piłkarzy?

6.

Machciński nie doczekał się już następnego, 8 spotkania rundy wiosennej, Stali z ŁKS. Na trzy dni przed pojedynkiem z drugim łódzkim pierwszoligowcem odbyła się decydująca rozmowa. Tak dżentelmeńskiego podziękowania sobie za współpracę ponoć dawno w historii polskiego futbolu nie było. Duża w tym jednak zasługa trenera. Przed przyjściem do Stali postawił sprawę jasno: przyszedłem wykonać określone zadanie. Mam utrzymać zespół w pierwszej lidze i potem się żegnamy.

Skoro jednak umowa o dzieło musiała być rozwiązana wcześniej, to obie strony nie widziały ku temu przeszkód, zwłaszcza, że Jackowi było to bardzo na rękę. Daleko od domu i niezbyt wesoła sytuacja rodzinna (poważnie chora matka), przyśpieszały decyzję o powrocie. Zadano trenerowi także pytanie, kogo widziałby jako swego następcę. Przedstawił kandydaturę opiekuna rezerwowej drużyny — Gąsiora, byłego piłkarza. Trenerem pierwszego zespołu został jednak Kosiński, też były piłkarz Stali.

7.

Dlaczego odszedł? Bo nie wykonał zadania. A dlaczego nie wykonał? Najprościej byłoby posłużyć się cytatem z Boya: — Bo największy w tym ambaras, żeby dwoje chciało naraz. Do sytuacji w mieleckiej Stali pasuje to jak ulał. A potwierdzeniem tej tezy są słowa komentatora „Piłki Nożnej", który dzieląc się swymi refleksjami z czytelnikami tygodnika miał nie tylko na myśli piłkarzy Stali Mielec. Cytuję: ...Słabą ostatnio postawę piłkarzy ekstraklasy *(w drugiej lidze również...) w znacznym stopniu* można wytłumaczyć nie najlepszym wyszkoleniem techniczno-taktycznym, względnie złym przygotowaniem do sezonu. Jednak to sprawy nie wyczerpuje. Tu i ówdzie — tak mówią ludzie dobrze obeznani z mechanizmami działającymi w naszej lidze — teraz w grę zaczynają wchodzić również inne elementy, rzecz zrozumiała, pozasportowe. Można to zrozumieć dwojako: albo już zaczęły się u nas te nieszczęsne niedziele i środy cudów, albo ten i ów piłkarz tak gra w obecnych barwach, aby zaczęto na nim psy wieszać i... umożliwiono mu byle jaki transfer.

8.

Kiedy rozmawiałem z łódzkimi dziennikarzami sportowymi, nie za bardzo wierzyli w to, że Machciński na długo pozostanie bez piłki. On sam stwierdził, że przynajmniej przez dwa lata obędzie się bez futbolu. Gdy będzie go korciło, by powrócić na boisko, zamierza szybko wsiąść w samochód, pojechać nad wodę i łowić ryby. Zapomina się wtedy o wszystkim. Machciński ma zresztą już dość spełniania roli pogotowia ratunkowego, podejmowania się zadań dotyczących utrzymania zespołu w ekstraklasie. Chciałby, aby wreszcie ktoś zaproponował mu ponownie pracę z drużyną, która ma szanse zdobyć tytuł mistrza Polski albo była już na podium. Może się doczeka?...

9.

W Mielcu mieszkałem w hotelu „Jubilat" (własność klubu!). Z okien spoglądałem na wspaniałe obiekty sportowe Stali. Piękny stadion na 30 tysięcy miejsc ze sztucznym oświetleniem o sile 1600 luksów (nawet szpilkę można znaleźć!). Obok głównej płyty, cztery boiska treningowe, w tym jedno z trybuną na 2 tys. miejsc. Tu rozgrywają swe sparringowe mecze piłkarze Stali, tu też trenują. Wspaniała hala sportowa (po dawnym hangarze), kompleks pływalni, boiska do koszykówki, piłki ręcznej. Bez przesady — wspaniałe warunki do uprawiania sportu.

W swej historii piłkarze z Mielca dwukrotnie zdobywali mistrzostwo Polski. Tutaj gościł sławny hiszpański klub — Real Madryt. Tutaj rozwijali swe umiejętności Kasperczak, Lato, Szarmach, Kukla. W aktualnym zespole występują: Ciołek, Buda, Łatka i Janikowski, zawodnicy znani i podziwiani nie tylko na polskich boiskach. I pomyśleć, że Stal od nowego sezonu może być drugoligowym klubem piłkarskim! A przecież załoga WSK Mielec opodatkowała się na rzecz klubu i daje to miesięcznie 700 tysięcy złotych. I nie zapominajmy wreszcie, że na spotkania z robotnikami chodzili ulubieni piłkarze pierwszej drużyny.

Gdy opuszczamy Mielec, z dala słychać szum samolotowego silnika. To „Dromader" holuje do góry szybowiec...
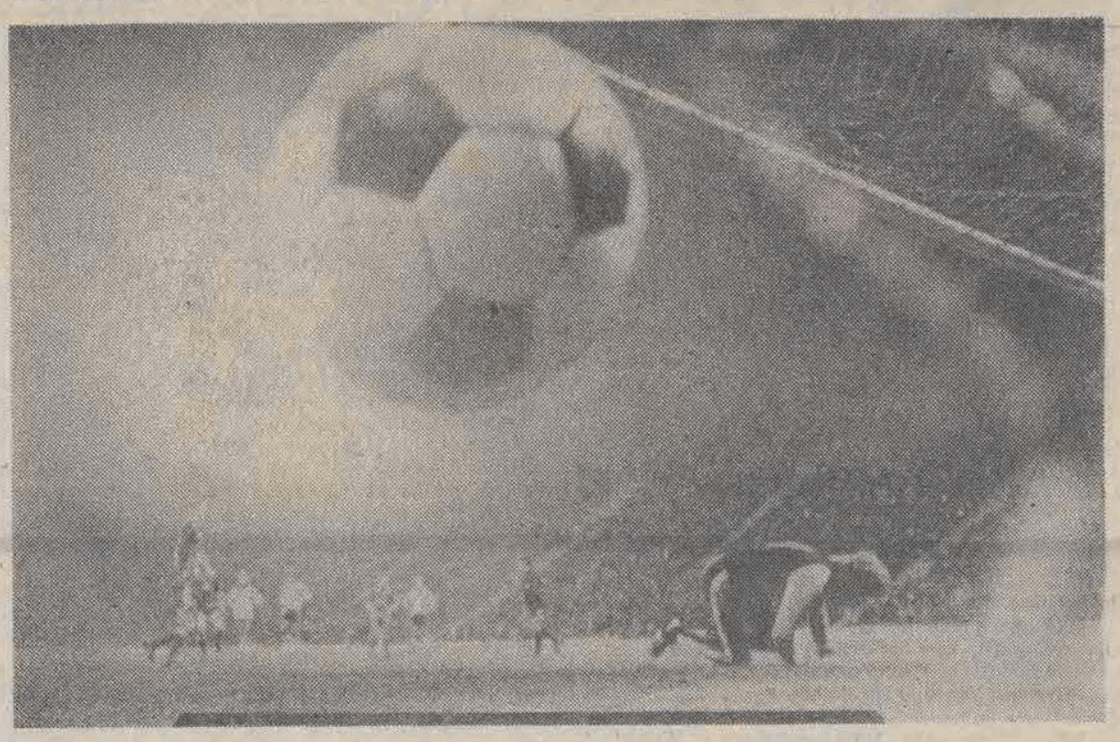
P.S. Po odejściu Machcińskiego Stal ruszyła jak burza do obrony pierwszoligowych pozycji. Wygrana z ŁKS i Wisła (na wyjeździe) według jednych (ja przychylam się do tej opinii) losy mielczan zostały już dużo wcześniej przesądzone. Gdyby „do przeskoczenia" był tylko jeden zespół, wówczas może byłoby możliwe. A tak szanse są minimalne. Trzymajmy zresztą do końca rozgrywek.